

Autorka powieści *Początek mnie i ciebie*

Emery Lord

MIŁOŚĆ NAS
ZDERZYŁA



MIŁOŚĆ NAS ZDERZYŁA

Emery Lord

Przekład
EWA RATAJCZYK



Korekta

Renata Kuk

Anna Raczyńska

Projekt graficzny okładki

Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce

© AlbinaTipliyashina/iStock/Thinkstock

Tytuł oryginału

When We Collided

Copyright © 2016 by Emery Lord

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana

ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu

bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition

Copyright © 2016 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-5992-5

Warszawa 2016. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego

P.U. OPCJA

juras@evbox.pl

Mojej rodzinie, żeglując dalej

Vivi:

Wiedziałam, że zakochałam się w Verona Cove od pierwszego dnia, ale czekałam siedem dni, żeby to przypieczętować. Po tygodniu spędzonym tutaj wycinam w drzewie w centrum miasta moje imię. To o wiele trudniejsze, niżbyście pomyśleli, zanurzać scyzoryk w wiekowej korze. Jedenaście liter zajęło mi całe godziny, w każdym razie tak mi się wydawało. Na szczęście przed wschodem słońca nikt nie pilnuje Irving Park ani właściwie niczego. Dam głowę, że najgorszym przestępstwem, jakie widziało Verona Cove, było upuszczenie serwetki. Ten, kto ją upuścił, starał się ją złapać, założył się, ale porwał ją wiatr i w końcu gdzieś tam zamieniła się w śmieć.

Poza tym właściwie cieszyłabym się, gdyby mnie złapali – żaden problem, skoro upamiętniłam się nierównymi liniami na zawsze wyrytymi w drzewie starszym niż którykolwiek z trzech tysięcy pięćdziesięciu jeden mieszkańców miasteczka: „Vivi tu była”.

Jak już skończę, głaszczę moje rękodzieło, bo – fakt – mam naturę wandala, ale to zbrodnia namiętności. Wiem, że park nie ma mi tego za złe, bo ja go kocham, i wydaje mi się, że nawet starannie przystrzyżona trawa i oklejone ławki rozumieją moje uczucie.

Ruszam ścieżką do wyjścia i dopiero teraz uświadamiam sobie, ile jestem spóźniona. Poranne słońce przekroczyło już linię horyzontu i chodnik zdobią koronkowe cienie liści. Każdy centymetr miasteczka zalewają kwiaty – róże w kolorze fuksji pną się po kratkach, forsycja płonie jak żółte fajerwerki. Idę chodnikiem, pod drzewami, z których obsypują się blad różowe płatki, jak w powolnej burlesce.

Dlatego właśnie chcę zostać tu na zawsze, nie tylko na lato. Na razie wobec mamy użyłam argumentu, że przy Verona Cove Hawaje wyglądają jak pływająca sterta śmieci. Na Hawajach nigdy nie byłam, ale widziałam zdjęcia. Verona Cove to małe nadmorskie miasteczko, jakiego można się spodziewać na wybrzeżu Massachusetts albo Karoliny Północnej, a tymczasem jest wciśnięte w mały przesmyk w głębi Kalifornii. Mieszkałam w kilku miastach, więc możecie mi wierzyć, kiedy mówię, że Verona Cove nie jest zwykłym miasteczkiem. Jest jak połączenie Mayberry z lasem równikowym i z Shangri-La. Każdy detal

jest tak doskonały, że czuję się jak na planie filmowym i mam ochotę głaskać pomalowane pergole, skrzynki na listy w stylu retro i latarnie, które świecą jak rząd białych księżyców.

Wszystko jest czyste, ale nie nieskazitelne, i widać, że każdy kawałek miasta żyje i jest kochany.

Dzielnica handlowa to kwadrat, jej oś wyznacza Main Street. Każdego ranka mijam ładną ceglana restaurację, miejscowy sklep żelazny i księgarnię. Sklep, do którego idę, ma na froncie szyld z kanapką i napisem „Betty Dinner” u góry, wykonanym pięknym, odręcznym pismem. Pod spodem różowymi drukowanymi literami napisane jest: „Najlepsze śniadania według »Daily Gazette«”, a niżej wymienione są dania polecane na śniadanie i lunch. Cove Coffee ma podobny certyfikat na wystawie: „Najlepsza kawiarnia według »Daily Gazette«”. W miasteczku wszystkiego jest po jednym: jedna apteka, jeden spożywczy, jeden sklep z rękodziełem – więc z założenia każdy jest najlepszy, ale podoba mi się to, że miasteczko docenia wkład każdego z nich.

Kiedy wchodzę do knajpki, rozlega się dźwięk dzwonka, a mnie uderza zapach syropu klonowego, kawy i aromatycznych kielbasek. Przychodziłam tu przez wszystkie siedem poranków, bo o tej porze nie ma gdzie pójść, a jestem tak podniecona pobylem w nowym miejscu, że budzę się wcześniej rano.

Dziś zjawiam się później niż zwykle i Betty’s jest pełna osiemdziesięciolatek – obłoki siwych włosów unoszą się jak chmury nad oparciami winylowych siedzisk w błękitnym kolorze.

Betty stoi przy kasie i wciska przyciski.

– O, dzień dobry, słodki pączusiu. Sekundka.

Myślę, że Betty słowa takie jak: skarbie, kochanie i słoneczko, ma wytłoczone w umyśle na dwóch kostkach do gry. Przy każdym kliencie wstrząsa jedną albo dwiema naraz i losuje jedno słowo albo kombinację: słodki pączusiu, skarbie złoty, laleczko kochana. Lubię słyszeć, kim jestem każdego dnia. Pieszczotliwe określenie jest jak ciasteczko szczęścia w mojej ulubionej chińskiej restauracji; nie dlatego tam chodzę, ale przeżycie jest tym miłsze.

Betty wychodzi zza lady i mierzy wzrokiem pełną salę.

– Może będziesz musiała minutkę poczekać, aż stolik się zwolni. Ale ja zdążyłam namierzyć mój cel: starszego mężczyznę w cienkim swetrze.

– Nie ma sprawy. Usiądę z panem policjantem Hayashim.

Spogląda na mnie, jakbym powiedziała: a teraz oswoję tygrysa i będzie mnie karmił naleśnikami.

– Hm, kochanie, on ma specyficzne podejście do porannej samotności. I nie tylko porannej.

– Nic nie szkodzi. – Uśmiecham się do niej, bo wiem coś, czego nie wie ona: pan Hayashi nie jest mrukiem.

W trzeci poranek, który tu spędzałam, po drodze do Betty's zauważyłam owczarka niemieckiego – ze szpiczastymi uszami i kanciastym pyskiem. Siedział z tyłu w radiowozie.

– Za co cię zamknęli, słodziaku? – spytałam przez uchyloną szybę. Pies spojrzał na mnie, z dumą i spokojem wymaganym w jego zawodzie.

– Na pewno nie za napad ani pobicie, wykluczone, na to jesteś zbyt łagodny, to widać. Narkotyki? Nie, nie ten typ. Aha! Założę się, że za kradzież. Ciekawe, czego? Pizzy ze stołu? Tortu sprzed nosa jakiegoś dziecka? Wyglądasz mi na łasucha.

Jego długi ogon uderza o oparcie kanapy.

– Skrzydełka bez kości w sosie jamajskim – odezwał się za mną cichy głos. – To jej słabość.

Suczka. Poczulałam się głupio, że myślałam inaczej. Ona, oczywiście, merdała ogonem na widok swojego partnera – mężczyzny z siwymi włosami w granatowym policyjnym mundurze. Jak był dość blisko, odczytałam nazwisko na srebrnej plakietce: „Hayashi”.

– Ale nie została aresztowana. Przynajmniej na razie. – Wypił łyk kawy na wynos z Betty's.

– Oj, wiem, że jest na służbie – powiedziałam. – Zaczepiłam ją tylko. Nie mogłam się powstrzymać, mam bzika na punkcie psów, a to prawdziwa perełka. Znam się na tym.

– Tak, to dobry pies, prawda, Babs?

– Babs? – spytałam, zjeżona. Co za imię dla policyjnego psa!

Serio, wszystkie owczarki niemieckie wabią się Rex, Maverick albo Ace.

– Właściwie Kubaba.

Jeszcze większy absurd, ale starałam się nie reagować.

– No, miło cię poznać, Kubaba – powiedziałam do psa, odwróciłam się do jej partnera i wyciągnęłam do niego rękę. – A ja jestem Vivi.

Podał mi rękę.

– Jesteś praworządną obywatelką?

– Nigdy nie byłam aresztowana. – Uśmiechnęłam się, bo nie miałam odwagi powtórzyć jego słów. – Jak na razie.

Potem poszłam do domu i odszukałam imię Kubaba. I teraz rozumiem policjanta Hayashiego na tyle, że wiem, że będzie dla mnie miły.

– Cześć! – mówię, podchodząc do jego stolika. Wpatruje się w krzyżówkę, którą starannie wypełnia drukowanymi literami, niebieskim długopisem. – Vivi. Poznaliśmy się w tym tygodniu. Zażartowałam, że pana służbowy pies jest aresztowany.

Podnosi wzrok i przygląda mi się, jakbym próbowała go oszukać.

– Pamiętam.

– Kubaba – mówię – była jedyną niezależną królową Sumerów. Jedyną kobietą na sumeryjskiej liście królów.

Na jego twarzy pojawia się uśmiech.

– Przeczytałaś o niej?

Świat owczarków samców szkolonych, żeby rozerwać gardło przestępcom, a on nazwał swoją królową zgodnie z tym, jaka jest: równa im.

– Mogę się przysiąść?

Rozgląda się, ewidentnie szukając innego wolnego miejsca, żeby mnie odesłać. Ja się miło uśmiecham i czekam, aż się podda. W końcu wszyscy się poddają. Jego wzrok wraca do mnie.

– Oczywiście, że możesz.

Hm. Staroświecki przytyk, po którym powinnam spytać kulturalnie: czy mogłabym się do pana przysiąść? Ale siadam po prostu na ławce naprzeciwko niego i rzucam torbę obok.

I dobry policjant nie wie, co ze mną zrobić.

– Na pewno nigdy nie byłaś aresztowana? – pyta. – Wyglądasz mi na taką, co nie przejmuję się zasadami.

Kładę sobie rękę na piersi, teatralnie.

– Nigdy w życiu!

Zaciskam wargi, żeby się nie uśmiechnąć. Bo nawet gdybym została przyłapana na nacinaniu drzewa, wiem, że Hayashi ma miękkie serce. Kiedy wraca do swojej krzyżówki, ja otwieram szkicownik na stronie, na której pracowałam wczoraj wieczorem. Słowo inspiracja jest nabazgrane u góry i się ze mną drażni. Żeby przedstawić *wabi-sabi*, chciałam narysować prostą różową suknię, czysty jedwab postrzępiony u dołu. Ale mnie olśniło i teraz jest to dziewczyna w gałęziach kwitnącej wiśni, z których opadają płatki, kiedy się obraca.

Zaczynam od nowa na sąsiedniej stronie i od czasu do czasu zerkam ukradkiem na mojego kompana. Kiedy nie zna odpowiedzi, żuje czubek długopisu i zerka groźnie na gazetę, jakby mogła się przestraszyć i podpowiedzieć mu właściwe słowo.

– Hej, laleczko – mówi do mnie Betty i nalewa mi kawy do kubka. Kawę piję dla smaku, oczywiście, bo kofeina to ostania rzecz, jakiej potrzebuję. Większość rzeczy robię w życiu dla smaku, nie z konieczności. – Przechodzimy do gofrów?

Pierwszego ranka tutaj zamówiłam pierwszą pozycję z menu – klasyczny omlet – i postanowiłam, że spróbuję wszystkiego po kolei. Omlety mam już za sobą.

– Tak, poproszę! Brzmi naprawdę bosko.

– Proszę, Pete. – Stawia przed nim talerz. Jajka sadzone i chrupiący bekon na ciepłych bułeczkach. Mniaaam. Do tej kolumny jeszcze nie dotarłam.

– Więc – bierze widelec – o co chodzi z tą Marilyn Monroe?

Dotykam końcówek moich loków.

– Nie chodzi o Marilyn. Chodzi o mnie.

Zabiera się do jedzenia, ale się na nim nie skupia.

– Rozumiem.

Naprawdę, czy dziewczyna nie może zrobić czegoś zwyczajnie dla frajdy? Trochę przytyłam przez ostatnie miesiące, a krągłości są dla mnie czymś nowym. Więc pomyślałam: wiesz co? świetna okazja, żeby przefarbować włosy na platynowy blond i ściąć na długość między uszami a ramionami. Nawinęłam grube pasma włosów na piankowe papiloty i nawilżam cały ten chaos płynem do trwałości. Właściwie

niewiele wiem o Marilyn Monroe. Ale wpadła na dobry trop z tymi krótkimi kręconymi włosami. Kiedy podskakują na mojej głowie, czuję się zabawnie i lekko, i jakbym była gotowa, gdyby leśne elfy chciały, żebym z nim zatańczyła. I dopóki włosy mam jak Marilyn, pomyślałam, że spróbuję czerwonej szminki i lakieru do paznokci.

Czytałam, że umaszczenie zwierząt wynika z przystosowania do natury albo służy ochronie, albo jest sygnałem dla drapieżnika lub potencjalnego partnera seksualnego. Ha! Może moje platynowe włosy, czerwone wargi i różowe policzki służą temu wszystkiemu? A może po prostu lubię zwracać na siebie uwagę?

Kiedy zjawiają się gofry, odsuwam szkicownik, żeby zrobić miejsce, wbijam widelec i, oooch! Niebo w gębie, złociste, maślane, posypane cukrem pudrem. Policjant Hayashi wpatruje się w mój szkicownik. Kawalkiem bułki wyciera resztki płynnego żółtka.

– *Wabi-sabi*. Wiesz, co to znaczy?

– O ile dobrze rozumiem – siłę się, żeby zabrzmieć mądrze – tego słowa nie da się przetłumaczyć. *Wabi* może oznaczać rustykalny albo nagi, albo ulotny. *Sabi*... to jak zanikły. Albo znikający. Stary. Razem, to jak dostrzeganie piękna w prostocie i naturze. W ulotnych chwilach, a nawet w upadku.

Wypija kawę do dna.

– Skąd się tego wszystkiego dowiedziałas?

– Od przyjaciółki. – Mogę jeszcze nazywać Ruby przyjaciółką? Jej obraz atakuje mój umysł, jej jaskraworóżowe wargi, czarne włosy z grzywką, i ściska mnie z tęsknoty za nią, za całą jej rodziną. – Zeszłej wiosny jej mama zrobiła wielki pokaz technik mieszanych i zestawiała japońską estetykę, w której się wychowała, z zachodnią, którą studiowała.

Zanim zdąży coś wtrącić, wzdycham i wskazuję wiotką sukienkę z gałęzi wiśni.

– Próbuję przedstawić niektóre pojęcia za pomocą mody, ale nie jestem pewna, czy można doszukiwać się w nich mojej osobistej estetyki. Lubię odkrywczą, odważną modę i czuję, że jak w końcu wyjadę do Japonii, skupię się na stylu ulicznym. Był pan w Japonii?

– Nie, nie byłem. Ale... – Waha się i wyciąga pieniądze z portfela.

– Zawsze chciałem zobaczyć Kinkaku-ji.

– Świątynię Złotego Pawilonu?

Kiwa głową.

– Moja matka mówiła o niej z zachwytem.

– To dlaczego nigdy pan tam nie pojechał, jeżeli pan chce?

– No, wiesz, życie. – Po tych słowach wciska na głowę znoszoną bejsbolówkę. Odchodzi od stolika bez słowa.

Ja zaraz po nim, bo w mojej porannej rutynie jest jeszcze jeden przystanek przed pracą.

Verona Cove leży ponad poziomem morza, więc jeżeli pójdzie się na zachód jakąkolwiek ulicą, w końcu dojdzie się do klifów. Niektóre urywają się nad samym oceanem, inne schodzą łagodnie do wybrzeża. Chyba wyobrażałam sobie wybrzeże Kalifornii z surferami na falach i z plamami kolorowych parasoli. Ale jest spokojniejsze, słychać tylko szum wody i śpiew ptaków. Staję na klifie, od oceanu tuż pode mną unosi się mgiełka, a ja, po tygodniu, nadal jestem oszołomiona. Natura sprawia, że przy niej najlepsi architekci, projektanci i artyści wypadają jak kiepscy amatorzy. Jestem strasznie szczęśliwa, że stoję i podziwiam panoramę błękitnego nieba i fale z białymi brzegami, i postrzępioną ziemię pod moimi stopami.

Spodziewałam się tych paru ptaków, które skaczą przy mnie, dlatego schowałam do kieszeni kawałki gofrów ze śniadania. Dziobią okruchy rozrzucone na ziemi, a ja szukam w torebce tego, czego przyszłam się pozbyć. Mam w niej dwie jaskrawopomarańczowe fiołki, muszę być pewna, że znalazłam tę właściwą.

Tabletki są śliskie. Przyciskam jedną palcem, żeby ją wyjąć. Kiedy mam ją w dłoni, zbieram siły, bo zdążyłam się przekonać, że potrzeba naprawdę sporej siły do takiej niepozornej tabletki. Zamachuję się, rozpościeram dłoń. Tabletki spada z klifu, a ja wyobrażam sobie delikatny plusk, kiedy wpada do oceanu. Może trafi na nią ryba i wynurzy nad wodę okrągły pyszczek, żeby ją połknąć, i jeżeli cierpi na emocjonalne wzloty i upadki, poczuje się lepiej. Cała przyjemność po mojej stronie, rybko!

Odwracam się plecami do Pacyfiku i ruszam w stronę pracowni ceramicznej. Nie mogę sobie wyobrazić lepszej pracy na lato. Nie muszę

nosić stroju służbowego, przyglądam się, jak ludzie tworzą, co jest prawie jak podglądanie – zaglądam im w głąb duszy. Magia, mówię wam. Magia.

Ta praca trafiła mi się cudem, tak naprawdę. W drugim dniu w Verona Cove usiadłam na ławce przed pracownią, licząc na chwilę rozrywki, jak ją otworzą. Zanim pojawiła się właścicielka – godzinę później niż powinna – stępiłam ołówki na szkicowaniu sukienek. Właścicielka, Whitney, ma najcieplejszą energię i najfajniejsze loki, jakie w życiu widziałam – całe tysiące, mocno związanych. Nie mogłam przestać się gapić na jej włosy i myślałam, że musiał je stworzyć sam Bóg lokówką wielkości ołówka numer dwa. Jej przeprosiny tonęły w wyjaśnieniach – że zasiedziała się nad ceramiką do późnej nocy i że znów zasnęła.

Siedziałyśmy przez następną godzinę – ja malowałam miskę dla mamy, a Whitney układała farby naszkliwne w tęczowym porządku. Cały czas przepraszała, ale powiedziałam, że nic się nie stało, że ja i sen rzadko mamy ze sobą coś wspólnego. Zażartowała, że może powinnam pracować u niej rano, żeby ona mogła się wyspać.

– Prawdę mówiąc – powiedziałam – miałam zamiar szukać pracy.

Wtedy przestała się śmiać i spytała, czy mówię poważnie, chociaż mogła mi zapłacić tylko minimalną pensję. No, cóż, pewnie się domyślacie, jaka była moja odpowiedź, skoro tu jestem i szukam kluczy w torebce.

Kiedy skręcam w High Street, widzę, że ławka przed Fired Up jest zajęta. Siedzi na niej dziewczynka w różowych tenisówkach i ciemnowłosy chłopak mniej więcej w moim wieku. Już z daleka widzę, że jego fryzura nie jest wynikiem stylizacji, ale skutkiem notorycznego braku wizyty u fryzjera – lekko zmierzwiłone włosy zaczynają się kręcić. Są naprawdę świetne, gdybym ja miała takie, w życiu bym ich nie ścięła, nie przefarbowała i nie zmieniła ani jednej rzeczy.

Rozmawiają, kiedy podchodzę, a mała wymachuje nogami. Chłopak ma siedemnaście albo osiemnaście lat – jest za młody, żeby być jej ojcem – ale prawie wygląda na ojca. Widzę, że ma ciemne podkowy pod oczami, więc może przez nie. A może przez luźne spodnie khaki i granatową koszulkę z kieszenią na sercu. Ubranie nie jest modne ani

niemodne, po prostu praktyczne. Widać, że jest za bardzo zajęty, żeby uświadomić sobie, że jest taki fajny.

– Dzień dobry! – mówię.

Oboje patrzą na mnie jak na postać z komiksu, która nagle ożyła.

– Cześć. – Chłopak wstaje szybko, a mała za nim.

– Przyszliście malować?

– Tak – mówi.

Mała kiwa głową.

– No to wchodźcie. – Kiwam na nich jedną ręką, a drugą nadal szukam kluczy i posyłam im mój najbardziej czarujący uśmiech, żeby skłonić ich do rozmowy. Nie za bardzo lubię ciszę, po prostu do mnie nie pasuje. Wolę prowadzić dialog sama ze sobą niż czołgać się po okopach dziwnej nicości. Ponieważ nie bardzo wiem, co powiedzieć, moje myśli wracają do porannych czynności i towarzysza ze śniadania.

– Mieszkacie tu czy jesteście na wakacjach? – Przytrzymuję drzwi, a oni wchodzą do środka.

Chłopak chrząka.

– Miejscowi.

– O, świetnie. – Drzwi się za nami zatrzasują, a ja rzucam torebkę na ladę. – Wiecie, czy policja w Verona Cove jest bardzo surowa dla takich, co pierwszy raz złamali prawo? Którzy mogli, hm, stworzyć niedozwolone dzieło sztuki na roślinie. Oczywiście, pytam w imieniu koleżanki.

Jonah:

Któregoś dnia zamorduję mój budzik. Nie korzystam z budzika w telefonie, bo istnieje całkiem realna szansa, że wyrzuciłbym go przez okno mojego pokoju na poddaszu.

Każdego ranka budzik piszczy, a ja w myślach flambiruję to cholerstwo. Podpalam go na wielkiej patelni. Śmieję się, kiedy się topi. Rzadko, kiedy jestem prawie obudzony, w myślach urządzam budzikowi poważny pogrzeb wikingów. Znowu dzwoni.

Moje stopy zbiegają po schodach. Muszę. Znaleźć. Kawę. Później prysznic, załadować pralkę, rozładować zmywarke, praca. Zanim zdążę przejść do pierwszego etapu, zauważam, że ktoś podskakuje w kuchni.

– Jonah! Dzisiaj! Dzisiaj! Dzisiaj! – Stopy Leah uderzają o linoleum przy co drugiej sylabie. Jest już ubrana, po różowe tenisówki. Miałem jedenaście lat, kiedy się urodziła, i czasami nie mogę uwierzyć, że jest już na tyle duża, że sama potrafi zawiązać sobie buty.

– Co: dzisiaj?

Jej uśmiech staje się płaską linią.

– Idę na ceramikę. Wypełniłam obowiązki z tabelki, obiecałeś. Cholera. Rzeczywiście obiecałem.

Krzyżuje ręce.

– W zeszłym tygodniu, w środę albo w czwartek, powiedziałeś, że w poniedziałek mnie zabierzesz. Poniedziałek jest dzisiaj. To znaczy, że idziemy.

– Masz rację. – Nie jestem wystarczająco rozbudzony, żeby wymyślić, jak to zorganizować. Przed jedenastą muszę być w restauracji, a mój starszy brat i siostra są już w pracy. Ale naprawdę nie chcę zabierać do pracowni ceramicznej dwójki młodszego rodzeństwa. Jest powiedzenie o ludziach, którzy są jak ogień i woda, ale Bekah i Isaac są jak olej i gorąca patelnia. Zestawić ich razem, i są syki, plucie i czasami ogień. Wczoraj rano urządzili pojedynek na wrzaski o to, kto będzie siedział na fotelu przed telewizorem. Bekah rzuciła w głowę Isaaca poduszką, chybiła i rozbiła wazon. Dałem obojgu szlaban. Prawdę mówiąc, nie wiem, co znaczy „dać szlaban” w przypadku ośmiolatka i jedenastolatki, ale zabrzmiało to poważnie.

– I co, możemy iść? – pyta Leah.

– Tak.

– Hura, hura, hura!

Biorę kubek z szafki i odwracam się do Leah.

– Chcesz owsiankę?

– Chcę grzankę z masłem orzechowym i bananem, ale Bekah nie chciała mi upiec chleba.

– A może być owsianka z masłem orzechowym i bananem?

Krzywi się.

– Dobrze. Będzie grzanka. – Przekierowuję ręce do bochenka chleba i wkładam kromkę do tosterka. Podaję Leah banana i tępy nóż. Nóż trzyma w prawej dłoni, a banana w lewej, chowając palce, jak ją nauczyłem. Tata mnie nauczył w kuchni swojej restauracji. Pokazał mi też, co by się stało, gdybym nie zastosował tej techniki, żeby chronić palce przed ostrzem. W pokazowej lekcji jako zamiennik sztucznej krwi wystąpił keczup i było wiele dramatyzmu. Miałem wtedy dziewięć lat. To była najfajniejsza rzecz na świecie. Kiedy chleb wyskakuje, kładę go na talerzu dla Leah. Smaruje go masłem orzechowym.

– Pomaluję kubek do kawy dla mamy – mówi z uśmiechem.

– Dobry pomysł. – Nalewam sobie kawy. Za nami do kuchni wchodzi Isaac. Twarz zasłania mu książka. Isaac potrafi czytać, chodząc. Mało tego, czytając książkę, chodzi lepiej niż przeciętna osoba, kiedy nie robi nic innego poza chodzeniem. Potrafi ominąć znaki drogowe, wejść po schodach i wyminąć pieszych. Czasami to denerwujące. Zerka na nas, na jego okularach odbijają się drzwi lodówki.

– Powiedziałeś, że idziemy do pracowni ceramicznej?

– My idziemy – mówię.

– Hura, hura, hura! – odzywa się Leah.

– Świetnie! Ja też idę.

– Nie. Ty masz szlaban. I spójrz na tabelę obowiązków. Kto ma wypełnione wszystkie rubryki w każdym tygodniu tego miesiąca?

Isaac mruży oczy i patrzy na wykres, szukając argumentu.

– No... Tylko Leah. Ale to nie w porządku! Ona dostaje najłatwiejsze zadania, bo jest najmłodsza. Posortować pranie i nakryć do stołu potrafi każdy.

Leah spogląda na niego gniewnie. Z całej siły się powstrzymuję, żeby nie uszczypnąć Isaaca.

– Leah ma dopiero pięć lat. Robi tyle, ile może, i nigdy nie trzeba jej dwa razy prosić.

Nikt się nie wyklócał, kiedy to moja mama zarządzała tabelą obowiązków – laminowaną planszą z sześcioma naszymi imionami po lewej stronie. Prowadziła kalendarz zajęć i wydarzeń naszej ośmioosobowej rodziny. Podpisywała usprawiedliwienia. W każdy poniedziałek rano robiła gofry, żeby osłodzić nam początek nowego tygodnia. Trzydziestego pierwszego grudnia ściągała świąteczne dekoracje. Ale to było, zanim staliśmy się siedmioosobową rodziną. W moim tacie wszystko było wielkie. Wzrost, śmiech, osobowość. Teraz patrzę na zdjęcia naszej ósemki, i kiedy sobie wyobrażę, że go tam nie ma, cała kompozycja traci równowagę. Tak jak my.

Tata żartował, że zapomnieliby głowy, gdyby nie to, że mama co rano przytwierdza mu ją do tułowia. Ja byłem za mały, żeby znać powiedzenie o tym, że zgubiłoby się głowę, gdyby nie była przytwierdzona do ciała. Wpatrywałem się w kołnierzyk taty. Chciałem zobaczyć zygzaki Frankensteina na jego szyi. A kiedy zmarł, okazało się, że mamie też był niezbędny do codziennego funkcjonowania. Teraz mama właściwie nie wychodzi z sypialni. Czasami zastanawiam się, czy szepcze do swojego serca: bij, bij, bij. Do płuc: wdech, wydech, wdech, wydech. Jakby cały jej czas i energię pochłaniała sama egzystencja.

Po drodze na górę woła mnie Bekah z pokoju, który dzieli z Leah. Klęczy i przekopuje najniższą szufladę swojej szafy.

– Widziałeś moje granatowe spodenki?

– Nie. Czeka, może. Chyba są w praniu.

– Uch. – Stękanie stanowi co najmniej połowę komunikacji Bekah ze mną. Ma jedenaście lat, ale nie pamiętam, żebym ja sprawiał tyle problemów co ona.

– Chciałam się w nie dzisiaj ubrać.

– Więc je sobie wypierz.

Rusza w stronę szafy, znowu stęka i tupie. Wypijam łyk kawy. W chwilach takich jak ta czuję gorzkość.

– Co się stało? – To pośpieszna reakcja Silasa, kiedy do niego

dzwonię.

Mój starszy brat pracuje w Cove Coffee jako kierownik zmiany i słyszę znajome odgłosy w tle: pracujące spieniacze mleka i urywane głosy.

– Jest jakaś szansa, żebyś wyrwał się z pracy wcześniej?

– Co? Specjalnie wziąłem poranną zmianę, żeby wrócić, zanim ty wyjdiesz na popołudniową.

– Wiem. Zapomniałem, że muszę gdzieś zabrać Leah.

– Nie możesz zabrać też Bekah i Isaaca?

Pewnie, mógłbym. Ale mogłoby się to skończyć tym, że zostawiłbym ich na poboczu jak stare meble tarasowe albo zdezelowaną kanapę, z kartką z napisem: „Do wzięcia. Za darmo”.

– Dałem im wczoraj szlaban.

Po drugiej stronie słuchawki zapada milczenie. Cisza przekazuje słowa, które padały między nami wiele razy. A co, jeżeli Isaacowi wpadnie do głowy, żeby przeprowadzić eksperyment naukowy albo Bekah postanowi, że spotka się na basenie z koleżankami, nic nikomu nie mówiąc? Czy mama się w ogóle zorientuje? Może dzięki temu w końcu by się z tego wyrwała. A może by się tym nie przejęła. Zostawić ich w domu to jak zostawić dwoje dzieci zupełnie samych. Ale Bekah ma jedenaście lat.

– Zostaw ich i powiedz mamie. Nic im się nie stanie.

Połączenie się urywa, a ja jestem przerażony następnym krokiem. Nie wiem, kiedy zacząłem się czuć jak opiekun unieruchomionego w domu chorego.

Stoję przez chwilę przed ledwie uchylonymi drzwiami, aż w końcu je otwieram. Od śmierci taty mama spędza za tymi drzwiami więcej czasu niż kiedykolwiek za jego życia. Zdarzają się dobre dni, kiedy po chwili się budzi. A bywają i złe, kiedy wydaje mi się, że obserwuję, jak umiera w zwolnionym tempie.

– Mamo?

Jej głowa odwraca się do mnie. Uśmiecha się słabo. Nigdy nie pojmę tego, jak ta izolacja wybieliła jej policzki. Kiedyś były rumiane od śmiechu. Od biegania po ogrodzie za Leah i Isaakiem.

– Cześć, synu.

– Cześć. – Podchodzę bliżej, ale nie na tyle, żeby usiąść na łóżku. – Obiecałem Leah, że zabiorę ją do pracowni ceramicznej. Silas jest do dziesiątej w pracy, więc Isaac i Bekah będą tu przez godzinę albo dwie.

– Dobrze. – Przewraca się, żeby zwrócić się twarzą do mnie. – Przepraszam, że nie wstałam, żeby zrobić im śniadanie. Jestem dziś za bardzo zmęczona.

Dzisiaj i każdego dnia od sześciu miesięcy. Ale na ogół w niedzielę udaje jej się wstać do kościoła. Te przeprosiny są wymówką. Podobnie jak pytania: Mógłbyś spakować maluchom drugie śniadanie? Mógłbyś zaprowadzić Bekah na trening piłkarski? Zawsze pyta, zawsze mówi dziękuję. I tak bym to zrobił. Wie o tym.

– Nie martw się tym, mamo.

Nie ma sensu wzbudzać w niej poczucia winy. Nie jest w stanie poczuć się lepiej. Ja nie jestem w stanie zrobić nic, żeby poczuła się lepiej. Nikt z nas nie jest w stanie. Możemy jedynie nie pogarszać sprawy.

– Dzięki, synu.

Jej uśmiech jest niemal prawdziwy, myślę.

– Co ja bym bez ciebie zrobiła?

Szczerze mówiąc, nie wiem. Przy całej tej wyrażanej wdzięczności mama na pewno rozumie, że wykonujemy jej pracę. Cała nasza starsza trójka stara się zastąpić oboje rodziców, dzień po dniu. Pewnie próbowałbym potrząsnąć mamą, żeby oprzytomniała, gdyby nie wyglądała tak krucho.

Ubieram się w te same ciuchy, które miałem na sobie wczoraj, i przelotnie zerkam na swoje odbicie w lustrze na korytarzu. Ludzie, jak to się stało, że moje włosy tak wyglądają? Chyba nie powinienem być zaskoczony. Ostatni raz u fryzjera byłem, kiedy Candice Michaels zaciągnęła mnie z ulicy do swojego salonu. Jak bezdomnego psa.

– Macie być grzeczni, kiedy mnie nie będzie, nie żartuję. Jak się dowiem, że się kłóciliście, wrócę do pracowni ceramicznej i oddam kolekcję twoich lakierów do paznokci – mówię do Bekah, a potem odwracam się do Isaaca. – A twoje ulubione książki wrzucę do pieca.

Bekah przewraca oczami. Isaac nie odrywa wzroku od książki. Kątem oka widzę tańczącą Leah. Jest tak przejęta, że nie może ustać w

miejscu. Wiruje po całym pokoju.

Mamy furgonetkę, ale używamy jej tylko do wyjazdów za miasto – do centrum handlowego po szkolne ubrania albo do wielkiego kompleksu kinowego zamiast do maleńkiego kina w naszym miasteczku. Moja starsza siostra, Naomi, przez większość dni dojeżdża furgonetką na staż. Żadne z nas nie ma nic przeciwko temu, bo w Verona Cove wszędzie możemy dojść pieszo. Na każdy mój jeden krok Leah stawia dwa. Mijamy panią Albrecht i Edgara, pudła, który jest tak podobny do niej, że zastanawiam się czasem, czy jakimś cudem nie jest z nim spokrewniona.

– Cześć, dzieciaki – mówi.

Kiwam jej, a Leah głaszcze Edgara po łebku. Po lewej stronie mijają nas para uprawiająca power-walking w Poważnych Strojach Treningowych, oni się z nami nie witają. W Verona Cove są dwa rodzaje ludzi: wczasowicze i miejscowi. Leah i ja jesteśmy miejscowymi w trzecim pokoleniu. Nie twierdzę, że jest między nami wojna. To przesada. Miejscowi są zależni od wczasowiczów, a nawet ich lubimy. A wczasowicze uwielbiają Verona Cove. Tak o tym mówią. My, miejscowi, kochamy Verona Cove jak powietrze. Nie musimy o tym mówić ani nawet myśleć o tym codziennie. Mamy to we krwi. Z tego jesteśmy stworzeni.

Leah i ja zatrzymujemy się w Cove Coffee, ja na kolejną kawę, a ona, żeby zobaczyć Silasa w akcji.

– Cześć – mówi Silas. Podaje mi kubek czarnej kawy. – Poradziłeś sobie?

– Zostawiłem ich. To tylko godzina albo dwie. Zobaczymy, czym to się skończy.

– Nic nie widzę! – burczy Leah, więc ją podnoszę. Silas ozdabia napój bitą śmietaną, a potem sosem czekoladowym, a Leah klaszcze zachwycona. Silas pracuje już tu od jakiegoś czasu, ale dla niej to ciągle nowość. Jej brat za barem. Silas uśmiecha się promiennie i przesuwa małą filiżankę na koniec baru. Gorąca czekolada. Leah piszczy ze szczęścia, ale Silas wyciąga jeden palec do jej warg i puszcza do niej oko. Ona go naśladuje i puszcza oko niezdarnie – zamyka je zbyt długo.

Psychologowie powiedzieliby pewnie, że ją rozpieszczamy, bo jest

najmłodsza w rodzinie. Ale to dlatego, że jest tak niesamowicie fajna.

Po drodze do Fired Up wypijam kawę, a Leah, mlaszcząc, pochłania gorącą czekoladę. Siadamy na drewnianej ławce przed pracownią i rozmawiamy o tym, co chcemy robić tego lata. Ja chcę udoskonalić mój sos Beurre Blanc i chcę nadal biegać po plaży, żebym nie umarł na atak serca jak nasz tata. Ale nie przedstawiam tego Leah w ten sposób. Mówię, że chcę wypróbować kilka nowych przepisów i szybciej biegać. Ona chce często chodzić do biblioteki i obejrzeć film animowany o kaczkach, i zbudować zamek z piasku większy niż ten, który zbudowaliśmy w zeszłym roku. Później obmyślamy strategię, aż nagle wyczuwam czyjąś obecność obok.

– Dzień dobry! – Dziewczyna, która spogląda na nas z góry, jest platynową blondynką i ma usta w kolorze wiśni z nalewki. Nie przypomina wyglądem żadnej z dziewczyn z mojej szkoły. Nie przypomina żadnej dziewczyny, jaką w życiu widziałem. I patrzy na nas... z radością. Nie ma oporów, żeby zachowywać się przy nas radośnie.

– Cześć. – Niewiele brakuje, żebym się potknął, kiedy próbuję wstać.

– Przyszliście malować? – Dziewczyna kiwa głową, wskazując fasadę pracowni.

Leah obok mnie kiwa głową, a ja nadal nie grzeszę rozmownością.

– Tak.

– No to wchodźcie. – Uśmiecha się i kiwa na nas.

Kiedy czekamy, aż otworzy drzwi, spoglądam z góry na Leah. Wydaje mi się, że powinniśmy znać tę dziewczynę – przecież tu pracuje. Na pewno tu mieszka. Ale Leah jest zbyt pochłonięta przyglądaniem się jej.

– Jesteście stąd czy na wakacjach? – Przytrzymuje drzwi, a Leah i ja wchodzimy do środka.

– Stąd.

– O, świetnie. – Klaszcze w dłonie, kiedy drzwi się za nią zatrzasną, i stawia torbę. – Wiecie, czy policja w Verona Cove jest bardzo surowa dla takich, co pierwszy raz złamali prawo? Którzy mogli, hm, stworzyć niedozwolone dzieło sztuki na roślinie. Oczywiście, pytam

w imieniu koleżanki.

Otwieram usta, żeby powiedzieć... właściwie nie wiem.
Dziewczyna się śmieje, przywołując gestem Leah.

– Ale z czym ja tu wyskakuję! Przede wszystkim malowanie!
Chodź. Jesteś szczęśliwą wygraną dzisiejszego dnia. W nagrodę za to, że jesteś rannym ptaszkiem, możesz sobie wybrać, jakie tylko chcesz miejsce w całej sali. Strasznie się cieszę, że mam klientów tak wcześnie rano. To znaczy, nie zrozumcie mnie źle, lubię też spędzać czas sama ze sobą. Jestem dobrym towarzystwem.

Dziewczyna gada, z Leah wybiera jedyny stolik znajdujący się w prostokącie światła, które wpada przez okno. Idę za nią, przyglądając się pięknej dziewczynie, która znika na zapleczu. Wygląda tak, jak smakuje cytrynowe ciasto bezowe. Jest słoneczna, orzeźwiająca, słodka. Kiedy znów się wyłania, zawiązuje mały różowy fartuszek na szyi Leah, a potem schyla się, żeby przewiązać jej go w pasie.

– Jak masz na imię?

Leah patrzy na mnie. Często to robi, kiedy wzrokiem pyta o zgodę. Kiwam głową. Zawsze kiwam do niej głową.

Nie potrzebuje mojego pozwolenia po to, żeby rozmawiać z ludźmi. Kiedy Leah milczy, dziewczyna też kiwa głową.

– Jesteś bardzo mądra, że nie rozmawiasz z nieznanymi, ja nie byłam w tym dobra, kiedy byłam mała. Prawdę mówiąc, dalej idzie mi strasznie, ale w pracy nazywają to kontaktem z klientami. – Jej czerwone wargi poruszają się szybko, rozchylając się i łącząc przy każdej sylabie. Wyciąga rękę do Leah. – Jestem Vivi, mam szesnaście lat, prawie siedemnaście, i właśnie przeprowadziłam się tu na lato, mieszkam przy Los Flores Drive. Moim ulubionym kolorem jest niebieski, kocham psy, lody i uwielbiam śmiać się tak mocno, że mało nie posikam się w majtki.

Leah zaciska wargi, tłamsząc uśmiech, który próbuje się utworzyć.
Dziewczyna – Vivi – ma triumfalną minę.

– Teraz już nie jestem obca. Wiesz o mnie różne osobiste rzeczy, a nawet jedną wstydliwą. Ale nie musisz mi mówić, jak ci na imię, jeżeli nie chcesz.

– Jestem Leah. – Ścisną krótko dłoń Vivi, chociaż właściwie wcale nie jest to uścisk.

– Cześć, Leah. Bardzo miło cię poznać. A ty, słodziaku? – Vivi przechyliła głowę do mnie, a kilka okrągłych loków jak sprężyna rozciąga się do ziemi i z powrotem.

Powiedziała do mnie: słodziaku? Jediną osobą, która tak do mnie mówi, jest Betty. Betty ma ponad sześćdziesiąt lat i zna mnie od urodzenia.

– A może ty też się boisz nieznanym?

– Jonah. – Zniżam głos, żeby było słychać, że jestem facetem. Nie słodziakiem.

Jej śmiech brzmi jak świst wiatru. Nie wiem, co takiego śmiesznego powiedziałem. Wspina się na palce, żeby przełożyć mi fartuch przez głowę.

– Nie, ja nie maluję. Ja jestem tylko starszym bratem.

– Nie bądź śmieszny, Jonah – mówi. Przesuwa się za mnie i zawiązuje fartuch w pasie tak, jak zrobiła to Leah. Nie protestuję. Przygląda mi się w fartuchu, uśmiecha się i zerka na Leah. – Chyba farby cię wołają. Zalecam z nimi poszaleć. Jest osiemdziesiąt sześć tysięcy kolorów, zakładam się, że jesteś w stanie użyć co najmniej połowy! Im więcej, tym lepiej!

Leah wybiera tyle buteleczek z farbami, ile są w stanie unieść jej małe rączki, a potem bierze dwa kubki. Znosi się na to, że ja też będę malował. Zanurzam pędzel w granatowej farbie. Leah pochyla się nad swoim kubkiem, pochłonięta ozdabianiem. Przeciagam pędzlem po kubku raz za razem, systemowo. Vivi wraca i stawia na stole rolkę ręcznika papierowego i słoik z czystą wodą. Potem siada na krześle obok mnie. Chcę się odezwać po raz pierwszy. Może mam szansę, żeby nie wypaść na skończonego dupka.

– Jak ci się podoba Verona Cove?

– Właściwie jestem w niej zakochana. Spodziewałam się wielkich rezydencji przy plaży i olbrzymich hoteli, ale tak mi ulżyło, że nie widać tu przepychu ani przesady, ani bezdusności. Te wszystkie osobliwe domki i hoteliki są czarujące.

Kręcę głową, nie spuszczać wzroku z kubka. Pokrywam szorstką porcelanę pewnymi pociągnięciami pędzla.

– Tak, rada miasta, zgodnie z warunkami zagospodarowania

przestrzennego, nie wydaje pozwoleń na nowe domy jednorodzinne o powierzchni przekraczającej dwieście pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Nie wydają też zgody na hotele, jedynie na pensjonaty.

Dziewczyna mruga, przyswajając informację. O Boże, co ze mnie za głupek. Nie do wiary. Ta dziewczyna na pewno zna trzy języki obce. Ta dziewczyna pewnie ma fajnego starszego chłopaka albo album muzyczny akustycznego rocka na koncje. Albo jedno i drugie. A ja gadam o warunkach zagospodarowania przestrzennego?

– Fascynujące. – Jej rzęsy trzepoczą wolniej.

Są tak ciemne nad niebieskimi oczami. Chwileczkę, czy ona powiedziała: fascynujące? Bez cienia sarkazmu?

– Jestem zupełnie urzeczona historią Verona Cove, bo jest niepodobna do żadnej miejscowości, w której byłam i chcę wiedzieć, jak to możliwe, że tak jest i dlaczego tak jest. Wiesz, co mam na myśli?

Chcę powiedzieć: tak. Chcę powiedzieć: tak, piękna dziewczyno, wiem. Rozumiem cię doskonale. Jesteś moją bratnią duszą. Zamiast tego, z powodu wcześniej wspomnianej głupoty, wzruszam ramionami.

– Mieszkam tu całe życie.

– No to uwierz mi na słowo. Jesteś szczęściarzem, takim samym, jakbyś wygrał los na loterii. Niewielu ludzi ma tyle szczęścia, żeby spędzić dzieciństwo w tak pięknym miejscu. Tak małym i miłym, że raz powiesz komuś, jak ci na imię i on to pamięta.

Jasny gwint, gdzie ona mieszka, skoro ludzie jej nie pamiętają? Pewnie w Nowym Jorku.

– Skąd jesteś?

– Mieszkałam w wielu miejscach. Ostatnio w Seattle. I najdłużej. Tam się urodziłam, później przeprowadziłam się do Boulder, ale po roku wróciłam do Seattle. Stamtąd przeprowadziliśmy się do Utah, potem na krótko do San Francisco, a potem znów wróciliśmy do Seattle. Spędziłyśmy tam jakiś czas. Dopóki nie przyjechałyśmy tutaj.

– Seattle. Dużo tam pada. – No, świetnie mi idzie. Rozmówca roku. Będę dalej recytował podstawowe fakty na temat miast Stanów Zjednoczonych, aż będzie się chciała ze mną umówić. Ku mojemu zaskoczeniu ona się uśmiecha.

– Zgadza się. Ale też nie pada często. Tego nie mówią. Że pora

deszczowa jest okropna, ale słoneczne dni są piękniejsze niż gdziekolwiek indziej.

– Więc mieszkasz przy Los Flores? W którym domu?

– W tym nowoczesnym. Richard, jego właściciel, jest najważniejszym klientem mojej mamy, wyjechał na lato do Chin i zaproponował nam dom. Pomyślał, że nadmorskie widoki mogą zainspirować moją mamę, i miał zupełną rację. – Pochyliła się do mnie i zakrywa dłonią usta. – Poza tym jest kawalerem i, między nami, myślę, że jest na nią napalony.

Czuję pociągnięcie za rękaw. Zerkam w dół na kubek Leah, który wyciąga, żeby mi pokazać. Nierówno namalowane serca we wszystkich kolorach. Przestrzenie pomiędzy nimi pokryte są miętową farbą.

– Wygląda świetnie, Leah. Mama będzie zachwycona.

Uśmiecha się, ale nagle wtrąca się Vivi.

– No, proszę. Jesteś artystką?

Leah marszczy brwi.

– Nie...

– Bo jesteś bardzo utalentowana, muszę ci powiedzieć. Niektórzy, o wiele starsi od ciebie, nie potrafią malować chociaż w połowie tak dobrze jak ty. A ja się znam, bo moja mama jest z zawodu malarką, więc wiem, kiedy ktoś ma talent do malowania. Jonah, na przykład, go nie ma.

To rozśmiesza Leah. Policzki ma rumiane z dumy. Moje też chyba są różowe. Otwieram usta, żeby się wytłumaczyć z jednolicie niebieskiego kubka, ale Leah odzywa się przede mną.

– Twoja mama jest malarką?

To pytanie mnie zaskakuje. W domu Leah mówi to, co myśli. Ale publicznie, nawet przy koleżankach w szkole, w każdej rozmowie trzyma dystans.

– Oj, tak. Dlatego tu jesteśmy – żeby mogła malować słońce i ocean.

Leah się nad tym zastanawia.

– Więc nie znasz tu nikogo oprócz twojej mamy?

Vivi wzrusza ramionami.

– Poznałam parę osób. A czemu? Chcesz mi polecić kandydatów

na przyjaciół? Albo jakieś ciekawe rzeczy do zrobienia? Albo najlepsze miejsca, gdzie można coś zjeść?

– U mnie w domu – mówi Leah. – To najlepsze miejsce, gdzie można coś zjeść.

– U ciebie w domu? – Vivi się uśmiecha.

Leah kiwa głową.

– Jonah, czy Vivi może dzisiaj przyjść do nas na kolację?

– Hm... – Owszem, z radością umówiłbym się na kolację z tą dziewczyną. Ale nie w moim domu z moją zwariowaną rodziną. Obie na mnie patrzą. Cholera, naprawdę nie mam żadnej wymówki. Nie mamy jedzenia? Wierutna bzdura, kupuję jedzenie hurtowo, żeby zaoszczędzić. Prawda jest zbyt brutalna – moja mama jest pogrążona w depresji, a ja mam pięcioro dysfunkcyjnego rodzeństwa. Vivi nawiązuje ze mną kontakt wzrokowy, a ja w myślach błagam ją: nie każ mi siedzieć przy naszym kuchennym stole i przyglądać się, jak wszystko obserwujesz – kłótnie i dokuczliwy brak rodziców.

– Jasne. Jeżeli chcesz.

Vivi klaszcze z radości, a Leah się uśmiecha. I tak nie miałaś najmniejszych szans, mówię sobie. Więc nic nie tracisz. Leah podała mi tykającą bombę zegarową, a ja zgodziłem się, żeby ją odpalić. Teraz muszę czekać, aż wypali mi w twarz.

– Co mamy dziś na kolację? – pyta Leah.

– Jeszcze nie zdecydowałem. A co byś chciała?

– Pizzę. Ale nie taką sklepową. Taką, jak ty robisz. – Zerka na Vivi. – Jest najlepsza. Będzie ci smakowała.

Nie jest to tanie danie, ale zrobię je. Leah wstaje, żeby wybrać kolejny kolor farby. Kiedy jest dość daleko od nas, pochylam głowę.

– Nie musisz tego robić, jeżeli nie masz ochoty. Szczerze, ona to zrozumie.

– Ale przecież ja chcę. – Vivi mruży oczy, jakbym wygadywał głupoty. Jakby przyjęcie zaproszenia na kolację od pięciolatki było najbardziej normalną rzeczą na świecie. – Jak mówiłam, jestem w mieście nowa, poza tym moja mama nie gotuje, więc przez tydzień jadłam na kolację płatki. Pyszne płatki, ale chętnie zjadłabym coś ciepłego. Coś odżywczego. Więc o której mam wpaść?

– Hm... – Zawieszam głos. Obliczam, ile czasu zajmie mi kupno składników, przejście z pracy do domu i zrobienie ciasta. I ile czasu zajmie mi sprzątnięcie domu, przekonanie rodzeństwa, żeby w obecności Vivi zachowywali się normalnie, i wymyślenie co, o ile w ogóle cokolwiek, mam powiedzieć tej dziewczynie na temat moich rodziców. A raczej ich braku. Potrzebuję minimum dwa tygodnie.

– Masz. – Vivi chwyta mnie za nadgarstek i przyciąga do siebie moją lewą rękę. Czuję wilgoć na skórze, chłodne pociągnięcia mokrego pędzla. Kiedy kończy, na mojej ręce widnieje dziesięć cyfr namalowanych niebieską farbą. Jej numer telefonu biegnie od bicepsa, gdzie zaczyna się rękaw koszulki, do nasady dłoni. – Napisz esemes, jak będziesz wiedział.

Wychodzimy z pracowni po niecałej godzinie, w ciągu której Leah zdążyła zdobyć nową koleżankę, a ja numer dziewczyny, namalowany na ręce. Spoglądam na Leah.

– To było dziwne.

Kiwa głową.

– Ale miłe.

Teraz mam niecałe pół dnia na to, żeby doprowadzić moje życie do normalności, a przynajmniej do względnej normalności, tak żeby ta ładna dziewczyna nie uciekła z krzykiem, zaraz jak wejdzie. Potrzebny mi plan. I fryzjer. I pewnie strzałki usypiające dla mojego rodzeństwa.

Leah idzie po chodniku jak po równoważni. Przyglądam jej się przez chwilę, aż w końcu pytam:

– Jak myślisz, jak dziwna jest nasza rodzina w skali od jednego do dziesięciu?

– Sto – mówi po prostu. – Ale w pozytywnym sensie.

Na ogół czuję, że ledwie to wszystko ogarniam. Ale skoro moja najmłodsza siostra jest zdania, że ma dobre życie mimo braku ojca i nieobecnej matki, wiem, że warto. W pozytywnym sensie. Wiem, że to niewiele. Ale mnie wystarczy.

Vivi:

Dzień dobry, Vivi!

Podnoszę wzrok i widzę, jak do lady zamaszystym krokiem idzie Whitney. Włosy okalają jej twarz cieniutkimi kosmykami, orzechowymi z odcieniem czerwieni w dziennym świetle. W jednej chwili ogarnia mnie zazdrość na widok brązowej kopertowej spódnicy, która sięga do samej ziemi.

– Dzień dobry!

– Jak tam dzisiaj? – Stawia małe pudełko z nowymi farbami.

– Zarabicie. Piętnastu klientów w ciągu, ile to było, sześciu godzin? Jedna osoba pomalowała dwie rzeczy. Do tego poznałam nową koleżankę. Iiiii... – Odwracam się do niej, a moje brwi tańczą intrygująco. – Poznałam chłopaka.

Whitney odwraca się do mnie z uśmiechem.

– Coś takiego.

Moje myśli wracają do Jonaha, jego zmierzwionych włosów, ciemnych oczu w kolorze kawy w kubku, kiedy człowiek się w niego wpatruje – ciemnych, brązowych wpadających w czerń. Rozkosznych, ciepłych.

– Uhm...

– Znam go? Turysta czy miejscowy?

Whitney zaciera ręce, jakby czekała, aż zlepię w całość smakowite szczegóły i je jej przekażę.

– Miejscowy. Jonah. – Jego imię łatwo wypowiedzieć brawurowo: Jo-nahhh. Uwielbiam och i ach, i głoskę n, która wymaga dotknięcia podniebienia. Żeby wymówić na głos moje imię, wystarczy dolna warga i górne zęby.

Kolczyk w brwi Whitney unosi się co najmniej o dwa centymetry i odbija światło sufitowe.

– Jonah Daniels?

– Nie mam pojęcia. Średniego wzrostu, ciemne włosy, ma słodką małą siostrę o imieniu Leah. Jakby lekko rozkojarzony, zdenerwowany.

– Tak, to Jonah. – Z przejętej świeżą plotką, Whitney stała się zmartwiona. Nie wiem, który szczegół ją zmartwił. O, ludzie, jeżeli ma

dziewczynę, to będzie potwornie denerwujące, oczywiście się z tym uporam, ale jednak będzie to denerwujące. Będę potrzebować czasu, żeby sobie z tym poradzić, a ja nie jestem cierpliwa. Mam plany, wiadomo. Dobrze. Whitney mocniej zaciska ręce na piersiach.

– Zaprosił cię na randkę?

– Właściwie nie. Leah zaprosiła mnie do nich na kolację, a Jonah się zgodził. Ale wydaje mi się, że ten pomysł mu się spodobał, chociaż może sobie to ubzdurałam, ale na pewno spodoba mu się ten pomysł, zanim odejdę od stołu. – Posyłam jej mój zwycięski uśmiech, ale ona nadal wygląda niepewnie. – Boże, zachowujesz się, jakby miał trąd czy coś. O co chodzi? Jeżeli morduje siekierą, to mi szybko powiedz, żebym mogła się zastanowić, czy ryzykować dzisiejszy wieczór.

– Nie, chodzi o to, że... – Whitney przerywa. – Jego rodzina wiele przeszła w ciągu ostatniego roku. Wszyscy się martwili, że...

– Nie musisz mi mówić – ucinam. – Właściwie wolę, żebyś mi nie mówiła. Nie mam oporów, żeby poznawać ludzkie szkielety osobiście. Nie mam najmniejszych oporów. Wolę sięgnąć prosto do szafy i uścisnąć ich kościstą dłoń i przywitać się sama.

Whitney parska śmiechem.

– Dobra z ciebie dziewczyna, Viv.

– Dziękuję. – Dygam lekko. – Poza tym wiele trzeba, żeby mnie przestraszyć, zwłaszcza kiedy chłopak zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, jakim jest przystojniakiem, a to jeszcze potęguje to wrażenie, jeżeli o mnie chodzi. Odpowiedzialny starszy brat jest całkiem seksowny, nie sądzisz?

Whitney parska śmiechem.

– Mam dwadzieścia sześć lat, Viv. Nie oceniam seksowności szesnastolatków.

– W takim razie uwierz mi na słowo. – Puszczam do niej oko, śmiejąc się, i biorę torebkę zza kasy.

W czasie krótkiej drogi do domu utwierdzam się w mojej decyzji, żeby nie poznawać sekretów Jonaha. Ja też wiele przeszłam w ciągu ostatniego roku i nigdy nie chciałabym, żeby ktoś przekazywał najbardziej poufne informacje o mnie jak wejściówkę na koncert czy kupon do nowej restauracji. To są moje prawdy, które poznam w swoim

czasie, o ile w ogóle je poznam.

Ale żaden z tematów nie był na tyle wesoły, żeby o nim rozmyślać, więc zanim dotrę na Los Flores Drive, przestawiam się i wspominam, jak muskałam pędzlem skórę Jonaha Daniela. Dom Richarda jest skromnym domem parterowym przy plaży, urządzonym typowo dla kawalera w średnim wieku, elegancko i nowocześnie. Nad kuchenną wyspą wiszą industrialne lampy, kanapa wspiera się na kanciastych drewnianych nogach. W zasadzie dom jest bardzo modny, ale meble nie są przytulne. Ten dom wygląda na najnowszy ze wszystkich, jakie widziałam w Verona Cove, i jest to rozczarowujące, ale burzyciele domów chyba nie mogą narzekać. Powiesiłam sznury lampek na każdej ścianie w moim pokoju, bo chciałam, żeby stał się bardziej przytulny i możliwie podobny do wystawy Yayoi Kusamy.

Fakt, przyznaję domowi punkty za okna od sufitu do podłogi w salonie. Właściwie nie są to nawet okna, ale przeszklone ściany. Spotykają się w odpowiednim rogu, który wychodzi dokładnie na ocean. Jest wprost cudowny. Kiedy wieczorem zachodzi słońce, rozlewa się po całym salonie.

Wielkie zasłony opuszczają się za jednym naciśnięciem guzika, ale moja mama i ja nie możemy ich używać, bo dla nas są wielkim marnotrawstwem. W nocy patrzymy na ocean i nie możemy uwierzyć w jego bezkres, czerń ani to, ile zajęcia mają fale, kiedy reszta świata śpi. I, o Boże, w to, jak księżyc wypełnia kosmos – w tym widoku jest boskość, mówię wam.

Z tego powodu wierzę mamie, kiedy mówi, że Richard jest co prawda obrzydliwie bogatym biznesmenem, ale ma też wrażliwą duszę, głęboką jak basen ze spadkiem, jakiego się człowiek nie spodziewa po takiej łagodnej powierzchni.

W domu mama siedzi przy sztalugach, które stoją w rogu salonu. Jest jak kapitan, który kieruje szklanym dziobem zwróconym w morze. Pracuje nad tym samym obrazem, odkąd po raz pierwszy zobaczyła ten widok, i wyczuwam, że jest bliska końca.

Obraz jest abstrakcją, jak splątane kolorowe wstęgi na płótnie. Większość jej obrazów, dla niewytrawnego oka, wygląda na jeden wielki chaos. Radosny, kolorowy, zupełny chaos. Nietrudno dostrzec, że mnie

też taką stworzyła. Obraca się i w końcu mnie dostrzega.

– Cześć, kotku.

– Cześć.

– Jak było w pracy?

– Cudownie, naprawdę.

Wstaje i wyciąga ręce nad głowę. Jestem pewna, że przez jakiś czas stała w tej samej pozycji. Patrzy na mnie, a jej wzrok staje się badawczy, przysuwa się bliżej, na tyle blisko, że kładzie dłoń na moim policzku.

– Nie schudłaś trochę ostatnio?

Sztywnieję i odsuwam się od jej dotyku.

– Nie. Nie wiem. Nie.

– Jesteś pewna?

Wzdycham, bo nie znoszę tego z dwóch powodów: po pierwsze, nie chcę znowu być jak patyk. Z pełniejszymi biodrami wyglądam cudownie, chociaż nadal mam nadzieję, że piersi nieco bardziej mi się zaokrągłą. Po drugie, wiem, co insynuuje.

– Mamo, jest lato w Kalifornii, pewnie więcej się pocę albo coś takiego.

– Viv. – Wzdycha i na chwilę zamyka oczy, jakby modliła się o siły. – Proszę, nie każ mi pytać.

– Ja ci nic nie każę. – Spoglądam na nią gniewnie. – Może po prostu nie będziesz pytać?

Nie cierpię, kiedy mi się o tym przypomina, i nie mogę znieść, że ona nie przestała o tym myśleć. Ja o tym nie myślę, no, może prawie nie myślę, bo nie widzę sensu wspominać złych momentów życia.

Wcześniej w tym roku za bardzo obniżył mi się nastrój. A potem wpadłam w za wielką euforię. Dali mi leki, które wyciągnęły mnie z króliczej nory, a jednym z ich ubocznych efektów był przyrost wagi. To dlatego moja mama jest podejrziwa, insynuuje i jest niesprawiedliwa.

Staram się robić tę rzecz, kiedy się zdenerwuję, kiedy zaczyna mnie ponosić złość: spycham całą moją złość w dół po rękach. A potem pstrykam palcami obu dłoni, próbując strząsnąć z siebie to uczucie. Dźwięk, poczucie tego pstryknięcia. Czasami sprowadzają mnie na ziemię.

Mama idzie za mną, kiedy wchodzę na górę do mojego pokoju. Oglądam się przez ramię i pstrykam palcami obu dłoni. Nie, nadal jestem wściekła.

– Mam prawie siedemnaście lat. To mnie bardzo krzywdzi i obraża, że mi nie ufasz.

Stajemy przed drzwiami, a ona wygląda na smutną, bardzo smutną, jakby nie była w stanie zmilczeć tego, co zaraz powie.

– Viv. Powiedz, że bierzesz tabletki. Tylko powiedz, a ja uwierzę.

Wchodzę do mojego pokoju, odwracam się do niej twarzą, z dłonią na drzwiach, żeby je zatrzaskać.

– Tak, okej? Tak, biorę te cholerne, pierdolone tabletki.

Drzwi trzaskają mocno o futrynę, a echo niesie się po korytarzu. Kładę się na łóżku na tyle zła, żeby się rozplakać, ale to nic szokującego, bo jestem tak zła, że potrafiłam wykrzyknąć mamie w twarz słowo na p. Wcale się tym nie przejmuję, bo osiemdziesiąt tysięcy razy prosiłam ją, żeby nie podejmowała tego tematu, i serio, czy to takie trudne? Unikać jednego jedyne go tematu na całutkim kochającym świecie?

Pozwalam sobie na płacz przez chwilę, uzalam się nad sobą wyciągnięta na łóżku i ukrywam głowę w pluszowym futerku Najbrązowszego. Najbrązowszy był moim ulubionym pluszowym przyjacielem od czasów, kiedy byłam mała. Mama zaproponowała, żebym dała mu na imię Brązuś, bo jest psem w kolorze brązowym. Ale przez to, że jest całkiem brązowy, nie mogłam sobie wyobrazić, że mógłby być jeszcze bardziej brązowy, dlatego nazwałam go Najbrązowszy. Mieszka przy zagłówku mojego łóżka z różowym osiołkiem o imieniu Rosabelle i pluszowym żółwiem Normanem.

Nie wiem, jak długo tak pociągam nosem, kiedy brzęczy telefon.

„Cześć. Tu Jonah. Poznaliśmy się rano”.

Poznaliśmy się rano, jakby musiał mi przypominać. Jakbym w ciągu kilku ostatnich godzin mogła poznać innego Jonaha, który bardziej zapada w pamięć. Uśmiech zakrada się na moją twarz. Jakie to słodkie, że myśli, że mogłam o nim zapomnieć przez sześć godzin. Odwracam się na brzuch i trzymając telefon w obu dłoniach, odpisuję.

„Cześć, Jonah, którego poznałam rano. Nadal robisz dla mnie kolację?”

„Pizza około szóstej, jeżeli to nadal aktualne”.

Hm. Rzeczowo, zupełnie bez flirtu. Jonah, Jonah, Jonah – tylko mnie zachęcasz. Czuję się, jakbym była w schronisku dla zwierząt i chciała, żeby polubił mnie najbardziej płochy pies.

„Pewnie, że aktualne”.

„To fajnie. 404 Seaside Street. Leah jest przejęta”.

Oj, Jonah, głuptasie. Skłonię cię, żebyś ze mną flirtował.

„Tylko Leah? A Ty nie?”

Obracam telefon w dłoniach, czekam i uśmiecham się do siebie.

Tego właśnie potrzebowałam na lato – słońca, oceanu, szalonego flirtu.

I lekkiego wyzwania.

W końcu mój telefon dzwoni znowu.

„Oczywiście, że ja też”.

Ha! Mam go! To wystarczy, żeby mnie rozweselić, i nagle nie jestem w stanie siedzieć sama w pokoju, pokłócona z mamą. Schodzę na dół, powłócząc nogami, i przygryzam dolną wargę. Mama siedzi przy kuchennej wyspie, kiedy skręcam ze schodów za róg. Zakładam ręce na piersiach, opieram się o futrynę i wzdycham bezwiednie. Nie chcę być tą, która odezwie się pierwsza, i właściwie nie wiem, co powiedzieć. Mama wyczuwa moją obecność, wstaje od stołu i patrzy na mnie. Oczywiście lekko zaczerwienione, bo jest bardzo wrażliwą osobą, jak ja.

– Wiesz, że nie lubię ci rozkazywać. – To prawda, nie cierpi mi mówić, co mam robić. Wierzy we wrodzone bogactwo instynktów i to, że samodzielność jest drogą do doskonałości. Pobudza moją kreatywność, moje reakcje, moją osobowość. Do pewnego stopnia. – Jestem dumna z tego, jakim jesteś człowiekiem, i ufam ci. Ale muszę cię pilnować, bo jesteś moim dzieckiem i zawsze będę chciała cię chronić, nawet jeżeli będziesz się na mnie wściekać.

– Wiem. – Mój głos jest cichy jak szept dziecka, które przeprasza po to, żeby skończyła mu się kara. Odruchowo pociągam lewy rękaw, który zakrywa długą bliznę. – Przepraszam za to, że krzyczałam. Po prostu nie cierpię, jak mi się o tym przypomina.

– Wiem. Ale musimy ze sobą rozmawiać. Doktor Douglas mówi, że...

– Możemy o tym więcej nie rozmawiać? Proszę, po prostu

fizycznie boli mnie w piersiach na samą myśl o tym, i...

– Dobrze już, dobrze. – Bierze mnie w ramiona, chociaż ja trzymam ręce założone na piersiach i tulę samą siebie, chociaż ona też mnie przytula. Opieram głowę na jej ramieniu i stoimy tak przez chwilę, oświetlone lampami Richarda, które kosztują pewnie więcej niż moje życie.

Kiedy mama się odsuwa, kładzie dłonie na moich ramionach.

– Pomyślałam, że zamówimy na kolację sushi. Co ty na to? Philadelphia roll i spider roll? I trochę sashimi?

Uwielbiam sushi bardziej niż jakąkolwiek inną potrawę na ziemi. To jej gest pojednania i normalnie nie zastanawiałabym się ułamka sekundy.

– Brzmi świetnie, ale możemy to przełożyć? Zapomniałam ci powiedzieć, że idę na kolację do koleżanki.

– O, to super! – Mama klaszcze. Jakby nigdy nic znów jest moją najlepszą przyjaciółką, a nie matką, która się zadręcza. Siada na stołku obok, a ja zajmuję wcześniejszą pozycję przy drzwiach. – Do Whitney?

– Nie, to nowa koleżanka. A właściwie koleżanka i kolega. Ta mała dziewczynka przyszła dziś do pracowni, była onieśmielona, ale przy mnie się rozkręciła i zaprosiła mnie na kolację z racji tego, że dopiero się wprowadziłyśmy. Powiedziała, że serwują najlepsze jedzenie w mieście.

Mama się śmieje.

– Cudownie. Więc będziesz jeść kolację z przedszkolakiem?

– Tak... I z jej dużo starszym bratem, który nie ma pojęcia, jaki jest nieziemski.

– Aha. – Uśmiecha się. – Brzmi wspaniale. O wiele lepiej niż sushi ze starą matką.

– Mamo... – Przewracam oczami, bo wie, że uwielbiam z nią spędzać czas i dlatego robię to prawie nieustannie.

– Drocę się z tobą – mówi. Potem pochyla się, chwyta mnie za rękę i znów wygląda na smutną. – Między nami wszystko w porządku? Powiedziałabyś mi, gdyby nie było?

Chce powiedzieć: powiedziałaabyś mi, gdyby z tobą nie było w porządku. Kiwam głową i ściskam ją za rękę.

– W porządku.

Jonah:

Restauracja nazywa się U Tony'ego, bo tak właśnie jest – należała do mojego taty. Jest dla mnie takim samym domem jak mój prawdziwy. Znam każdą rysę na drewnianej podłodze i listwach przypodłogowych. Znam każdy składnik w kuchni. Wiem, że trzeba pociągnąć rączkę lodówki do góry i przekręcić ją jednocześnie, żeby ją otworzyć. Kiedy tata kupił ten budynek, była tu pizzeria. Przebudowali ją z Feliksem wiele lat temu, ale został piec ze starych cegieł. Przed śmiercią taty i po niej.

Menu składa się z potraw, które tata lubił najbardziej, kiedy dwadzieścia lat temu otwierał restaurację. Większość przystawek zainspirowana jest kuchnią włoską, którą tata poznał w domu, albo kuchnią francuską, której nauczył się w szkole kucharskiej. Piccata z kurczakiem, stek z pieprzem, tortellini z pesto, tego rodzaju dania. Przyrządzał proste klasyki tak, że smakowały jak nowatorskie potrawy.

Kiedy pracuję nad lunchem, wszystko robię zawsze w tej samej kolejności: myję i rwę sałatę, kroję pomidory i cebulę, trę ser. Lubię ten rytuał. Ale dzisiaj nie mogę się skupić. Zła perspektywa dla kogoś, kto operuje kilkoma rodzajami noży. Myślę tylko o kolacji. Wypucowałem dłonie w zlewie przemysłowym, ale numeru namalowanego niebieską farbą na ręce nie tknąłem.

Moja zmiana dobiega końca, kiedy Felix wpada tylnymi drzwiami z dwoma kartonami. Nie widzę jego twarzy, jedynie śniade ręce.

– *Hola, amigos!*

Wszyscy odpowiadają na powitanie. W kuchni do szefa kuchni mówi się „szefie”. To protokół. Piłkarze też nie mówią do trenera John ani Eric. Zwracają się do niego „trenerze”. Mój tata był szefem przez prawie dwadzieścia lat. Zanim skończyłem cztery lata, myślałem, że tak ma na imię. Myślałem, że został szefem z powodu imienia. U Tony'ego nie mogło być innego szefa. Felix upiera się, żebyśmy nadal mówili do niego Felix, chociaż to on jest teraz szefem kuchni. Jest najlepszym przyjacielem mojego taty. Był. Nie, jest. Nigdy nie wiem, jakiego czasu użyć. Kiedy ktoś umiera, przestaje być najlepszym przyjacielem. On był najlepszym przyjacielem. Ale osobę, która pozostaje, jak Felix, nadal

obejmuje terazniejszość. Tak jak mnie. Tony Daniels był moim tatą. Ale ja jestem jego synem.

– Zrobiłeś sobie tatuaż, Maní? – Felix zerka na moją rękę, stawiając kartony na blacie obok mojej przestrzeni roboczej. Tata nazywał mnie Orzeszkiem, kiedy chodziłem do podstawówki. Cholernie mnie to krępowało, aż kazałem mu przestać. Nigdy nie przypuszczałem, że będzie mi tego brakować, w najśmielszych wyobrażeniach. Więc lubię, kiedy Felix nazywa mnie tak po hiszpańsku. – To numer telefonu? – Pochyla się bliżej, żeby przyjrzeć się cyfrom. – Numer dziewczyny?

Staram się, żeby mój głos brzmiał swobodnie.

– A, tak.

– Nie wierzę. – Czeka, żebym się poddał, żebym przyznał, że kłamię. Nie robię tego, a on szturcha mnie w rękę. – Poważnie? Poprosiłeś dziewczynę o numer?

Słyszysz to Gabe, jeden z pomocników kuchennych.

– Oooo, Daniels. Znalazłeś sobie kobietę? – Tańczy, lekko poruszając biodrami, a pozostali faceci wiwatują. Cieszę się, że się ze mną drocą. Po śmierci mojego taty nie byli w stanie na mnie patrzeć. W kuchni panowała straszna cisza.

– Niezłe ruchy – mówię do Gabe’a, który nie przerywa wygłupów i kręci tyłkiem. – Widać, że masz dużą wprawę.

Pokazuje mi środkowy palec i się uśmiecha, a pozostali zaczynają sobie z niego żartować. Nawet Felix się śmieje. Ma donośny, zdrowy śmiech jak mój tata. Ich przyjaźń trwała tyle lat, że się do siebie upodobnili. Felix używa mnóstwa tych samych słów i zwrotów, jakich używali w żartach. Czasami wypowiada słowo w taki sam sposób, w jaki powiedziałby je tata. A może to mój tata czasami mówił jak Felix. W dobre dni sprawia, że czuję się bliżej taty. W złe, że tęsknię za nim tak, że wydaje mi się, że żebra mi popękają.

– No to zmykaj stąd, Maní – mówi Felix, wchodząc do biura. Gabinet jest właściwie pomieszczeniem gospodarczym z biurkiem i półką. Tata, który był wysoki, wyglądał w nim zabawnie. – Dzwon do swojej dziewczyny.

Wracam do domu z dwiema siatkami zakupów na tradycyjną pizzę. Jedna będzie zwykła, dla Silasa, Bekah i Isaaca – purystów pepperoni. I

dla Vivi, jeżeli je mięso. Jeżeli nie, będzie miała do wyboru pizzę z karczochem, szpinakiem i fetą. Moja mama ją uwielbia, Naomi też, bo jest wegetarianką. Mam nadzieję, że Vivi będzie chciała jej spróbować, bo to moja najbardziej fantazyjna pizza, robi wrażenie. Przygotuję też małą pizzę dla Leah. Nie cierpi, jak jakiegokolwiek inne składniki choć dotkną jej pizzy, i nie przepada za sosem pomidorowym. Właściwie dostanie okrągły chlebek serowy. Ja zjem to, co zostanie, bo lubię je wszystkie.

Kiedy skręcam w naszą ulicę, widzę Silasa na trawniku przed domem. Gra z Isaakiem w wiffle ball, rzuca mu piłkę, a on wymachuje kijem i smaga jedynie letnie powietrze. Bekah śmieje się z bramki, a Leah niczego nie zauważa. Chyba miała grać na skrzydle, ale tańczy na trawie. Zanim zdążę do nich podejść, uderzenie Silasa trafia w kij Isaaca i Silas nie chwytą piłki, udając, że naprawdę próbował. Isaac człapie do pierwszej bazy, którą okazuje się spłaszczony pudełko po płatkach. Ostatnio chcą grać w wiffle ball tylko z Silasem, nie ze mną. Kiedy zeszłej wiosny przestałem wracać do domu w moim stroju, powiedziałem im, że przestałem lubić bejsbol. Że nie będę więcej grał, bo nie jest taki fajny, jak mi się wydawało. Prawda była taka, że musiałem siedzieć z nimi w domu. Naomi była w szkole, mama nie wstawiała z łóżka, a Silas nie był w stanie sam sobie ze wszystkim poradzić.

– Cześć – mówię. Odpowiadają wszyscy jednocześnie. Isaac dopytuje, czy widziałem jego uderzenie, Bekah pyta, co jest na kolację, a Leah chce wiedzieć, kiedy przychodzi Vivi. – Tak, widziałem uderzenie, było niesamowite. Na kolację jest pizza i powiedziałem Vivi, żeby była koło szóstej.

– Kto to jest Vivi? – pyta Silas, podnosząc piłkę, którą trafił Isaac.

– Moja koleżanka! – mówi Leah.

Porozumiewam się wzrokiem z Silasem.

– Później ci powiem.

To wystarczy, żebym przestał wzbudzać sensację. Isaac błaga Silasa o kolejny rzut, a Bekah wyklóca się, że teraz jej kolej. Nie będę ich uspokajał, mowy nie ma. Wypełniłem swoje dzisiejsze obowiązki.

W domu łączę produkty ze sklepu z tymi, które mam w kuchni.

Korzystam z przepisu na sos taty, który opracował na podstawie przepisu mojej babci. Urodziła się na Sycylii, więc ten kawałek papieru jest włoskim skarbem. Kartka wcale nie jest mi potrzebna. Cały trik polega na tym, żeby dodać trochę miodu i majeranku. Trochę słodczy i trochę ostrości. „To tak jak ze mną, co?”, mawiał mój tata zza kuchennej wyspy. Mama mruzczała: „uhm”, przewracała oczami, ale się uśmiechała.

Łatwo wpadam w kuchenny trans. Kiedy moje myśli przeskakują przez wszystkie etapy przepisu, nie jestem w stanie myśleć o niczym innym. No, pewnie bym mógł, ale spieszyłbym danie.

Za każdym razem, kiedy kończę jedną czynność – mieszanie zaczynu, żeby miał czas wyrosnąć, rozmrażanie pepperoni – mój umysł dodaje kolejne zadanie na koniec listy. Moje dłonie muszą być w ruchu, żeby nadążyć za kolejnymi zadaniami. Lubię przygotowywać cały posiłek jednocześnie, bo to bardziej skomplikowane niż sama przystawka. Dzisiaj wieczorem zrobię też sałatkę i deser.

W kuchni mój tata nadal jest wszędzie obecny. Na drewnianych uchwytach noży, w ciężkich kamieniach do pizzy. Jego dłonie dotykały tych przedmiotów tysiące razy. Wiem, że to żalotne, ale kiedy gotuję, jego głos w mojej pamięci jest wyraźniejszy.

„Jonah, spróbuj tę cebulę pokroić w krążki, dobra robota, chłopaku. Znasz to powiedzenie, synu: pilnowany garnek się nie przypali, z niepilnowanego wychodzi przegotowany makaron. Nie spuszcza go z oka”.

Nie wiem, ile czasu przygotowuję pizzę i mieszam sałatkę. W końcu Bekah i Isaac wpadają do salonu, żeby zagrać w grę wideo, a Silas pochyla się nad kuchenną wyspą. Unoszę wzrok znad wiśni, które drylują do ciasta.

– Leah naprawdę zaprosiła koleżankę na kolację? – pyta. Wiedziałem, że będzie zaskoczony. Oboje się o nią martwimy. Kiedy kiwam głową, mówi: – Niesamowite. Spotkała kogoś, kiedy wyszliście rano?

- Hm, tak jakby. Poznała kogoś nowego w pracowni ceramicznej.
- Jeszcze lepiej.
- Jest... trochę starsza od Leah.
- W wieku Isaaca?

Rozlega się pukanie do drzwi wejściowych. Wychylam się, żeby spojrzeć przez boczne skrzydło drzwi. Stoi za nimi Vivi, macha ręką i trzyma coś, co wygląda na butelkę wina. Jest prawie godzinę za wcześnie. Cholera. Nie miała widzieć, ile wysiłku włożyłem w tę kolację. Miała wyglądać na niewymagającą. Jak ucztą w Hogwarcie. Chwileczkę, nie! Nie chcę być Zgredkiem w tym porównaniu. Jezu.

– Nie. W wieku tej dziewczyny. Bo to właśnie ona.

Silas zerka na mnie, unosi brwi i idzie do otwartych drzwi.

– Wy tłumaczysz mi to później.

Vivi ma na sobie to samo ubranie, co wcześniej – krótkie spodenki i luźny sweter, który nie ukrywa góry kostiumu kąpielowego pod nim. Przedstawia się Silasowi i mówi coś o tym, że nie wiedziała, że mam brata. Później śmieje się, kiedy Silas mówi jej, że w sumie jest nas sześcioro. Pewnie powinienem był ją rano uprzedzić. Może jest strachliwa. Jeżeli tak, nie wytrzyma dłużej niż do sałatki.

– Cześć, Jonah – rzuca swobodnie. Stawia butelkę na blacie. – Nigdy w życiu nie zjawiałam się nigdzie za wcześnie, ale pomyślałam, że wpadnę i posiedzę do kolacji, bo musiałam wyjść z domu. I przyniosłam gazowany sok grejpfrutowy, pomyślałam, że będzie miło, ale nie wiedziałam, że masz pięcioro rodzeństwa. Więc chyba każdy dostanie po małym kieliszku.

Znow parska dźwięcznym śmiechem. Silas patrzy na nas i szuka brakującego fragmentu tej historii. Zanim zdążę się odezwać, Leah wyłania się zza rogu i niemal wpada na gołe nogi Vivi.

– Vivi! – krzyczy. – Jesteś! Cześć! Chcesz zobaczyć moje kolorowanki?

Vivi bez chwili wahania kiwa głową zadowolona.

– Pewnie! Skąd wiedziałaś? Właśnie dlatego przyszłam wcześniej.

Puszcza do mnie oko, a Leah ciągnie ją za rękę. Moja twarz nabiera pewnie koloru pomidorów. Kiedy wychodzą z kuchni, wracam do drylowania. Czuję na sobie świdrujące spojrzenie brata.

– Jonah, nie okłamuj mnie. Jakim cudem udało ci się ściągnąć do naszego domu taką dziewczynę?

– Co? Nie wiem. Co to ma w ogóle znaczyć?

– Adoptowałeś ją? Czy wynająłeś?

Upewniam się, czy żaden z maluchów nie patrzy, a potem pokazuję Silasowi środkowe palce obu dłoni.

– Wyluzuj. – Klepie mnie po plecach. – Jestem po prostu pod wrażeniem, że zaprosiłeś taką ładną dziewczynę.

– Nie ja ją zaprosiłem tylko Leah.

– Teraz rozumiem. – Wskazuje wyspę. – Dlaczego wyskoczyłeś z ciastem wiśniowym. Miło.

– Zamknij się. – Boże, jestem beznadziejny.

Kiedyś umiałem zagadywać do dziewczyn. W każdym razie nieźle mi to wychodziło. Mam trzy siostry, więc dziewczyny nie są dla mnie takie nieodgadnione. Są po prostu ludźmi. Mojemu przyjacielowi Zachowi tłumaczyłem: „Chłopie, spytaj ją o to, o co spytałbyś każdego. Czym się interesuje? Co jest dla niej ważne? To nie takie trudne”. Więc chyba po prostu wyszedłem z wprawy.

Leah i Vivi siadają na jednej z ławek przy naszym ogromnym rustykalnym stole. Na obu jego końcach stoją krzesła, jedno dla mamy, drugie dla taty. Te ławki zawsze mnie denerwowały podczas rodzinnych kolacji. Żeby się ruszyć z miejsca, dwoje rodzeństwa musi się ruszyć z tobą. Ale teraz oddałbym wszystko, żeby przy stole siedziało osiem osób. Jedno z nas zawsze siada na krześle taty, drugie na mamy. To dziwne i wydaje mi się niestosowne. Ale lepsze to niż patrzeć na dwa puste krzesła.

Uzbrojona w cały stos malowanek Leah objaśnia każdy obrazek.

– Patrz – mówi do Vivi. – Tu wychodzi na śnieg i jest w zielonej sukni.

Usiłuję się skupić na deserze, ale nie mogę nie podsłuchiwać Vivi. Wypytuje Leah o nas wszystkich, o to, ile mamy lat i co lubimy robić. Vivi jest jak zaklinacz węży, ciągnie Leah za język. Moja siostra trajkocze – troje dużych, troje małych, na całe szczęście nie wspomina o rodzicach.

– Pięknie pachnie, Jonah! – krzyczy Vivi, kiedy pizza robi się na tyle gorąca, że ser zaczyna się topić.

– Dzięki. – Wracam do ciasta. Bo wszystkie zasoby słów wyparowały mi z głowy, a zamiast nich mam zupełną pustkę.

Vivi odwraca się do Leah.

– Okej, chyba znam już wszystkie. Naomi, Silas, Rutheford, Bekah, Isaac i Leah.

Leah zaczyna chichotać.

– Nie, nie Rutheford. Jonah.

– A, racja. – Vivi puka się w czoło. – No, Leah. Dobra, powiedz mi je jeszcze raz.

Leah bierze głęboki oddech i recytuje nasze imiona.

– Naomi, Silas, Jonah, Bekah, Isaac i ja.

– Naomi, Silas, Jonah, Bekah, Isaac – powtarza Vivi – i ja.

Znów słyhać chichot.

– Nie: ja! Leah!

– Ale ja nie mam na imię Leah! – mówi Vivi. – Jestem Vivi!

Leah przepadła, kiwa się na ławce ze śmiechu. Czuję, że sam się uśmiecham.

– Tu chyba jest jakaś impreza. – Naomi staje w drzwiach kuchni z torbą na ramieniu. – Hm. Cześć.

– Cześć! – mówi Vivi, siadając prosto. – Ty pewnie jesteś Naomi.

Naomi sztywnieje. Może dlatego, że jest zaskoczona, że ktoś wie, jak ma na imię. A może dlatego, że Naomi nie jest zbyt ciepłą osobą. A może dlatego, że jest nieustannie zmęczona dojazdami na staż. Nie wiem, jaki jest powód, ale moja siostra nie wygląda na zachwyconą.

– A ty jesteś...?

– Vivi – mówi po prostu, jakby samo jej imię wszystko wyjaśniało. A do mnie dociera, że w pewnym sensie rzeczywiście tak jest.

– To moja koleżanka – oznajmia Leah, zadzierając głowę.

– Leah zaprosiła mnie na kolację, kiedy zobaczyła, jak się błąkam po Main Street jak bezdomny kot, którego nie ma kto nakarmić. Tak było, Leah? Miaaaau. – Vivi zerka na moją młodszą siostrę, która kiwa pewnie głową, chichocząc.

– Hm... W porządku. – Naomi nie sili się nawet na sztuczny uśmiech. – Jonah, w lodówce w garażu mamy chyba lemoniadę. Będzie pasować do pizzy. Pomożesz mi ją przynieść?

Zerka na mnie wymownie. Ja, z kolei, zerkam na Silasa. Nie muszę, on sam już się podnosi z kanapy. Każdy z nas jest rozjemcą pozostałej dwójki. Silas i ja rzadko się kłócimy, za to obaj od czasu do

czasu mamy spięcie z Naomi.

Kiedy jesteśmy we troje w garażu, moja siostra odwraca się do nas z dłońmi na biodrach.

– Na przyszłość byłabym wdzięczna, gdybyście nie spraszali do domu obcych ludzi.

– Ona nie jest obca. A zaprosiła ją Leah, nie ja.

– Umówiliśmy się. Umówiliśmy się, że ze względu na mamę będziemy dbać o spokój w domu.

– Tak, i zobacz, dokąd nas to zaprowadziło. Poza tym lubię ją. Jest... słoneczna.

Prycha.

– Jestem wstrząśnięta. Podoba ci się dziewczyna, co tak wygląda i tak się ubiera.

Dobra, mam naprawdę dość. Przegięła. Twarz mam rozpaloną.

– Wiesz co, Naomi? Gównu mnie obchodzi twoje zdanie.

– Uroczo, Jonah. Bardzo dojrzałe zachowanie.

– Ciebie przez większość czasu tu nie ma. Nie wiem, skąd ci się uroiło, że możesz się wprowadzić na lato, jakby nigdy nic i zacząć nami dyrygować. Przez całe miesiące radziliśmy sobie bez ciebie.

Mruży oczy.

– Czyli moje zdanie się już nie liczy, dlatego że część czasu muszę poświęcać na studia?

– Ej, ty to powiedziałaś, nie ja. To nasza całodobowa rzeczywistość. Ty się pojawiaasz i znikasz.

Naomi wrze. Jej głos zamienia się w groźny szept.

– Przyjeżdżam do domu, kiedy tylko mogę. Większość dzieciaków w moim wieku wyjeżdża na wiosenne wypady albo studiuje za granicą, a ja tkwię tutaj. Macie pojęcie, jaki mam młyn na stażu?

– A ja rzuciłem bejsbol, żeby być z nimi po szkole. – Wskazuję na Silasa. – Wstajemy bladym świtem, pomagamy im w lekcjach i szkolnych zadaniach. My...

– Koniec. – Głos Silasa jest cichy. – Nie uskuteczniamy zawodów, kto poświęcił więcej. – Naomi i ja otwieramy usta jednocześnie, żeby dalej się kłócić. Silas wyciąga rękę. – Przestańcie. Jonah, nie możesz wypominać Naomi, że przez większość roku jest w szkole.

Naomi przybiera minę zwycięzcy, ale Silas mówi dalej.

– A ty, Naomi, nie możesz podejmować jednoosobowych decyzji tylko dlatego, że jesteś najstarsza. Jonah ma rację. Mnie odpowiada każdy człowiek, który jest w stanie tak rozbawić Leah.

Naomi przeszywa mnie wzrokiem.

– W porządku.

– W porządku. – Zaciskam zęby po tych słowach.

Wracamy do środka, jako usprawiedliwienie niosąc lemoniadę.

Vivi nakrywanie do stołu zamieniła w zabawę, a Leah jest tak rozpromieniona, że Isaac i Bekah zjawiają się w kuchni, żeby przyłączyć się do zabawy. Posyłam Naomi spojrzenie: „A nie mówiłem, że to dobra rzecz?” Ona mnie unika.

Kiedy Vivi nie patrzy, szturcham Isaaca w ramię i podaję mu talerz dla mamy. Bez słowa się odwraca, żeby zanieść go na górę. Robimy to co wieczór, chociaż ona zjada coś tylko czasami. Czasem schodzi do kuchni o dziwnych porach i szuka czegoś do jedzenia. Kiedy któreś z nas ją widzi, ona wpada w popłoch jak złodziej, który kradnie jedzenie, przyłapany na gorącym uczynku.

– Oj! Mało nie zapomniałam! – Vivi zrywa się, kiedy pozostali siadają przy stole. Przyniosłem już wszystkie dania, więc nie wiem, o czym mogła zapomnieć.

– Sok gazowany! Jonah, masz gdzieś jakieś małe szklanki?

– Chyba tak. – Przekopuję barek, aż znajduję małe kieliszki do szampana, które musiały należeć do mojej babci.

Rozlega się syk, kiedy Vivi otwiera butelkę i nalewa po trochu soku do każdego kieliszka, a potem podaje je kolejno mojemu rodzeństwu.

Są wakacje. Pięć minut temu nie było wakacji.

Vivi siada na ławce obok Leah. Ja wciskam się pomiędzy Isaaca i Bekah. Silas i Naomi zajmują miejsca na szczycie po obu stronach stołu, które należą im się jako najstarszym.

– Bardzo wam dziękuję za tak miłe przyjęcie w waszym domu – mówi Vivi, unosząc mały kieliszek. – Nie mam rodzeństwa i bardzo się cieszę, że przez ten jeden wieczór będę mogła udawać, że jestem jedną z Danielsów.

Nikt z Verona Cove nie chciałby być jednym z Danielsów przez ostatnie pół roku. Jej niewiedza przynosi ulgę. Nie musimy się dopasowywać do naszego Nowego Życia w Żałobie, dopóki jest z nami Vivi. Możemy oddychać lekko w naszym sztywnym i smutnym domu.

– A zwłaszcza dziękuję tobie, Jonah, za najpiękniejszy posiłek, jakiego od lat nie widziałam. Przysięgam na człowieka na księżycu, że jeżeli smakuje choć w połowie tak dobrze, jak wygląda, będę miauczeć pod waszymi drzwiami za okruchami ze stołu. – Puszczą oko do Isaaca. Policzki mu się rumienią za szklami okularów. – Więc... na zdrowie! – Vivi unosi kieliszek i dotyka nim kieliszków wszystkich pozostałych. Leah wygląda tak, jakby została zaproszona na herbatkę do Alicji w Krainie Czarów.

Bekah z zachwytem przygląda się Vivi.

– Twoja mama pozwala ci używać takiej szminki?

O Boże, niech mnie szlag. Niech ktoś. Coś. To przerwie. Moja siostra zadręczy Vivi z powodu jej wyglądu. I rodziców.

Vivi się uśmiecha. Jej wargi wyglądają jak plaster jabłka. Odmiany Red Delicious.

– Moja mama jest malarką, więc w zasadzie nie może się wściekać o to, że maluję usta, prawda?

– Fajnie – mówi Bekah pod nosem. Opiera lewą dłoń na kolanach, tak jak Vivi.

– O mój Boże – mówi Vivi, przełykając pierwszy kęs. – To najlepsza sałatka, jaką jadłam w całym życiu. Poważnie. Co w niej jest? Manna czy coś takiego?

– Co to jest manna? – Leah zagląda do swojej miseczki i marszczy czoło. – Ten ser smakuje jak rzygi.

– Leah – warczy Naomi. – To niegrzeczne.

Vivi się śmieje.

– Manna to pokarm, jaki jedzą w niebie. A śmierdzący ser to pyszny ser; zrozumiesz, jak dorośniesz. Tymczasem uwierz mi na słowo. Kiedyś zjesz tę sałatkę jeszcze raz i olśni cię, że ona jest magiczna.

Chrząkam.

– Jest w niej tylko sałata, gorgonzola, orzechy pekan w miodzie i pokrojona w kostkę gruszka. Doprawiona śliwkowym winegretem.

– Jonah robi sos sam – mówi Bekah. Jestem mile zaskoczony, że mnie chwali.

– To raczej jesienna sałatka – mówię. – Przez...

– O nie – jęczy Bekah, zerkając na Vivi. – Sprowokowałam go. Będziemy musieli słuchać o jedzeniu przez całą kolację.

Okej. Nie jestem już zadowolony z Bekah.

Vivi opowiada historię o tym, jak raz przez przypadek zjadła pancernika, na co wszyscy reagują śmiechem. Nawet Naomi chce się śmiać. To znaczy, nie śmieje się – odrywa kawałki swojej pizzy i żuje je bezlitośnie. Ale widzę, że chce jej się śmiać. Kiedy moja siostra postanowi, że będzie zrzęda, zdania nie zmienia.

Mój wzrok przesuwają się zgodnie z ruchem wskazówek zegara i obejmuje każdą osobę. Kuchnia wydaje się cieplejsza, pełniejsza. Vivi droczy się z Silasem i Isaakiem, którzy sprawiają wrażenie potulnych i zachwyconych jej uwagą. Komplementuje Bekah i pyta Naomi o jej staż. Moje rodzeństwo jest w nią zapatrzone, porusza się po jej orbicie. Ja też. Czuję, że nie mogę odwrócić wzroku.

– O mój Boże, Jonah, co za deser! Żartujesz? – Vivi nabiera na widelec wiśniowe ciasto. – Mam bzik na punkcie wiśni. Poważnie. To moje absolutnie ulubione owoce. Mam na ich punkcie obsesję, od kilku tygodni się nimi zajadam i nie mogę przestać.

– Jonah i ja też mamy obsesję! – mówi Leah. – W lecie jemy wiśnie codziennie, ale umiemy wypluwać pestki, więc wszystko w porządku.

Silas posyła mi wymowne spojrzenie, oszołomiony tym, że komuś udało się aż tak rozbić skorupę Leah.

Po kolacji Vivi oznajmia, że zostanie jeszcze trochę, żeby pokolorować z Leah. Ja sprzątam ze stołu z pomocą braci, a Naomi znika na górze, nadal na mnie zła. Bekah siedzi na kanapie i udaje, że czyta, ale nie przestaje obserwować Vivi, jakby była jednorożcem na pustyni. Moje dłonie zanurzają naczynia w ciepłej wodzie w zlewie, ale zerkam ukradkiem do salonu. Vivi leży na brzuchu na podłodze i koloruje malowanki z Leah. Nogi mają zgięte w kolanach i wymachują nimi w powietrzu. Mój wzrok wędruje po ciele Vivi, od jej czerwonych paznokci u stóp, przez nogi, do skąpych szortów. Kiedy śmieje się z

czegoś, co powiedziała Leah, robi to głośno, ze szczerą radością i zmienia jej się cały układ twarzy. Nóż wypada mi z dłoni i uderza o metalowy zlew.

– Jonah! – krzyczy Leah. – Chodź zobaczyć!

Odwracam wzrok, żeby Vivi się nie zorientowała, że ja już patrzyłem. Boże. Widziałem kiedyś w Internecie film o psie, który wpadał na szklane drzwi, bez przerwy. Nie mógł tego przebrnąć. To tak jak ze mną i próbami bycia fajnym przy Vivi.

– Chodź popatrzeć na mój obrazek! – woła Leah.

Na szczęście jestem dyplomowanym krytykiem sztuki Leah. Mówię, że wszystko jest piękne, i zadaję artystce mnóstwo pytań na temat doboru kolorów. Tak uwielbia swoje malowanki o księżniczkach, że jestem zaskoczony, że pozwala Vivi pokolorować jedną.

– Nieźle! Twoja syrena wygląda dokładnie tak jak w filmie – mówię. Później zerkam do malowanki Vivi. Jej księżniczka ma fioletowe włosy, okulary w grubych oprawkach i kolczyk w wardze. Leah również przygląda się obrazkowi Viv.

– Belle nie ma fioletowych włosów. Ani okularów.

– To nie jest Belle – mówi Vivi. – To jej siostra bliźniaczka, Claudette. Chodzi na uniwersytet, studiuje oceanologię biologiczną. Musi nosić okulary, bo jest dalekowidzem i czyta dużo podręczników.

– Ale dlaczego ma fioletowe włosy?

– Bo czasami nurkuje, więc widziała, ile kolorów jest pod wodą.

– Na przykład ryb?

– Na przykład gupików, koralowców, roślin podwodnych i wszystkich rzeczy. Nie może zanurzać się do takiego królestwa z mysimi włosami, wiesz? Nie pasowałyby tam.

Leah kiwa głową, jakby to wszystko było zupełnie zrozumiałe.

– Fajnie. Jak to się nazywa? Biologia oceaniczna?

– Oceanologia biologiczna – mówi Vivi. – Kim chcesz zostać, jak dorośniesz?

– Nauczycielką. – To sztapowa odpowiedź Leah na pytanie, które dzieciom często zadają dorośli. Poza tym jest to chyba jedyny zawód, który zna poza szefem kuchni. – Może. Nie wiem.

Vivi naciska dalej.

– Dobra, oczyścić umysł. Żeby był zupełnie czysty. Nie wyobrażasz sobie niczego? Zupełnie niczego. Nieskończenie czarna przestrzeń.

Leah zaciska powieki z całej siły.

– Uhm.

– Możesz być, kim tylko zechcesz, wszystkim, czym zechcesz na całym świecie. Wyobraź sobie całą niebieskozieloną planetę z puchatymi białymi chmurami. Tak wygląda to z kosmosu. Ze wszystkiego na tej olbrzymiej ziemi, kim najbardziej chciałabyś zostać?

Leah się zastanawia.

– Pawiem.

Mało nie uduszę się ze śmiechu. Jest najśmieszniejszym, najbardziej kreatywnym dzieckiem na świecie.

– Chciałabyś być pawiem?

Kiwa głową, ściągając brwi. Znam to spojrzenie. Mówi: lepiej mnie nie drażnij. Więc tego nie robię.

– Są niebieskie i mają najładniejsze pióra.

Vivi przygląda się jej z zupełnie poważną miną i wargami zaciśniętymi z zaciekawienia.

– A dlaczego myślisz, że nie możesz nim być?

Wypowiada to tak, jakby naprawdę nie rozumiała, dlaczego paw nie jest zawodem.

– Chyba... – Mała twarzyczka Leah marszczy się między brwiami i obok warg. – Chyba nie wiem jak.

– Oj. – Vivi wzrusza ramionami. – Ale ja wiem.

– Tak?

Staram się sobie wyobrazić, jak Vivi zamienia moją siostrę w pawia, ale obraz nie pojawia się w moim umyśle. Może gdybym odwrócił głowę, Vivi pacnęłaby moją siostrę magiczną iskrzącą różdżką i zamieniła ją w pawia. W tej chwili nie byłbym tym zbytnio zaskoczony.

– Oczywiście. Niedługo nad tym popracujemy, dobra?

– Dobra! – Podniecenie Leah zamienia się w ziewnięcie.

– No, do łóżka, śpiochu – oznajmiam. – Ty też, Bekah.

– I tak miałam iść na górę – mówi Bekah, poprawia włosy i wstaje z kanapy. Za to Leah posyła mi mordercze spojrzenie, jakbym ją

zawstydził.

– Jonah – jęczy. – Niiieeee.

Vivi włącza się swobodnie, podnosząc się z podłogi.

– Leah, jeżeli nie pójdziesz spać, jak się jutro spotkamy?

Leah się odwraca.

– A spotkamy się jutro?

– Pewnie. Jeżeli chcesz.

Leah obejmuje Vivi za nogi, ściska je przez chwilę, a potem biegnie na górę.

Kręcę głową, kiedy Leah znika za rogiem. Teraz jestem sam z Vivi i nie bardzo wiem, co powiedzieć. Wolałbym flirtować, przyrządzając dla niej naprawdę dobre jedzenie.

– Paw. Leah jest czasami zabawna.

Vivi wzrusza ramionami.

– Pewnie była pawiem w poprzednim życiu. Jej dusza w części nadal jest ptakiem.

Czuję, jak brwi mi się unoszą.

– Wierzysz w reinkarnację?

Odpowiada uniesieniem brwi.

– A ty nie?

Hm, nie.

– No to czym byłaś w poprzednim życiu?

– Nie czym, ale kim – mówi. – Byłam delfinem i baleriną, pewnie w latach dwudziestych dwudziestego wieku, i byłam też stratocumulusem. Co do tego mam pewność.

Ta dziewczyna jest albo stuknięta, albo mówi to, żeby mnie rozbawić. Ale najbardziej zwariowane jest to, że jestem w stanie sobie to wszystko wyobrazić. Mogę sobie wyobrazić ją ponad falami w śliskim ciele szarego delfina. Mogę sobie ją wyobrazić w spódniczce baletowej albo jak unosi się ponad stratosferą jako puszysta chmura. Czuję się dziwnie nieświadomy samego siebie przez to, że nie wiem, czym byłam ja. A raczej kim.

– Ja chyba jestem nowy na świecie.

Vivi energicznie kręci głową.

– Nie, nie. Zawsze wiem, kiedy ktoś przeżywa życie po raz

pierwszy. Na przykład, to jest pierwsze życie Bekah, więc powinieneś jej trochę odpuścić, bo naprawdę trudno się człowiekowi w tym wszystkim odnaleźć bez instynktów nabytych w poprzednich wcieleniach.

– No to kim byłem?

Przechyliła głowę na bok, a loki po tej stronie opadają w stronę ziemi. Przeszywa mnie wzrokiem. Kładzie dłonie na mojej klatce piersiowej, ciepłe. Naprężam się, żeby wszelkie mięśnie, które mam, stały się bardziej widoczne.

– Hm... – mówi. – W ostatnim życiu przeżyłeś wiele lat jako drzewo, chyba dąb, na Wielkich Równinach. To dlatego masz głębokie korzenie w tym życiu, jesteś związany z rodziną. Tak długo żyłeś jako drzewo, że nadal masz silny instynkt chronienia słabszych. Możesz tego nie pamiętać, ale twoje ramiona pamiętają. – Przesuwa dłonie po moich ramionach, ale robi to jak lekarz. To badanie, jakby diagnozowała moje poprzednie wcielenia. Nie bardzo wiem, gdzie patrzeć, tak blisko jej twarzy. Gładka mleczna cera, ciemne brwi. Moja mama oglądała wszystkie czarno-białe filmy. Nigdy ich nie rozumiałem, ale w moim pierwszym nieprzyzwoitym śnie pojawiła się Brigitte Bardot. Nie! Myśl o... gotowaniu. Warzywa. Pasternak! Pasternak jest obrzydliwy. – Nieźle, wcielenie drzewa jest nadal w tobie bardzo obecne. – Jej śmiech dudni mi w uszach. – To dlatego jesteś trochę... nieruchomy.

Marszczę czoło. Nieruchomy? To znaczy: nudny? Dotyka czubka mojego nosa jakbym był małym dzieckiem.

– Najlepsze jest to, że zanim zostałeś drzewem, byłeś kapitanem żeglugi. A wcześniej wydrą.

– Dlaczego to jest najlepsze?

– Bo ciągle jest w tobie! – wykrzykuje. Jej pięść uderza w moją klatkę piersiową. – Wszystko. Najpierw byłeś wydrą, najbardziej chętnym do zabawy stworzeniem na świecie. Potem po raz pierwszy urodziłeś się jako chłopiec w ludzkim wcieleniu i zostałeś kapitanem, bo po życiu w ciele wydry ciągnęła cię woda. Ale to wszystko ciągle w tobie jest, Jonah. Drzewo jest wyraźniejsze, ale jest w tobie wydra, która marzy o tym, żeby ustawić zjeżdżalnię w ogrodzie i przez cały dzień nie robić nic innego.

No, niezła dawka dziwnych informacji.

– Dobra. Jak myślisz, kiedy byłem kapitanem?

Wzrusza ramionami.

– Trudno dokładnie powiedzieć. Wydaje mi się, że na początku dwudziestego wieku albo trochę wcześniej.

– Może płynąłem do Nowego Jorku, gdzie ty występowałaś jako balerina?

Gwałtownie nabiera powietrza, prawie wzdychając, a później uśmiecha się promiennie.

– Tak! Może widziałeś, jak tańczę.

Żeby to zademonstrować, odsuwa się ode mnie i wspina na palce. Rękami kreśli wdzięcznie linie, a potem z uśmiechem stawia pięty z powrotem na ziemi.

– Brałam przez kilka lat lekcje, bo tak bardzo tęskniłam za poprzednim wcieleniem baleriny, że musiałam tego trochę zakosztować.

Z uśmiechem włączam się do gry.

– Tak, jestem pewien, że widziałem już wcześniej, jak to robisz.

Podchodzi do mnie zachwycona i rozemocjonowana.

– Może po występie przyszedłeś za scenę. Może zabrałam cię do podziemi, do moich ulubionych miejsc z czasów prohibicji i piliśmy razem dzin pędzony po kryjomu? Może upiliśmy się przy jazzowej muzyce i wyszliśmy na brukowane ulice, poszliśmy do mojego mieszkania i kochaliśmy się przez całą noc, spoceni, bo w tamtych czasach nie było klimatyzacji. Zakładam się, że gdybyśmy powąchaliby jałowic, przypomniałyby nam się fragmenty tamtej nocy, nie sądzisz?

No i co, do jasnego gwinta, mam na to odpowiedzieć? Czy ona powiedziała „kochać się”? Nie wiem, co jest bardziej onieśmielające, to, że użyła tego zwrotu jak czyjaś mama, czy to, że swobodnie zasugerowała, że być może robiliśmy to w innym wcieleniu? Odpowiedź może być tylko jedna.

– Możliwe.

– Powinam się zbierać – mówi. – Jesteś zajęty jutro rano? Ja mam wolne.

– Nie mam zajęć. Siedzę w domu z pozostałą trójką.

– To dobrze. Przyniosę rzeczy.

– Jakie rzeczy?

– Do zjeżdżalni. – Posyła mi ten swój słodki uśmiech. – Boże,
Jonah, myśl trochę!

Vivi:

Nie wiem, czy leżeliście kiedyś wyciągnięci na łące i patrzyliście w górę na niebieskie niebo, i czuliście, jak planeta brzęczy wokół was, ale tak właśnie mijają mi dni tutaj. Świat kręci się o wiele wolniej – tak wolno, że moje ruchy wydają mi się śmignięciem, wzniecającym iskry na ulicy.

Kiedy wczoraj poznałam Jonaha Danielsa, dokonała się magiczna zmiana trajektorii mojego lata. On jest dla mnie jak pierścień dla Frodo, jak szafa Łucji Pevensie. Jego obecność w moim życiu stała się początkiem mojej podróży i, czuję to, życiowa misja pulsuje mi w kościach. Jest chłopak, który mnie potrzebuje. Dlatego w sklepie z narzędziami kupiłam zestaw i idę do niego do domu, bo wiem, że będzie zaskoczony, że wczoraj mówiłam poważnie.

Oni są już w ogrodzie, maluchy piszczą z radości, kiedy Jonah kieruje na nie wąż z wodą.

– Vivi! – krzyczy Leah. – Cześć!

Rozłożenie brezentu na lekkim zboczu w ich bujnie porośniętym ogrodzie nie zajmuje nam dużo czasu. Nadmuchujemy gumowy basen dla dzieci i napełniamy go wodą. Jonah sprawdza, czy pod zjeżdżalnią nie ma kamieni – jakżeby inaczej – i krzyczy:

– W porządku!

Świat pachnie skoszoną trawą, plażą i wodą z węża, a mnie ściska w żołądku z przejęcia.

– Kto pierwszy? – pytam i otwieram olbrzymią butelkę z mydłem w płynie, żeby połać plastikową zjeżdżalnię dla lepszego ślizgu i pędu. Wyglądam wspaniale, skoro sama to mówię, w kapeluszu słonecznym z szerokim rondem i w body w cętki lamparta, które służy mi za kostium kąpielowy. Body świetnie kształtuje figurę, więc nie muszę mieć pod spodem żadnej bielizny, i ma długie rękawy, które zakrywają bliznę. Isaac wnosi radio retro i nastawia stację ze starymi przebojami, a ja z czystą radością kręcę biodrami w cętkach lamparta.

Silas rzuca się na plastikową zjeżdżalnię – co za ciacho – i wpada do dziecięcego basenu na końcu.

– Bravo! – krzyczę z góry.

Bekah wyciąga cztery palce każdej dłoni.

– Sędziowie przyznają osiem punktów na dziesięć.

– Dalej, Leah – mówi Isaac. Zachowuje się jak dobry starszy brat, ale chyba po prostu boi się spróbować sam.

Jonah przeskakuje na koniec i pokazuje jej uniesione w górę kciuki. Tak naprawdę nie można nikogo złapać, jak już zjeżdża, ale Leah o tym nie wie. Kiwa głową i siada na górze. Zjeżdża spokojnie, wpada do basenu i chichocze jak szalona.

Ja się cofam, salutuję dla śmiechu, a maluchy mnie naśladują, z początku nieśmiało, a potem szaleją odważnie. Nasze piski ściągają parę dzieci z sąsiedztwa, które biegiem wracają do domu, żeby włożyć kostiumy kąpielowe.

Wszyscy zaliczają co najmniej dwie kolejki, zanim udaje mi się namówić Jonaha, żeby spróbował. Polewam mu brzuch wodą z węża.

– Dalej, żeglarzu. Twoja kolej.

– Dobra, dobra, idę. – Zdejmuje koszulkę, a ja myślę sobie wtedy: hm, nieźle.

Siada na górze i odwraca się do mnie.

– Popchniesz mnie?

Hm. Myślałam, że należy do takich, co biorą rozbieg i skaczą na główkę, ale nieważne. Kładę wąż na górze, kieruję strumień w dół i kładę dłonie na ramionach Jonaha.

Zanim zdążę się zorientować, chwyta mnie, pociąga ze sobą i oboje zjeżdżamy, a ja piszczę ze śmiechu. Jesteśmy płataniną kończyn, śliscy od mydła, pędzimy z ogromną prędkością napędzaną ciężarem naszych związanych ciał. Przetaczamy się przez basen – szokująco zimny – i lądujemy na trawie. Leżę twarzą do góry, płaczę ze śmiechu i opieram policzek o niebieską plastikową krawędź basenu.

– Nic wam się nie stało?! – krzyczy Silas.

– Nie! – Głos Jonaha rozlega się tuż obok mnie, a potem on spogląda na mnie z góry, twarzą zasłaniając słońce. Promienie tworzą wokół jego głowy aureolę.

– Viv? Nic ci nie jest?

– Skąd! – Sapię, nadal się śmiejąc. – Nigdy nie czułam się lepiej. Mówiłam ci. Wydra.

Włosy opadają mu na czoło, a on uśmiecha się do mnie. Nie jest to nieśmiały uśmiech, ten niepewny, przyklejony, jaki miał na twarzy wczoraj. Nie, ten uśmiech jest prawdziwy, pierwszy, jakim mnie obdarzył. Nie uwierzylibyście, do jakich rzeczy byłabym zdolna się posunąć, żeby sprawić, żeby ten zmęczony życiem chłopak uśmiechnął się w ten sposób. Dzisiaj potrzeba było zjeżdźalni, a jutro może czegoś innego. Oj tak, planów mi nie brakuje. Mam zamiar spędzić całe lato, odmieniając twarz Jonaha Danielsa.

Następnego ranka robię to, co zwykle: wyrzucam tabletkę do oceanu, czuję bryzę na twarzy i dziękuję konstelacjom, że mogę odczuwać. Nagle, kiedy wyciągam klucze, żeby otworzyć pracownię ceramiczną, mój wzrok pada na ławkę przed budynkiem. Leży na niej brązowa papierowa torba z moim imieniem wypisanym czarnym flamastrem. Intrygujące! Rozglądam się, szukając sprawcy, a potem siadam na ławce. Torba swoje waży, a od spodu widać kwadratowe wybrzuszenie. Waham się, zanim otworzę ją od góry, gotowa się odchylić, gdyby coś miało eksplodować mi w twarz. Ale wydaje mi się, że to pudełko z restauracji. W środku znajduje się kanapka z warstwami soczystego pomidora, miękkiej mozzarelli i świeżej bazylii na grubej kromce chleba na zakwasie. A może na czymś bardziej wyszukanym, czego nazwy nie znam – focaccia? ciabatta?

Jonah.

Patrę w dół na to małe pudełko jak na skrzynię pełną skarbów, które do mnie migoczą. Przygotował dla mnie lunch?

Wyobrażam sobie jego dłonie, jak delikatnie operują nożem, i pewne ruchy nadgarstka, kiedy kroi czerwonego pomidora, białą mozzarellę. Układa je perfekcyjnie jak danie restauracyjne. Dookoła kanapki leżą złote frytki ziemniaczane. A z boku – domowe ciastko. Czy on próbuje mnie oczarować? Flirtuje jedzeniem? Chyba tak, co? Co prawda przygotowanie drugiego śniadania jest raczej czynnością, jaką rodzice wykonują dla dziecka. Nie chcę być kolejną osobą, o którą musiałby się troszczyć. Chcę być kimś, na kim mu zależy.

Zastanawiam się nad tym całe rano. Kiedy nadchodzi pora posiłku, rozkładam kromki chleba, jakby ich zawartość mogła wyjawić mi odpowiedź. Jesteś romantycznym pomidorem rzymskim? Czy

zwyczajnym, platonicznym daniem, miłym gestem pomiędzy przyjaciółmi?

– Skończyła mi się farba lawendowa.

– Słucham? – wypalam, patrząc w górę na klienta. Prawie zapomniałam, że jestem w pracy. – Och, przepraszam, mam zapas na zapleczu. Przyniosę.

Przy pierwszym kęsie wyczuwam ocet balsamiczny i trochę soli na prawie słodkim pomidorze, i świeżą bazylię. Kanapka jest niebiańska, treściwa i kremowa. A ja czuję... że ktoś się o mnie zatroszczył. Jakbym należała do rodziny. Taka prosta potrzeba – jedzenia, a ja mam kogoś, kto przygotował dla mnie posiłek z taką troską, z taką miłością. Właściwie czuję ich smak.

Nie jest to zwyczajny posiłek, który zaspokaja tylko głód, ale i uczucia. Po drodze do domu mało nie eksploduję od tych uczuć. Wstępuję do przytulnej restauracji i cieszę się, widząc kolejny ważny element układanki, jaką jest rodzina Danielsów. Tutaj, w tryskającym miłością ceglanym budynku – pięknym, ale z niewykorzystanym potencjałem, przestarzałym wystrojem, podniszczonym – rozumiem trochę lepiej.

– Cześć – mówię, wyciągając rękę do mężczyzny, który notuje coś za ladą. – Czy jest Jonah Daniels?

Mężczyzna przygląda mi się przez chwilę, a później na jego twarzy pojawia się uśmiech.

– Jasne. Chodź na zaplecze.

Zostawia mnie w korytarzu przed kuchnią, a ja gryzę czerwony lakier na paznokciach, kiedy czekam na Jonaha. Wychodzi w fartuchu na gładkiej białej koszulce, która opina mu ramiona. Z kuchni dobiegają nas drwiące głosy, a on odwraca się i zerka do środka z uśmiechem, a potem drzwi się zamykają.

– Przepraszam. Banda idiotów – mówi. Dłonie ma świeżo umyte, wilgotne i unosi je jak chirurg przed operacją, a ja zastanawiam się, od czego go oderwałam. Ale widać, że się cieszy z mojego widoku i jest swobodniejszy niż w domu. – Cześć.

– Cześć – mówię, ale się nie uśmiecham. – Zrobiłeś dla mnie kanapkę. Dlaczego?

– Dlaczego? Hm. Nie wiem. I tak pakowałem lunch dla Naomi. Pomyślałem, że może będziesz miała ochotę na kanapkę w pracy? A pracownię mam rano po drodze. – Przygląda mi się niepewnie. – Utrzymała się w całości? Wiem, że chleb od pomidora może trochę rozmięknąć, ale...

Pokonuję dzielącą nas odległość, chwytam go za dekolt koszulki i kładę usta na jego wargach. Pocałunek jest przelotny, ale pewny i na tyle mocny, że zostawia czerwony ślad na jego wargach.

– Była doskonała – mówię. – Do zobaczenia jutro.

Dwie twarze pojawiają się w bulaju drzwi kuchennych i wydają okrzyki radości. Jonah uderza mocno dłonią w plastik i uśmiecha się do mnie.

– Do zobaczenia jutro.

Czuję kołatanie w piersiach i mokre ślady na koszuli w miejscu, gdzie chwycił mnie w pasie, i to ciepłe, promienne wrażenie, że wcale nie panuję nad sytuacją w takim stopniu, jak mi się wydawało. To doznanie rozchodzi się po moim ciele jak drobne bąbelki, oszałamiające, słodkie i pełne.

Jonah:

Od trzech dni mój umysł funkcjonuje jak betoniarka. Boję się, że jeżeli za długo nie będę myślał o Vivi, moje życie zamieni się w twardą szarą płytę, jaką było przez sześć ostatnich miesięcy. Dlatego kiedy wczoraj szykowałem lunch dla Naomi, myślałem o głośnym śmiechu Vivi. O tym, że nie onieśmiela jej nasza rodzina ani nic innego. Kanapka wyszła tak, po prostu. Później przez większość czasu w restauracji myślałem mniej więcej: niezła robota, dupku. Zrobić dziewczynie lunch na wynos, jakbyś wyprawiał ją na pierwszy dzień do przedszkola.

Aż się zjawiła, pocałowała mnie i wyszła.

W filmach wydaje się, że pierwszy pocałunek to wielkie wydarzenie, bo tak jest. Cholera, jasne, że tak jest. Ale nigdy nie mówią o pragnieniu drugiego pocałunku – o całym tym czasie, kiedy się o tym myśli i kiedy rodzą się oczekiwania. Jak to będzie, kiedy się znowu zobaczycie. Więc jeżeli będzie drugi pocałunek, wyjdzie ode mnie i będzie miły. Myślałem o tym przez całe śniadanie.

Maluchy są nakarmione i bawią się przed domem starymi pistoletami na wodę, które znaleźliśmy w garażu. Wyciągam ostatnią miskę owsianki i posypuję ją brązowym cukrem i orzechami pekan.

Na górze jestem zaskoczony, kiedy widzę, że mama wstała z łóżka. Siedzi na podłodze wśród stosu książek przy regale.

– Dzięki, synu – mówi, kiedy stawiam miseczkę na komodzie. – Pomyślałam, że powinnam trochę odgruzować pokój. Mam mnóstwo książek, których drugi raz nie przeczytam, więc je wydam, żeby zrobić miejsce na te, które leżą na podłodze.

– Świetny pomysł! – W moim głosie słychać za duże podniecenie. Ale może to dla niej punkt zwrotny. W rękach trzyma książkę, jedną z jej ulubionych Gabriela Garcíi Márqueza, i przygląda się jej. Słyszę pierwszy szloch, stłumiony płacz, westchnienie, którego nie jest w stanie powstrzymać. Biorę od niej książkę, ale dopiero kiedy widzę pismo mojego taty na wewnętrznej stronie. „Dla Ciebie, *amore mio*. Oczywiście”. Odkładam ją na półkę, pomagam mamie wstać i prowadzę ją do łóżka.

– Przepraszam – szepcze. – Bardzo cię przepraszam.

Zostawiam ją skuloną na łóżku, z drżącymi ramionami i stygnącą owsianką. Zawsze mam wrażenie, że czuje się gorzej, kiedy widzimy ją w takim stanie, więc tak jest lepiej. W kuchni siadam na stołku i ukrywam twarz w dłoniach. Nie wiem, jak długo tak siedzę, gdy słyszę pukanie do drzwi, ale nie wysilam się, żeby podnieść wzrok.

– Cześć – mówi Vivi. Jej głos jest o parę decybeli cichszy niż zwykle. Wie, że coś jest nie tak. I tyle by było z imponującej chwili spotkania po pierwszym pocałunku.

– Cześć. – Słowo brzmi tak, jakbym był zrezygnowany.

Siada na stołku obok mnie.

– Maluchy bawią się przed domem i powiedziały, że tu jesteś. Wszystko w porządku?

Chcę to zbyć. Ale jestem za bardzo zmęczony.

Więc kręcę głową, nie odrywając twarzy od dłoni. Nie powiedziałem jej dokładnie, co się dzieje z naszą rodziną, bo nie chcę, żeby coś się zmieniło.

– Mama nie czuje się dziś za dobrze.

Vivi podchodzi do kuchenki. Nalewa wody do czajnika i trafnie odgaduje, w której szafce trzymamy kawę i herbatę. Jeden kubek dla mnie, drugi dla niej. Stawia je przed nami i znów siada obok mnie. Pijemy w milczeniu. Kiedy kończmy, znowu nalewa herbaty do nowego kubka i stawia go przede mną. Zanoszę go na górę do mamy, która przeprosza za to, że się rozplakała. Chcę się wycofać rakiem, żeby nie zakłócać jej prywatności. Żeby nie kazać Vivi czekać. Ale jakoś wiem, że nie miałyby mi tego za złe. Więc opowiadam mamie o wczorajszej zjeździe, chociaż wiem, że zrobiła to już Leah.

Kiedy schodzę na dół, Vivi zdążyła już opłukać wszystkie naczynia po śniadaniu i wsadzić je do zmywarki. Czekam, żeby dała mi pretekst, jakiś powód, żebym mógł uciec myślami od mojej skomplikowanej sytuacji rodzinnej. Czekam, żeby zaczęła zadawać pytania. Ona wyciąga do mnie rękę, w drugiej dłoni ściskając kawałki papieru.

– Poszukiwacze skarbów – mówi.

Nie nadążam za nią. Widzę, że nasze lato będzie zbyt odmienne. Że nasze życie jest zbyt odmienne.

– Chciałbym. Ale muszę zrobić dzisiaj zakupy. Kończą się ręczniki

papierowe. Potrzebujemy rzeczy na kolacje w tym tygodniu. I...

– Daj mi minutę, co? – mówi z uśmiechem. – Masz długopis?

Poprawiona wersja poszukiwaczy skarbów prowadzi maluchy do sklepu Pattersona i dzięki niej mają zajęcie, gdy ja napełniam wózek. Kiedy kończę, znajduję ich przy regale z artykułami sezonowymi. Vivi dostrzega mnie i pełny wózek. Zdejmuje z haka hula-hoop i oznajmia:

– Żeby przejść do następnej wskazówki, jedno z was musi przeskoczyć przez to hula-hoop jak delfin.

– Ja! – Issac rzuca się przed siebie, potykając się lekko, kiedy ląduje po drugiej stronie.

– Przechodźcie do następnego etapu! – oznajmia Vivi, a Leah klaszcze. – Wskazówka znajduje się... w wózku z zakupami! Musicie pomóc wypakować wszystko Jonahowi na taśmę, bo inaczej nigdy tego nie znajdziecie!

Rzucają się do mnie, nawet Bekah, która zwykle nie jest wyrywna do takich rzeczy. Vivi wzrusza przesadnie ramionami i uśmiecha się do mnie. Wymyśla wszystko na bieżąco.

W domu Silas też daje się wciągnąć do zabawy. Cały dzień mijają nam na szukaniu wskazówek po miasteczku, a później załapujemy się na wieczorny seans w kinie. Vivi płaci, upierając się, że jest to skarb poszukiwaczy. Kiedy wychodzimy z kina, świat wokół nas jest ciemny.

– To był najlepszy film, jaki w życiu widziałam – oznajmia Leah. Mówi tak po każdym filmie.

– Zgadza się – potwierdza Vivi. – Było w nim wszystko!

Przygody! Walka na miecze! Magia! Romans!

Idziemy do domu z brzuchami wypchanymi popcornem i lemoniadą. Młodszy udają bohaterów filmu animowanego – księcia, księżniczkę i czarownicę – a Silas ich do tego zachęca. Bez ostrzeżenia Vivi wskakuje mi na plecy i poganiam mnie do galopu, jak ogiera z filmu. Pozostali galopują obok nas, zaśmiewając się.

Na końcu miasta spotykamy policjanta Hayashiego, w mundurze, ale bez psa. Wszyscy się zatrzymujemy. Isaac poprawia sobie okulary, a Silas się prostuje.

– Dobry wieczór – mówi Hayashi pewnym głosem.

– Dobry wieczór – mamrocemy wszyscy, oprócz Vivi.

– Dobry, panie policjancie! – mówi.

On patrzy na Vivi na moich plecach, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Zadajesz się z tym wichrzycielem?

Cholera! Myśli, że jestem wichrzycielem? Moje ego rośnie, ale Vivi prycha za mną urażona.

– Och, czy ja się zadaję z nią? – cedzę. – Tak, proszę pana, zadaję się.

– No to uważaj. To łobuzica.

– Tak, proszę pana, wiem. – Skąd on ją w ogóle zna?

– Tak, tak. – Vivi śmieje się lekko, a ja czuję pulsowanie jej piersi na moich plecach. – Do zobaczenia jutro.

Kiedy jesteśmy w takiej odległości, że nas nie słyszy, szepczę do Vivi:

– Będziesz się z nim jutro widzieć?

– Czasem jemy razem śniadanie.

Nim zdążę spytać, wyskakuje przed nas Bekah. Udaje, że rzuca czar na Isaaca, który robi unik.

– Ja chcę być czarownicą! – wykrzykuje Leah.

– Nie możesz być czarownicą. Ty jesteś księżniczką. A teraz, cisza! – Bekah porusza dłońmi, wykonując faliste ruchy, jakby przyzywała magię przeciwko Leah.

– Silas! – krzyczy Leah. – To nie fair! Ona jest niedobra.

Tylko czekam, aż poczuję, jak Vivi się ze mnie zsuwa. Bo kto właściwie chciałby przez całe lato wysłuchiwać czegoś takiego? Kto chce się przyglądać, jak Silas próbuje rozwiązać sytuację, unikając rozlewu łez? Ale Vivi chwytą mnie mocniej za szyję i podciąga nogi wyżej. Zostaje.

Vivi:

Jest coś, czego nigdy nie spodziewałam się poczuć: miłość od pierwszego wejrzenia do całej rodziny. Ale życie zaskakuje. Każe ci zamknąć oczy i zdmuchnąć świeczki, a potem czasem wbija ci twarz w tort, jeszcze zanim zdążysz pomyśleć życzenie. Ale! Czasami, bardzo, bardzo rzadko, zdarza się, że marzenie się spełni. Marzysz o chłopaku, z którym spędzisz lato, a życie daje ci całą piękną rodzinę.

Dobrze, że tak za nimi szaleję, bo kręcą się w pobliżu zawsze, zawsze. W tygodniu po tym, jak pocałowałam Jonaha, byliśmy sam na sam tylko raz, i nie był to właściwy moment. Teraz, kiedy się do mnie uśmiecha, zarzucając sobie torbę plażową na ramię, słońce jeszcze bardziej pali mnie w twarz.

W tej samej sekundzie, w której nasze stopy stają na piasku, Leah zaczyna biec, wzburzając stopami piach. Z piskiem wbiegamy do wody, a ja podnoszę ją i obracam tak, że palcami u nóg zakreśla koła na powierzchni oceanu. Kiedy robi nam się zimno, robimy gwiazdę na piasku z Bekah. Jonah ustawia plażowy parasol, pod którym zdążył się już ułożyć Isaac i czyta książkę.

– Hej! – krzyczy Jonah z naszego małego obozowiska. – Krem!

Kiedy oddział melduje się z powrotem, Bekah nurkuje w lodówce, którą przyniósł Jonah. Przegląda pudełko lodów, sprawdzając kolory pod białym papierem, wiśniowe i mandarynkowe.

– Myślisz, że robią lody o smaku mango? Marakui? – pytam, wcierając w ręce i nogi krem z filtrem setką.

– Albo granatów? – Bekah ogląda swój sorbet ananasowy. – Jonah na pewno mógłby je zrobić.

Zerkam do tyłu na Jonaha, skrywając oczy za wielkimi okularami w kształcie kocich oczu. Leah smaruje nos kremem, a Jonah wciera go jej w ramiona. Chwyta jej kitkę i skręca włosy w mały koczek na czubku głowy. Niezdarnie, ale automatycznie, jego dłonie zbierają włosy w kok. Gdzieś w żebrach czuję słodki ból. Można wymięknąć, będąc dziewczyną, kiedy ten przystojny chłopak z nagim tarsem w letnim słońcu chroni kark młodszej siostry, żeby się nie spiekł.

Przez większość dnia jego wzrok skupia się na dzieciakach –

obserwuje pluskającą się na brzegu Leah, nadzoruje budowę zamku z piasku i zapobiega kłótniom. Zawsze odgaduje ich potrzeby i nastroje i tylko od czasu do czasu dostrzegam na sobie jego wzrok. Ale wtedy posyła mi leniwy uśmiech, jakby łączyła nas tajemnica.

Jonah Daniels i jego spojrzenie wystarczą, żeby dziewczyna poczuła się tak, jakby wynurzyła się z wielkiej muszli na środku oceanu, jak na obrazie *Venus* otoczonej morską pianą. Może i tak było; nie pamiętam tego, jak się rodziłam, i nie wiem, jak mojej matce malarce udało się to zrobić.

Poza tym nie mam zamiaru udawać, że nie wyglądam zjawiskowo w moim kostiumie kąpielowym. To jednoczęściowy kostium w groszki, który zakrywa cały nierozważny tatuaż, z wiązaniem na szyi, który robi poważną przysługę mojemu biustowi. Na lewym nadgarstku jako kamuflaż mam tysiąc bransoletek.

Pluskamy się, smarujemy na nowo kremem, zakopujemy Isaaca w piasku, rzeźbimy mu ogon syreny. Godziny spędzone na plaży zlewają się w jedno jak pudełko klejących lodów, a kiedy nadchodzi pora powrotu, oddalam się o kilka metrów, żeby zrobić ostatnią rzecz z listy zaplanowanych czynności. Za pomocą małej gałęzi, którą Isaac znalazł dla mnie w zaroślach pomiędzy brzegiem a klifem, starannie kreślę litery na piasku – „Vivi tu była” – chociaż wiem, że fala zmyje pamiątkę, którą po sobie zostawiam.

– Kolejny? – Jonah stoi obok mnie i podziwia moje dzieło. Chyba widział wcześniej, jak to robię. W tygodniu namówiłam go, żeby posadzić więcej kwiatów w ogrodzie za domem. Pomagaliśmy maluchom kopać szpadelkami, opowiadałam im o biologii, słonecznikach i kiełkach, część z tego wymyśliłam na poczekaniu, ale nic nie szkodzi. Przy ostatnich nasionach – cyniach – wyjęłam paragon z torebki i napisałam na brzegu „Vivi tu była”. Później przykryłam napis czarną ziemią wzdłuż świeżo posadzonych zaczątków roślin. Kiedy wyrosną, nadal gdzieś tu będę.

Byliśmy cali brudni, kiedy rośliny znalazły się w końcu w ziemi, i po kolei wchodziliśmy pod prysznic na dworze, którego, jak powiedział Jonah, rodzina nie używała od lat. Prysznic przed domem – plażowe życie w magicznym, praktycznym wymiarze. To jak urządzenie sobie

ulewy, kiedy tylko ma się na nią ochotę.

– Viv. – Jonah trąca moją rękę łokciem, ściągając mnie z powrotem na ziemię. – Co to znaczy? Te wszystkie „ja tu byłam”?

– Wszystko jest takie ulotne, nie sądzisz? Ocean istniał długo przed nami i pozostanie długo po nas, większość drzew też i niektóre zwierzęta. Czy to nie szaleństwo? Kolekcja moich sukienek będzie żyć dłużej ode mnie. – Nie jestem w stanie się powstrzymać i wzdycham, wypowiadając te słowa. Och, ja też bym chciała żyć wiecznie w którymś z wcieleń. – Szukam jakiejś trwałości, żeby ślad po mnie pozostał, kiedy mnie już nie będzie, w miejscach, które przynosiły mi radość. Da się z tego cokolwiek zrozumieć?

Wkłada dłonie do kieszeni kąpielówek i kołysze się na piętach. Ma na nosie czarne okulary, ale wiem, że przygląda się każdej linii, każdej literze.

– Tak. Nigdy wcześniej w ten sposób o tym nie myślałem.

Tu. Dokładnie w tym miejscu. Ból wciska się w skórę Jonaha, jak przypalenie papierosem za każdym razem, kiedy o tym myśli – a ja chcę się dowiedzieć, co to jest. Wyczekiwanie na to, żebyśmy znaleźli się sam na sam, przybiera na sile, jest jak para w wilgotnym powietrzu. Ale to nie tylko z powodu tego żaru chcę być z nim sama, w każdym razie nie od razu. Ale dlatego, że chcę wiedzieć, czy jest gotowy opowiedzieć mi o pulsującym smutku, który wyczuwam w tej pięknej rodzinie, obecnym w ukryciu.

Kiedy wracamy do domu, słońce zachodzi na sorbetowym niebie, a ja mam plan. Leah śpi na ramieniu Jonaha z lekko rozchylonymi usteczkami. Bekah i Isaac wyglądają jak mali zmęczeni zombi, którzy myślą tylko o domu. Kocham posiadłość Danielsów, która jest odsunięta od ulicy i osłonięta niskimi drzewami w kolorze tak głębokiej zieleni, że wyglądają prawie na niebieskie. Kiedy spytałam Jonaha, powiedział, że to dom parterowy rzemieślnika, ale ja wiem tylko, że jest biały i przytulny. Zwłaszcza kiedy w ogrodzie latają świetliki, w moim umyśle pojawia się obraz magicznego domku z bajki.

– No, jesteście. – Silas opiera się o otwarte drzwi wejściowe. – Zaczynałem się martwić, że pochłonał was ocean.

Isaac nurkuje do środka, a Bekah za nim, rzucając naszą wielką

plażową torbę na podłogę w holu. Kiedy Jonah stawia Leah, mała stoi o własnych siłach, ale nadal ma zamknięte oczy. Silas chichocze, bierze ją na ręce i odwraca się, żeby wejść do środka.

– Nie wchodźmy do domu. – Łapię Jonaha za rękę. Jest lekko przestraszony, jakbym pokonała dzielącą nas barierę. – Silas i Naomi sobie poradzą. Chodźmy na lody w ramach kolacji, sami.

– Dobrze. – Uśmiecha się, ale to taki półuśmiech, bo jest zmęczony. Wiem, że jest zmęczony, że jest wykończony, ale chcę wiedzieć więcej. – Silas! Idziemy z Vivi coś zjeść.

Wie, że Silas nie będzie miał do niego pretensji, bo spędziliśmy z dziećmi cały dzień i należy mu się trochę odpoczynku. Po tygodniu życia z rodziną Danielsów zaczynam rozumieć podział pomiędzy trójką nastolatków, którzy dbają o całą rodzinę. Ruszamy ulicą, Jonah trzyma mnie za rękę, a ja pogrążam się w rozmyślaniach na temat ich małego świątka.

Jestem zakochana w Leah, w jej nieograniczonej wyobraźni i zaraźliwym śmiechu, i w tym, jak bezwiednie bawi się moimi włosami. Kocham Isaaca, jego obsesje, małe okulary i fryzurę na jeża, stworzoną za pomocą żelu z pewnością podkradzionego starszemu rodzeństwu. Jestem zakochana w Bekah i jej zmiennych humorach i przewracaniu oczami, w tym, że nadal jest beztróskim dzieckiem, dopóki się nie zreflektuje i nie wróci do ponuractwa. Jestem zakochana w Silasie – w jego młodzieńczych żartach, które nie kolidują z odpowiedzialnością za młodsze rodzeństwo. Nawet w Naomi, która uparcie każe mi zasługiwać na przyjaźń, do tej pory bez powodzenia, sprawia, że staram się jeszcze bardziej.

I Jonah. Och, Jonah. Ten chłopak zdobył mnie pierwszego wieczoru w ich domu – kiedy widziałam go w jego naturalnym otoczeniu, jak gotuje wśród hałaśliwej rodziny. Taki niepewny grunt, a jednak wpuścił mnie do środka. Co za serce! A ponieważ bywa taki poważny, rozbijam go powoli każdego popołudnia. Trącam go biodrem, kiedy idziemy obok siebie, spoglądam na niego w tej samej chwili i zagryzam wargę, jakby był to przypadkowy odruch. Którym nie jest.

Jonah jest tak przytłoczony zmęczeniem, że, oczywiście, nie

uświadamia sobie, że ktoś na niego patrzy. Kiedy idziemy razem ulicą, dziewczyny zerkają na niego przelotnie. Gdy je mijamy, odwracają się, żeby spojrzeć jeszcze raz. Nic dziwnego. Jonah jest naprawdę pięknym chłopakiem – te cudowne włosy i oliwkowa cera, i silne ramiona od noszenia zakupów i małej siostry. Ma takie głębokie spojrzenie i ciemne oczy, w których widać, że nosi w sobie wiele trudnych wspomnień.

W mieście zamawiamy dwa rożki – miętowo-czekoladowe dla niego i czekoladowe z bakaliami dla mnie. Wcześniej w tym tygodniu przyszedliśmy tu na deser bananowy i Isaac zjadł tyle, że mało nie zwymiotował, co było przykre, ale zabawne jednocześnie.

– Dzięki, Patty – mówi Jonah do kobiety, która podaje nam lody. Później spogląda jej w oczy i wskazuje schody. – Możemy?

– Tak. – Puszczą do niego oko. – Ale uważajcie.

Idę za Jonahem, który wchodzi po schodach za sklepem. Górne piętro przypomina raczej stary dom niż lodziarnię. Jest tu kilka ramek z namalowanymi odręcznie cyframi, drzwi ze szklaną gałką, może do łazienki, i inne, które otwiera Jonah. Prowadzą na płaski, pokryty smołą dach, dość solidny. Rozciąga się z niego spektakularny widok, pierwszorzędny, kiedy neonowe słońce zanurza swój okrągły brzuch w oceanie pod nim.

– Nieźle. – Wzdycham, siadając obok Jonaha na krawędzi dachu. Oboje wymachujemy nogami i jestem rozczarowana, widząc pod nami drogę ewakuacyjną. Gdybyśmy spadli, nic by się nam nie stało, a szkoda – lody, fajny chłopak i zachód słońca widziany z dachu... Brakuje jedynie dozy niebezpieczeństwa.

To chyba najdłuższa chwila milczenia w moim życiu. Przez całą drogę tutaj milczeliśmy, a teraz patrzę na tego chłopaka, którego oczy wydają się wypalone za zasłoną dymną ciepłych brązowych tęczówek.

– Och, Jonah, wyglądasz na zmęczonego.

Jego uśmiech jest krzywy.

– Bo jestem zmęczony. Jestem zmęczony od miesiący.

– Więc pasujemy do siebie jak lody miętowe i płatki czekoladowe, Jonah, bo ja potrzebuję długiej chwili, żeby się zmęczyć. Przez całą noc rzucam wyzwania gwiazdom, żeby wytrzymały dłużej niż ja, i mogę powiedzieć, że w zwykłym tygodniu na ogół jest remis. Więc ty możesz

się wyspać, a ja posiedzę za nas oboje, co ty na to?

Zerka na mnie z ukosa, niezupełnie zadając sobie trud, żeby popatrzeć.

– Mogę cię o coś spytać?

– Możesz mnie pytać o wszystko, Jonah.

Wiedziałam, że się otworzy, jak będziemy sami, a ja wystarczająco długo będę milczeć. Więc uderzam nogami o rynnę i czekam z radością. Wiatr, który wieje od oceanu, mierzwi jego piękne włosy, jakby zimny front znał wszystkie moje brudne myśli i wykorzystywał je. Tak szaleję na punkcie gęstych, pofalowanych włosów Jonaha, że wie o tym nawet atmosfera.

Wpatruje się w swojego rożka, zamiast go lizać, chociaż mięta rozpuszcza się w mgnieniu oka i zaraz zacznie ciec.

– Dlaczego nie spytałaś mnie o rodziców?

Zauważyłam, że w domu Danielsów brakuje rodziców, jasne. Z tego, co powiedzieli, wiedziałam, że ich mama jest na górze, pewnie chora. Maluchy używały zwrotu: tata robił, ale nie wiem, czy nie żyje, czy odszedł, czy może coś innego nie pozwala mu być z nimi. Może jest zamknięty w jakimś ośrodku albo na misji. Jonah nie patrzy na mnie, kiedy myślę, je loda i obserwuje fale.

– Powiedzmy, że mam swoje własne ciekawostki, które pozostawiam dla siebie. – Liżę loda, obracając rożek w dłoni, żeby wygładzić jego powierzchnię i uzyskać bardziej okrągły kształt. – Gdybyś chciał mi o czymś powiedzieć, pomyślałam, że powiesz mi w swoim czasie.

– Aha. – Widać, że czuje wyraźną ulgę. – Dobrze. Myślałam, że nie pytasz, bo już wiesz, że ktoś z miasta ci powiedział.

Przypominam sobie, że Whitney faktycznie wspominała coś w dniu, kiedy poznałam Jonaha. Zrobiła z niego udręczonego chłopaka, prześladowanego przez duchy, które nękają go w opustoszałych miejscach.

– Mój tata zmarł. Sześć miesięcy temu. To ci mogli powiedzieć. Na atak serca.

Ta informacja jest dla mnie jak kopniak w brzuch i z moich ust niemal wydobywa się sapnięcie. Brakuje mi tchu, chociaż bryza wpycha

mi powietrze do ust. Wyobrażam sobie słodkie twarze tego pięknego chłopaka i jego rodzeństwa i niemal się dławię, biorąc oddech.

– Och, Jonah.

– Nie lubię o tym mówić. To znaczy, nie potrafię o tym mówić. – Lód zwisa mu w dłoni i niemal spada na ścieżkę ewakuacyjną pod nami.

– A mama jest... nie wiem. Właściwie nie wychodzi z łóżka. Cały czas mamy nadzieję, że jej się poprawi, ale nie jestem pewien, jak długo jeszcze wytrzymamy. Silas jesienią ma iść na studia i... Nie wiem. Sam sobie nie dam rady z małymi.

Przełyka ślinę, a jabłko Adama porusza się pod skórą ledwie zauważalnie. Później unosi dłoń, jakby chciał osłonić oczy, ale pociera napięte miejsce na czole, masując je tuż nad brwiami.

– Miewa dobre dni. W niedzielę chodzi zwykle do kościoła. Czasami wstaje i bierze prysznic, czasami nawet idzie do sklepu. Usiłujemy zaciągnąć ją do specjalisty, ale zaczyna płakać, kiedy tylko poruszamy ten temat. Naomi powtarza, że to kliniczny przypadek depresji i że musi dostawać leki, ale mama nie chce o tym słyszeć. Boże, to brzmi jak jakieś szaleństwo, Słucham siebie i nawet dla mnie to szaleństwo.

– Jonah, przyrzekam na moją ukochaną sukienkę vintage, że moim zdaniem to, co mówisz, nie jest szaleństwem. Jest smutne? Trudne? Owszem. Ale nie ma nic nienormalnego w takim żalu, zwłaszcza że jest całkowicie zrozumiały i normalny.

– Dla ciebie jest normalne to, że ktoś jest przygnębiony przez sześć miesięcy? – Prycha, kończy loda i otrzepuje dłonie.

– Może. – Wzruszam ramionami. – Nie umiem powiedzieć. Nigdy nie byłam szaleńczo zakochana przez dwadzieścia lat w kimś, z kim miałabym sześcioro dzieci, z kim bym żyła i kto nagle, w jednej chwili, zostałby mi zabrany. Dlatego nie bardzo wiem, co jest w takiej sytuacji normalne.

Krzywi się, słuchając moich słów.

– No, to teraz znów czuję się jak dupek.

– Znów?

Jego dłoń znów wędruje do miejsca na czole.

– Jakiś miesiąc po śmierci taty Felix przypomniał mi, że pomiędzy

żałobą a depresją jest różnica. Jego syn zмага się z depresją, więc on coś o tym wie. I, tak jak powiedziałaś, mama jest w żałobie. Wiem o tym. Ale myślę, że może się ona przekształcić w depresję. Nigdy nie wiadomo. Sześć miesięcy siedzenia w swoim pokoju to trochę za długo.

Na końcu języka mam to, że skoro ciągle płacze, to dobry znak, ale nie mówię tego, bo wydaje mi się, że to okrutne stwierdzenie. Chodzi mi o to, że depresja osiada na twoim ciele jak cień, kiedy śpisz, i bardzo często zamienia się w nicość, w mgłę. Wszystkim się wydaje, że człowiek z depresją nie jest w stanie się śmiać, ale nie może też płakać, bo nie jest w stanie czuć. Odwracam się do Jonaha.

– Jesteś na nią wściekły?

– Tak. – Unosi wzrok z poczuciem winy, zaskoczony dźwiękiem własnego głosu, jakby to słowo wymknęło się z jego ust, nie pytając o zgodę umysłu. – Nigdy wcześniej się do tego nie przyznałem. Nigdy wcześniej nawet o tym nie myślałem. Może nie jestem wściekły. To nie jej wina. Po prostu nie mogę znieść tej sytuacji. Ze względu na nią, na mnie, na Leah, Isaaca i...

– Przecież wiesz, że robisz wszystko, co możesz. Troszczysz się o wszystkich, dźwigasz na sobie całą odpowiedzialność, żeby dać jej czas na żałobę. – Głaszczę go po nodze. – Robisz wszystko.

Jonah kręci głową, jakby mnie słuchał, ale nie do końca wierzył w to, co mówię. Jest mi bardzo smutno z jego powodu, ale mimo wszystko czuję się cudownie u jego boku. Siedzimy na dachu świata, a ja myślę o dzieciakach takich jak my w Madrycie, Sidney, Hongkongu i zastanawiam się, czy podczas wakacji zbliżają się do gwiazd najbardziej jak mogą.

– Nie wiem – mówi, wzdychając. – Chyba psuję ten miły dzień, co?

– Oj, przestań. – Mnie też westchnienie więźnie w gardle, bo nie podoba mi się to, co muszę zaraz powiedzieć. Nie cierpię o tym myśleć, ale mówić o tym nienawidzę. Ale zrobię to dla niego. – Wiem, że zachowuję się tak, jakbym nie przejmowała się zupełnie niczym... ale, Jonah, przeczołgałam się przez najstraszniejsze zaułki smutku, wiesz? I wiem, jak to jest walczyć o życie na tych złych ścieżkach. Więc jeżeli potrzebujesz kogoś, przy kim mógłbyś odreagować albo milczeć, albo

się wygadać, mogę być tą osobą. Nie boję się mrocznych miejsc.

– Dzięki, Viv. – Widać, że mu ulżyło, odchyła się do tyłu i opiera na rękach tak, że jego klatka piersiowa unosi się w kierunku nieba. – Myślałem, że będziesz chciała uciec, kiedy się dowiesz. To... spory ciężar, moja rodzina w tej chwili.

– Ja też jestem sporym ciężarem, Jonah. – Odchylam się, dopasowując się do jego pozycji tak, że nasze brzuchy są skierowane w stronę zachodzącego słońca. – Przy mnie nie musisz się martwić takimi sprawami. Gdybym poznała chłopaka, który jest idealnie poukładany, w idealnym stanie, bez problemów... przysięgam na Boga, że chyba zasnąłabym przy nim na stojąco. A wiesz, że w moim przypadku nie jest to łatwe.

Jego oczy patrzą na mnie z kącików, aż na jego twarzy nieśmiało pojawia się uśmiech.

– Co?

– Nic. – Nie jest w stanie ukryć uśmiechu. – Tylko... Naprawdę się cieszę, że tu teraz jesteś.

– Ja też się cieszę, że tu teraz jesteś, Jonah.

Siedzimy tak ponad miastem, tu i teraz, tak długo, jak tylko możemy, do ostatniego skrawka słonecznego światła, które wskazuje nam drogę przez dach, za drzwi, w stronę tego, co nam jest pisane.

Później, wieczorem, żałuję, że Jonah nie pocałował mnie na dachu, chociaż rozmawialiśmy o smutnych sprawach – takich, które są w stanie udręczyć duszę i przygwoździć człowieka do ziemi. Jest późno, obiektywnie rzecz biorąc, ale nie jak na mnie – może pierwsza w nocy czy jakoś tak – a ja pracuję nad projektami w moim pokoju, bo co innego mogłabym robić o tej porze? Oddzieram rąbek starej sukienki, bo mam zamiar przerobić ją na o wiele krótszą i fajniejszą, co może się okazać nudną robotą. Więc wynajduję sobie rozrywkę i wyobrażam sobie wiele różnych scenariuszy, w których Jonah jest osobą seksualnie agresywną, a kiedy robi się ciekawie, odzywa się mój telefon. Oj, mam nadzieję, że to Jonah, i faktycznie, to on. Pyta, czy nie śpię, a ja, oczywiście, nie śpię. Znowu dzwonek. Wyjrzysz przez okno? Zelektryzowana z przejęcia otwieram okno i, jakżeby inaczej, na podjeździe stoi Jonah Daniels.

– Cześć. – Nocny wiatr mierzwi jego włosy, a on chowa dłonie do

kieszeni, jakby przeszedł całą tę drogę i akurat teraz postanowił być nieśmiały.

– Cześć. – Staram się, żeby mój głos brzmiał swobodnie, ale jest to trudne, kiedy się do kogoś krzyczy. – Co się stało?

– Nie mogę spać. Chociaż jestem wykończony. Więc, hm, chcesz się przejść? Plażą?

– Z tobą? – Drocę się z nim. Posyła mi spojrzenie, które mówi: Opuść, Viv, staram się. Więc się uśmiecham. – Zawsze. Zaraz schodzę.

Mam na sobie granatową nocną koszulę na cienkich ramiączkach, wykończoną koronką w kolorze złamanej bieli. Zakrywa tyle samo ciała co jakakolwiek letnia sukienka, więc dochodzę do wniosku, że nie będę się przebierać. Wkładam obszerny kremowy kardigan, zamykam oczy i próbuję sobie wyobrazić, jak wyglądam. Czuję się, jakbym wyszła z łóżka, narzuciła sweter, żeby zejść do skrzynki pocztowej. Blisko, ale niezupełnie trafione. Sztuczne perły. Owijam sobie szyję mnóstwem warstw grubych, teatralnych pereł i, tak, jestem dziewczyną, która wstała z łóżka na spontaniczną randkę na plaży z chłopakiem.

Tanecznym krokiem schodzę po schodach i widzę postać mojej mamy, odbijającą się w telewizorze. Ogląda francuski film z napisami, w jednej dłoni trzyma kieliszek białego wina. Odwraca głowę i trafia na mój wzrok nad oparciem kanapy. Kąciki jej warg unoszą się w porozumiewawczym uśmiechu.

– A dokąd ty się wybierasz?

– Wymykam się po kryjomu – odpowiadam, mierzwiąc loki. – Nie widzisz?

– Oj, tak. Bardzo subtelnie. – Przygląda mi się. – Ten sam chłopak? Jonah?

– Tak, ten sam – sapię, urażona.

– Chcę go poznać, Viv. Mówię poważnie.

Odwracam się do niej, przerażona.

– Teraz?

– A on tu jest teraz?

– Nie. – Kłamstwo wychodzi mi niezdarnie, zbyt szybko. Na ogół radzę sobie lepiej. – Może. Tak. Idziemy na spacer. Nie mógł zasnąć.

– Więc, tak, w takim razie chcę go poznać teraz. – Kiedy się nie

ruszam, ona się podnosi i prostuje plecy. – Przykro mi, jeżeli ci się to nie podoba, ale doktor Douglas powiedział...

– Dobra – warczę, nie chcąc słyszeć o tym ani słowa więcej.

Odwracam się do drzwi, ale po zastanowieniu odwracam się z powrotem do mamy. – Możesz... nie pytać go o rodziców?

Przechyla lekko głowę na bok, a długie włosy opadają jej na kolana. Widzę, jak składa w całość elementy układanki: spędzam cały czas z jego rodzeństwem, nie wspominam o rodzicach. On jest tu późno w nocy, nie może spać.

– To naprawdę trudne – mówię cicho. – Świeża sprawa. Okej?

Kiwa głową, a mina zaciętego rodzica lekko łagodnieje. Jonah nie jest w tej chwili przeciwnikiem – możliwym zagrożeniem dla jej córki. Jest dzieckiem, takim samym jak ja.

Jonah stoi na podjeździe z dłońmi nadal w kieszeniach bojówek podwiniętych do kostek. Podoba mi się to, że już kiedy się ubierał i wychodził z domu, wiedział, że zabierze mnie na plażę. Uśmiecham się, idąc spokojnie przez asfalt, ostrożnie stąpając po zdradliwych kamyczkach. Nie ma mowy, żebym w noc taką jak ta włożyła buty, to największa obraza dla tak cudownej letniej nocy.

– Cześć – mówi Jonah, nim zdążę do niego podejść.

– Cześć. Doskonale wycucie czasu, akurat o tobie myślałam. – Chwytam go za rękę i zaciskam wargi. – Ale jest jedna sprawa. Moja mama chce cię poznać.

– Aha. Hm. Teraz?

– Tak, wiem, że to dziwne. Ale mógłbyś wejść naprawdę na chwilę? Przysięgam, że nie będzie cię przesłuchiwać. Chce się tylko upewnić, że jesteś normalnym człowiekiem, potem będziemy mogli robić, co chcemy.

– Jasne. – Jednak widzę w jego oczach, że nie taki wieczór miał na myśli. Ech, mamó! Byłoby tak romantycznie bez twojego wtrącania się.

W domu w telewizji francuscy aktorzy kłócą się o coś namiętnie. Mama wstaje z kanapy z winem w dłoni. Zapomniałam przez to, że jestem z nią cały czas, że moja mama robi wrażenie. Ma włosy do pasa w stylu królowej lat siedemdziesiątych i energiczny sposób chodzenia w zwiewnych bluzkach. Niemal słyszę, jak Jonah przełyka ślinę.

– Mamo, to jest Jonah.

– Cześć, Jonah – mówi moja mama, mierząc go wzrokiem. I mogę zgadnąć, co myśli: Też coś. Chłopak w bojówkach. Żadnej wygolonej do połowy głowy ani kolczyków, ani tatuaży – nie, żeby miała coś przeciwko nim. Jonah jest po prostu pierwszym... nieozdobionym chłopakiem, który dotarł do etapu „poznaj moją mamę”. Nie jestem w stanie stwierdzić, czy jest rozczarowana, czy raczej pod wrażeniem.

– Widzisz? – Przedstawiam Jonaha, jakby był nagrodą w teleturnieju *Dobra Cena*. – Normalny. Fajny! Pochwała dla mnie. Chodźmy.

Chwytam go za rękę i próbuję pociągnąć, ale jego stopy stoją nieruchomo.

– Miło panią poznać. – Wyciąga drugą rękę do mojej mamy. – Przepraszam, Vivi powiedziała mi przed domem, że mam być normalny. Nie miałem dość czasu, żeby przygotować się do tej roli.

Moja mama uśmiecha się szczerze, słysząc to, rozbawiona, i podaje mu rękę.

– Ciebie też miło poznać. Jestem Carrie. Vivi opowiadała mi, że spędza czas z pięciorgiem twoich braci i sióstr.

– O tak. – Zerka na mnie niemal ze współczuciem, jakbym nie uwielbiała każdej chwili z nimi. – Sporo nas jest.

– A który ty jesteś w kolejności?

Czy to naprawdę ważniejsze niż mój spacer po plaży z tym bardzo fajnym chłopakiem?! – pytam mamę, próbując telepatii. Dlaczego mi to robisz?!

Ale Jonah już odpowiedział na pytanie, stojąc zupełnie swobodnie, kiedy ja ściskam go za rękę, dając znać, żebyśmy już szli.

– W środku. Jesteśmy podzieleni na troje starszych i troje młodszych. Ja jestem najmłodszym starszym.

– Brzmi zabawnie. Cieszę się, że Vivi was poznała. Dobrze. – Uśmiecha się do Jonaha, potem do mnie i nas odprawia. – Dziękuję, że sprawiłeś mi przyjemność. Nie za długo, Viv. Tylko spacer.

– Uhm – mówię, odwrócona już plecami do mamy.

– Miło było panią poznać! – krzyczy Jonah.

Nad ocean prowadzi ścieżka ze zniszczonych drewnianych stopni,

którą schodzimy. Jonah opowiada mi o pracy w restauracji, o krzątaniu, klientach i zabawnych kucharach, którzy z nim pracują. Kiedy docieramy na tę część plaży, która pokryta jest wyrzuconym przez morze drewnem, klęka, proponując, żebym wskoczyła mu na plecy, a ja się wspinam. Podnosi mnie i idzie w stronę linii wybrzeża, a ja zeskakuję z jego pleców i stawiam stopy na piasku. Z oceanicznym wiatrem walczy samotna żółta flaga, a niebo rozciąga się nad każdym kilometrem oceanu, a potem dalej i dalej. Jesteśmy jedynymi ludźmi w zasięgu wzroku, cały świat wydaje się prywatnym pokazem wyświetlanym na nieskończenie czarnym niebie. Wszechświat rozpościera przed nami całą swoją istotę, przyzywając nas szeroko wyciągniętymi ramionami. Moje stopy przesuwają się w stronę wody.

– Muszę jej dotknąć, wiesz? To przez wcześniejszą naturę delfina.

– Uważaj. – Jego głos jest łagodny, jest ostrzeżeniem w ciepłym powietrzu. On jest takim ojcem, słowo daję, jakby nie mógł się powstrzymać. – Prąd może być bardzo silny.

Wiem o tym, oczywiście. Po to właśnie jest żółta flaga – żeby ostrzec urlopowiczów, że woda w nocy może być drapieżna i bezlitosna.

– Zawsze zachwycało mnie to, że fale wywołuje księżyc – wyjaśniam. Posyłam mu najbardziej kuszący uśmiech i próbuję wydobyć jego bardziej zrelaksowaną wersję. – Tak daleko, ale taki piękny. Taki potężny. Zawsze czuję, że mnie przyciąga.

– Hm... – Śmieje się, ale nie ze mnie. Nie, właściwie wydaje mi się, że Jonah nigdy nie mógłby się wyśmiewać z kogokolwiek, nie tak, jak robią to inni.

– Może ty tego nie czujesz, bo ważysz więcej ode mnie. Ale ja czuję, tak realnie jak łąso wokół mojej talii.

Wyciągam ręce w górę, jakbym w pasie była przewiązana liną i szła za nią do wody, do księżyca. Woda jest zimna, ale sięga mi do kostek, kiedy Jonah się odzywa.

– Nie odchodź za daleko – ostrzega. – W Verona Cove nie ma ratowników.

Rzucam sweter na piasek, żeby był suchy, kiedy będę wracać do domu.

– Och, Jonah. Ratownicy są przereklamowani.

– Co takiego? Nie są przereklamowani. My ich tu po prostu nie mamy.

Teraz już mam mokre kolana. Odwracam się, żeby na niego spojrzeć, i mówię głośniej, żeby mógł mnie usłyszeć.

– Naprawdę myślisz, że ratownik, jedna jedyna osoba, może powstrzymać wszechświat przed tym, żeby kogoś zabrał, jeżeli tylko zechce?

– Chyba po to stosują resuscytację. – Podkreśla ostatni wyraz, jakby to pięciosylabowe wyszukane słowo, którego ewidentnie nie rozumie, wyjaśniało jego punkt widzenia.

– No, czasami wszechświat zwraca człowieka, kiedy nie chce go jeszcze zabierać, chce tylko przypomnieć, że mógłby, gdyby chciał. – Woda sięga rąbka mojej nocnej koszuli i teraz moja dolna połowa czuje, że ma grunt. Tak, moja dusza zna to uczucie zanurzenia, płynności i wolności bez dna.

– Vivi, zmoczysz się. I możesz mieć poważne kłopoty przez to, że jesteś w wodzie po zamknięciu plaży.

On stoi w wodzie po kostki, ale ja jestem zanurzona do pasa. Musimy podnosić głos, żeby się słyszeć. Jest potwornie zimno, ale właściwie tego nie czuję, bo za bardzo to uwielbiam.

– Jonah, na miłość boską, przecież byłeś wydrą. Poddaj się temu instynktowi. – Wymachuję rękami, na których odbija się blade światło księżycy, z ciemnymi piegami jak ślady po ukłuciu szpilki na mojej skórze. – Poddaj się, Jonahu Daniels!

Podchodzi tak, że woda sięga mu do kolan, a ja nie mogę uwierzyć w jego opieszałość. Mówię wam, ci miejscowi znad morza zwyczajnie nie potrafią docenić potęgi, którą mają tuż za płotem. Właściwie widzę, jak w umyśle Jonaha przewijają się słowa: musisz, uważaj, ryzyko. Ale chcę, żeby zrzucił z siebie tę dorosłość, której potrzebuje na co dzień przy opiece nad maluchami, i chcę, żeby chociaż dzisiaj coś poczuł. Ale podoba mi się, jak jego ciemne włosy mierzwi letni wiatr, więc wybaczam mu jego pragmatyzm. Przesuwam się w jego stronę i woda sięga mi już tylko do połowy uda. Przyciskam moją wilgotną dłoń do jego suchego czoła. Kropelka słonej wody ścieka mu po nosie.

– Jonahu Daniels – mówię. – Ja ciebie chrzczę w imieniu Boga

Nocnego Pływania, niech on...

– Boga Nocnego Pływania?

– No – mówię. – Pewnie znasz go jako Księżyc, ale ma tak wiele oficjalnych nazw, że nie chcę się w to wdawać w tej chwili. Co ja mówiłam? Aha. Niech cię chroni i prowadzi, żebyś przestał być takim cholernym nudziarzem i zaczął zachowywać się jak supernowa, którą jesteś.

Jonah patrzy na mnie, jakbym zupełnie oszalała. A może to spojrzenie pełne podziwu, jakbym była pełną galaktyką, lśniąca, niezmierną i nieodgadnioną. Nagle się uśmiecha w znajomy sposób. I teraz nie jestem w stanie myśleć o niczym innym niż poranne jedzenie wiśni na plaży. O tym, jak zlizywał sok z dolnej wargi.

Zamykam oczy na ułamek sekundy, zanim mnie pocałuje, i chwytam go za koszulkę, żeby utrzymać równowagę w kołyszących się falach. Jego dłonie znajdują się na mojej szyi, przyciągają mnie, a dno oceanu usuwa nam się spod stóp i sam księżyc szepcze:

– Cholera.

Ten pocałunek zupełnie nie przypomina pierwszego, kiedy działałam pod wpływem impulsu. To jest wymiana, zamierzona i celowa: tak, robimy to, tak, tak, tak. Różnica pomiędzy szczęśliwym letnim dniem i gorącą letnią nocą.

Stoimy w oceanie po kolana, a mnie zaczyna się wydawać, że zalewa mnie ponad głowę.

Więc obejmuję Jonaha, wieszam się na nim i całuję go z oddaniem, bez tych wszystkich: Dokąd to zmierza? Albo: Czy on mnie lubi? I: Co to znaczy?! I wiem, że są ludzie, którzy źle by mnie ocenili z tego powodu. Nawet Ruby spytała kiedyś: „Boże, Viv, czy ty w ogóle panujesz nad tym, z iloma chłopakami się całujesz?” Nie! Bo posłuchajcie, siostry: jest lato, ten chłopak jest przystojny i miły, i, szczerze mówiąc, jestem gotowa pocałować wszystko, co sprawi, że poczuję się otoczona taką uwagą. A wy co lubicie?

Kiedy w końcu się od siebie odrywamy, oddychamy szybciej niż na początku. Oczy Jonaha są bardziej otwarte niż wcześniej, ale nie na wysokość ani na szerokość, tylko na głębokość. Jakby był bardziej rozbudzony. Faktycznie, resuscytacja usta-usta. Powinam się czuć

triumfująco, ale jestem w stanie tylko wpatrywać się w niego, nadal na nim wisząc. Wzrok mam zamglony, perspektywa się zmienia, jakbym wszystko widziała teraz pod innym kątem, ale w końcu wszystko wraca do poprzedniego stanu. Jak śpiewaczka operowa na scenie, która jest przekonana, że gra główną rolę, ale okazuje się, że orkiestra – jej żarliwość, nieoczekiwana głębia – niemal doprowadzają ją do łez. Masz zamiar dawać, a okazuje się, że bierzesz i bierzesz, i się w tym zatracasz.

– Dobra. – Jonah się uśmiecha, chwyta mnie za rękę i biegniemy głębiej w wodę, sapiąc pod wpływem chłodu i piękna.

Jonah:

Nie lubię biegać, ale robię to zawsze, kiedy Silas może być rano w domu. Moje stopy uderzają o piasek. Właściwie jest to szybki chód. Mam stary iPod z głównianą baterią, ale działa. Gdy biegam po plaży, słucham metalu. Kiedyś nie cierpiałem tego wrzasku, ale teraz mi pomaga. Zwykle zagłusza moje myśli, ale nie dzisiaj.

Vivi jest przy mnie od prawie dwóch tygodni, ale musiałem pobyc sam dziś rano. Moje zmartwienia obudziły mnie wcześniej i dręczyły jak Leah w bożonarodzeniowy poranek. Skradam się w dziwnej ciszy w domu, zostawiam karteczkę i jadę samochodem kilka kilometrów wzdłuż wybrzeża. Nie chciałem biegać po Verona Cove, Main Street albo po plaży tak jak zwykle. Chciałem biegać w miejscu, gdzie ukradkiem nie będą mnie atakować wspomnienia, gdzie duchy tego, kim byliśmy, nie będą mi się przyglądać jak obserwatorzy maratonu.

Na tym długim pasie piachu podążam szlakiem pytań: Co my, do cholery, zrobimy? Czy Silas przesunie studia? Czy w końcu powiem Feliksowi, że mama potrzebuje fachowej pomocy? A problem z sercem mojego taty – wiem, że był genetyczny. Czy ja mogę zostać na to przebadany?

Po śmierci taty przeczytałem w Internecie o najzdrowszym jedzeniu. Teraz prawie każdego ranka przygotowuję dla braci i sióstr owsiankę. Chyba rozumieją, że muszę coś zrobić. Więc wymyślam smaki, żeby była interesująca – owsianka bananowa z syropem klonowym, owsianka z orzechami laskowymi i truskawkami, owsianka z cukrem pudrem. Kiedy dla odmiany domagają się naleśników, przyrządzam je według przepisu, w którym są płatki owsiane i wiórki czekoladowe. Nie wiem, czy wciskanie największej ilości płatków owsianych do gardeł mojego rodzeństwa jest najlepszym sposobem na zdrowe serce, ale lepsze to niż nic.

Mój tata był z natury duży. Nie okrągły, ale wysoki i szeroki. Vivi powiedziała, że pochodził od sekwoi. My, dzieci, wszystkie odziedziczyliśmy budowę po mamie – średni wzrost i szczupłą sylwetkę. Naomi i ja mamy po tacie sycylijskie ciemne włosy i oczy. Reszta mojego rodzeństwa ma jaśniejszy kolor po mamie. Od śmierci

taty doszukuję się go w Silasie i Isaacu, szukam w ich twarzach jego nosa, jego min, jego zmarszczek przy oczach. Felix twierdzi, że z każdym dniem robię się coraz bardziej podobny do ojca, ale ja tego nie widzę.

Vivi odciąga mnie od tych myśli. Żyje na takich obrotach, że ja muszę się wysilać, żeby za nią nadążyć. Pochłania to tak wiele energii, że nie jestem w stanie skupiać się na moim żalnym życiu. Ona wypełnia wszystko nowymi wspomnieniami, tak że moje życie staje się czymś więcej niż „dokładnie tak jak wcześniej, tyle że bez taty”. Każe mi jechać godzinę do najbliższego sklepu sportowego Target, żebyśmy pojeździli rowerami po sklepowych alejkach, a Leah mogła poskakać na piłkach, dopóki kierownik nas nie wyprosi. Pisze z Isaakiem sztukę o piekarzu z dawnych czasów, Brzuchatym Paulu, i mnóstwie stworzeń, które zakradają się nocami do jego piekarni, żeby podjadać chleb. W jedynym przedstawieniu Isaac grał Paula, w czapce kucharskiej taty, z poduszką wepchniętą pod koszulę, udającą grubą brzuch, i z wąsami namalowanymi kredką do oczu Vivi. Vivi była kostiumografem, kierownikiem oświetlenia i Myszą Przywódcą. Bekah grała mysz w jednej scenie i szopa w innej; Leah grała wiewiórkę, która namawia Paula, żeby upiekł dla niej miniaturowe chlebki nadziewane żółędziami. Ja upiekłem chleb, który służył jako rekwizyt, a Silas i Naomi gwizdali z uznaniem. Mama nie zeszła. Ale następnego ranka maluchy odegrały scenę u niej w pokoju, a ona śmiała się z ich dzieciennego szczęścia, aż się rozplakała. Wygoniłem je za drzwi i zostawiłem ją w spokoju.

To wspomnienie sprawia, że moje stopy mocniej uderzają o piasek, aż zaczynają piec. Vivi nigdy się nie dziwi, kiedy jestem smutny, sfrustrowany albo wściekły o to, w jakim stanie w tej chwili znajduje się moja rodzina. Nie znam się na związkach, ale wiem tyle, że jestem wdzięczny Vivi, że na nic nie napiera. W zeszłym roku spotykałem się z dziewczyną o imieniu Sarah, i był to mój najdłuższy związek, ale ona napierała jak kula stalowa. Nadal ją lubię jako człowieka, ale nie jako dziewczynę. Jest drobna i zadziorna jak mały york. Podobało mi się to, że kierowała połową szkolnych klubów. Kiedy byliśmy mali, to ona zebrała wszystkie kolorowe odznaki skautów i prześcignęła wszystkich w sprzedaży ciasteczek. Uważa, że sukces polega na szybkiej decyzji, co

chce się robić, i na zrobieniu tego.

W pierwszych dniach po śmierci mojego taty cieszyłem się, że Sarah jest obok. Jest przygotowana, co wynika ze stylu życia, jaki obrała. Jest przygotowana na każdą sytuację. Wie, na przykład, że idąc na pogrzeb twojego ojca, ma zabrać całą torebkę chusteczek. Zabiera nawet fiolkę z aspiryną dla dzieci, jakby wiedziała, że moja siostra będzie płakać tak długo, aż głowa zacznie pękać jej z bólu. Ale wtedy stałem się dla niej zadaniem. Była wyjątkowo energiczna, nastawiona na pozytywne myślenie: „gotowi, do boju”. Kiedy ja nie mogłem sobie postanowić, że będę szczęśliwy, i wykonać postanowienia, kiedy mój smutek nie był celem łatwym do okiełznania... cóż, to pozytywne pokrzykiwanie kaleczyło moje bębni.

„Jonah – powiedziała mi. – Ty chyba nawet nie próbujesz być szczęśliwy”.

Szczęśliwy? – pomyślałem. Mnie do szczęścia jest cholernie daleko! Szczęście to odległy kontynent. Ja zmagalem się ze sztormem. Sarah nie rozumiała nic z mojego życia. Nie mogłem znieść, że ktoś zabrania mi słusznego smutku.

Dlatego z nią zerwałem. I dlatego nie poganiam mamy, żeby otrząsnęła się ze zrozumiałej żałoby. Sarah nie płakała, kiedy to zakończyłem. Obraziła się i wściekła. Chyba byłem jedynym zadaniem, które się jej sprzeciwiło. I jedynym, którego nie mogła zakończyć z honorami.

Moje życie dalej było beznadziejne. Ale w końcu znów należało do mnie. Pot chłodzi moje ciało, kiedy wracam do samochodu. Dziś osaczyły mnie moje myśli, czas wracać do zajęć, które mnie od nich oderwą. Kiedy nie mogę gotować, żeby o wszystkim zapomnieć, wymyślam przepisy. Na przykład ten na sałatkę z rukoli z grejpfrutem i plasterkami awokado. I fetą. Z winegretem z szampana. I może z jakimiś orzechami – makadamia? Jeszcze nie wiem. Nie zawsze mogę je wypróbować, bo niektóre składniki, których chcę użyć, są drogie. I niepraktyczne dla siedmioosobowej rodziny. Ale jestem przekonany, że w restauracji mam trochę napiwków po zeszłotygodniowym kelnerowaniu w zastępstwie Feliksa.

Kwestia pieniędzy jest w tej chwili skomplikowana. Moi rodzice

odziedziczyli dom po dziadkach, więc przynajmniej on jest spleacony. Ponieważ Naomi, Silas i ja pracujemy, wystarcza nam na cotygodniowe zakupy spożywcze i na benzynę. Finansami zajmuje się Naomi, więc ona rozmawia z mamą na temat płacenia rachunków. Mamy pieniądze z ubezpieczenia na życie. Ale one kiedyś się skończą. W trzecim miesiącu oderwania mamy od rzeczywistości Naomi obniżyła i tak już niski plan taryfowy telefonów komórkowych, zlikwidowała telefon stacjonarny, przy którego utrzymaniu upierał się tata, i zrezygnowała z kablówki. Jak na ironię, moja mama jest magistrem księgowości. Prowadziła księgowość restauracji i pracowała trochę w okresie rozliczania podatków. Ale nie w tym roku.

Kiedy wjeżdżam na parking restauracji, samochód Feliksa już stoi. Dziwne, że zjawił się o ósmej rano i że przyjechał samochodem. Zawsze przychodzi z domu piechotą. Kluczami taty – teraz już moimi – otwieram tylne drzwi i jestem zaskoczony, widząc nie Feliksa, ale jego córkę Ellie. Rozgląda się po blacie.

– O, cześć, Jonah, myślałam, że ktoś się włamuje.

– Cześć, Ellie. Co tu robisz?

– Remanent zamrażarki. Właśnie skończyłam. – Wskazuje kartkę na blacie.

– Myślałem, że ma to zrobić w ciągu dnia twój tata.

– Tak. Ale przegrałam zakład. Rodzinna gra wieczorna. Tata i Lina załatwili mnie i mamę. Założyliśmy się o remanent zamrażarki i muszę się wypłacić.

Kiedy okrąża blat, nie jestem w stanie nie zauważyć tego, że, jak nigdy wcześniej, jest podobna do mamy. Jest prawie tak wysoka jak ja, ma długie ręce, nogi i szczupły tułów. I w jednej ręce trzyma patelnię.

– Robisz przy okazji omlet?

Marszczy nos.

– Chwyciłam ją odruchowo. Na wypadek gdybyś okazał się włamywaczem.

– Włamywaczem z kluczem?

– Nigdy nie wiadomo. – Okręca raz patelnię, jakbyśmy szykowali się do pojedynku. Rozśmiesza mnie tym.

– A ty, co tu robisz?

– Wyciągam napiwki z sejfu – mówię. – W zeszłym tygodniu zastępowałem twojego tatę na sali.

– Aha. – Uśmiecha się i wspina się na palce, żeby odwiesić patelnię. Zastanawiałem się kiedyś, czy Ellie ćwiczy jogę czy coś podobnego. Jest taka rozluźniona. Jej ruchy, ton głosu. – Miło cię widzieć. Jak ci mija lato?

– Hm... w porządku, dziękuję. A tobie?

Wzrusza ramionami.

– Dość dobrze. Parę dni temu wróciłam od babci, właściwie całe lato przede mną. Trochę tu popracuję. Słyszałam, że masz nową dziewczynę, cieszę się.

– No, tak. – Czy Vivi jest moją dziewczyną? Minęły dopiero dwa tygodnie, a mnie się wydaje, że przeżyłem już całe lato. Ale nie wiem, jak ją nazywać, a ona będzie się ze mną droczyć, jeżeli poruszę ten temat. Czasami traktuje mnie jak swojego chłopaka, czasami jak przyjaciela z opcją na coś więcej, czasami jak naukowy eksperyment. Dreczy mnie, zadaje dziwne pytania.

– Przyjdziecie na ognisko w przyszłym tygodniu? Bardzo chciałabym ją poznać. – Ellie wślizguje się do biura i kładzie listę inwentury.

Ognisko jest coroczną tradycją dla mieszkańców Verona Cove i dwóch małych pobliskich miejscowości, tuż po czwartym lipca.

– Chyba tak. Silas wyciągnął krótką zapałkę, więc on będzie musiał zostać w domu z maluchami. Ale ja będę, Naomi pewnie też.

Ellie spogląda na mnie, marszcząc czoło.

– Twoja mama wyjechała?

O ja głupi, głupi, głupi. Wymknęło mi się, że mama nie jest w stanie pilnować trójki dzieci.

– Nie. Tak. Tak jakby. Akurat tego wieczoru jedzie do innego miasteczka spotkać się z koleżanką. Czy coś takiego, taki mi się wydaje.

– Aha. Okej. – Wychodzi z biura, mija mnie i uśmiecha się niepewnie. Nie mogę uwierzyć, że okłamałem Ellie. Kiedy miałem jedenaście lat i rozciąłem sobie kolano, ścigając się z Silasem i Diegiem, bratem Ellie, Ellie, chociaż miała wtedy zaledwie dziesięć lat, opatrzyła ranę bawełnianą gazą i owinęła ją bandażem. Jest bezgranicznie dobra.

Wchodzę do biura i podchodzę do sejfu. Sprawdzam zawartość małego foliowego woreczka, podpisanego moim imieniem. Wychodząc z biura, kręcę głową z uśmiechem. Jak zwykle, papiery walają się po całym biurku, a nawet wiszą na ścianach. Felix, jak mój tata, ma takie podejście, że dopóki wie, gdzie co jest, nie ma bałaganu.

Jednak coś przykuwa moją uwagę. Czerwona pieczętka na kopercie, bijąca po oczach napisem: „Po terminie”. Jest w połowie ukryta za inną kopertą, ale wyciągam ją. Pod nią jest kilka innych, wszystkie z jaskrawoczerwonymi pieczętkami. Zaadresowane do mojego taty. I na tyle się zdała owsianka i biegi. Zaraz dostanę zawału.

Odgłos pukania do drzwi niemal mnie o niego przyprawia. Chwytam się za pierś, zaskoczony, i dopiero po chwili odzyskuję siły. Wsuwam koperty z powrotem pod dokumenty. Domyślam się, że to Ellie wróciła, widocznie czegoś zapomniała. Ale otwieram tylne drzwi i widzę Vivi.

– Hm... cześć.

– Idę do pracy i zobaczyłam, że twój samochód tu stoi. – Ale nie wygląda na szczęśliwą. Raczej na zranioną. – Co to za dziewczyna stąd wychodziła?

– Aha, to Ellie. Córka Feliksa.

Przysięgam, że zauważyłem, że drży jej warga.

– Byłeś tu sam z nią?

O cholera. Wpadłem.

– Nie byłem z nią. Wpadłem, żeby zabrać pieniądze z napiwków, a ona robiła remanent zamrażarki.

Przygląda mi się nieruchomo, śledząc każdy ruch.

– Jest ładna.

Nigdy nie widziałem u Vivi nic poza... radością i nie wiem, czy się ze mną tylko droczy. Faktycznie, może być zazdrosna albo wściekła. Jestem pewien, że nie zrobiłem niczego złego, ale nigdy nic nie wiadomo.

– Znam ją od urodzenia, Viv.

Zastanawia się nad tym.

– Jest dla ciebie prawie jak siostra?

Nie, niezupełnie.

– Tak.

– To nie zabrzmiało przekonująco, Jonah. – Zakłada sobie ręce na piersiach i czeka na wyjaśnienia.

– Viv?

– Słucham.

– Jesteś jedyną dziewczyną, o jakiej w życiu myślałem.

To prawda. To wywołuje uśmiech na jej twarzy, właściwie nieśmiały, co nie jest określeniem typowym dla Vivi. Uśmiech się rozciąga, promienny i intrygujący.

Nie dając mi ani chwili na to, żebym się przygotował, wskakuje na mnie, obejmuje mnie za szyję. Całuje mnie jak ktoś z chorobą płuc, dla kogo jedynym źródłem tlenu jestem ja. Gdyby ktoś, zanim poznałem Viv, spytał mnie: Hej, Jonah, chciałbyś mieć dziewczynę, która będzie się na ciebie rzucać?, odpowiedź brzmiałaby: tak. Ale, ze wszystkich ekscentrycznych rzeczy, z jakimi mam do czynienia przy Vivi, jej nieprzewidywalność w całowaniu jest najbardziej zagadkowa. Rozpala się od zera do czerwoności w czasie krótszym niż trzy sekundy. Nigdy nie wiem, kiedy to się dzieje. W jednej sekundzie właściwie nie zwraca na mnie uwagi, a w następnej chwyta moją twarz, jakby siedziała w izolacji na bezludnej wyspie, a ja byłbym pierwszym chłopakiem, jakiego widzi od lat. Nie narzekam. Ale nie mogę robić tego tutaj, w kuchni mojego taty. Nie przy tych kopertach, które nie dają mi spokoju. Mój umysł nie jest w stanie wyłączyć się na tyle, żebym mógł odwzajemnić pocałunek. Wydaje mi się, że w każdej chwili może wejść tata, przyłapie mnie i będzie koniec świata. Oczywiście wiem, że nic takiego się nie stanie, ale to tylko pogarsza sprawę. Naprawdę, miejsce, w którym twój zmarły tata wydaje się najbardziej żywy, jest raczej najmniej zmysłowe na świecie.

– Viv – mówię, sadzając ją na blacie. Ona nie przestaje obejmować mnie nogami w pasie. – Nie mogę, zrozum. Nie tutaj. Gdzie tata... Po prostu... Przepraszam. – Krzywię się przezornie. Całkiem możliwe, że wybiegnie stąd z hukiem. Ale ona zdejmuje ze mnie nogi i wyciera ślady szminki z moich warg.

– Jasne. Akcja przełożona. Po prostu nie mogłam się powstrzymać, ty przystojny diable.

Jesteśmy razem przez chwilę i patrzymy sobie w oczy. Ona zanurza palce w moich włosach, jakby miała zamiar chwycić mój umysł. Później posyła mi to swoje spojrzenie, próbując mnie przeszyć błękitnymi oczami. Bada.

– W porządku. O co tu chodzi?

Kręcę głową, a ona przesuwa dłonie w dół, do mojej szyi. Trzyma mnie tak, że jej kciuki bez trudu wyczuwają mój puls.

– Restauracja... Chyba nie radzi sobie tak dobrze, jak myślałem. Wydaje mi się, że mogą być jakieś problemy finansowe.

– Och. – Kąciki jej warg opuszczają się na ułamek sekundy. Po chwili zeskakuje ze stołu. – Powinieneś je rozwiązać.

– Rozwiązać?

– Tak. Wprowadź zmiany, żeby interes lepiej się kręcił.

Opuszczam ręce wzdłuż ciała i nie jestem w stanie wydobyć z siebie słowa. Co takiego?! Jestem zły, że traktuje to od niechcienia. Dziedzictwo mojego taty, dorobek jego życia upada, a ja jestem bezradny.

– Nie mam magistra z ekonomii, Viv. Nie mam zielonego pojęcia o finansach.

– Jonah. – Vivi kładzie dłonie na moich ramionach. – Znasz tę restaurację lepiej niż jakiegokolwiek człowieka. Wiesz, czego jej potrzeba, tak jak wiesz, czego potrzebuje Leah. Zgadza się?

Owszem, mogę się opiekować Leah, ale nie mogę się zajmować wszystkim. Nie mogę zająć się mamą. Nie mam pojęcia, czego potrzebuje. Nic z tego, co mówi Vivi, nie jest takie proste, jak jej się wydaje.

– W porządku. Posłuchaj, wiem, co myślisz. – Wyciąga z torebki szminkę i poprawia makijaż. – Nie chcesz wprowadzać zmian w czymś, co było dziełem twojego taty. Bo tym samym przyznałbyś, że w jego pracy są niedoskonałości i, idąc dalej, że on też miał niedoskonałości. Ja to rozumiem, naprawdę. Ale nie negujesz jego pracy, wnosząc do niej swój wkład. Nie zabijasz marzenia, ale pomagasz mu się rozwinąć.

Nie zastanawiałem się nawet nad tym. Teraz to zrobię. Nie mogę za nią nadążyć.

– Dobra – mówi, wspinając się na palce, i całuje mnie w policzek.

– Muszę lecieć do pracy, a ty pomyśl nad jakimiś rozwiązaniami w tym swoim genialnym łepku. Na twoim miejscu zaczęłabym od przearanżowania patia, i to szybko, żebyś mógł mi tu wyprawić moje urodzinowe przyjęcie. Bo tego właśnie chcę, oficjalnie. Okej? To moje oficjalne urodzinowe życzenie i powinieneś się cieszyć, bo miałam zamiar poprosić o wespę. Ale ponieważ doszłam do wniosku, że wystarczy mi przyjęcie na patio U Tony’ego, urządź je dla mnie. Do zobaczenia wieczorem, wtedy upomnę się o odroczonej sesję całowania. Uczciwie ostrzegam. – Odwraca się, puszcza do mnie oko i znika za drzwiami.

Cała Vivi, zawsze zostawia mnie w takim stanie. Ona tego nie zauważa. A może robi to celowo, nie mam pojęcia. W ciszy dawnej kuchni mojego taty dociera do mnie, że Vivi ma rację. Gdzieś w zakamarkach mojego umysłu przechowuję pomysły na restaurację od lat. Zaczęłam na długo przed śmiercią taty. Nie twierdzę, że te pomysły się sprawdzą. Ale je mam – zmiany w menu i unowocześnienie aranżacji wnętrza, do tego różne sposoby przyciągania turystów.

Wychodzę na patio, o którym nigdy nie myślałam. Nie jest to nic wielkiego. Restauracja przy ścianie zewnętrznej ma zakątek na świeżym powietrzu – dwie prostopadłe ściany z cegły. Wiele lat temu tata wylał cementową podłogę i zainstalował niski płot z kutego żelaza na dwóch otwartych bokach, tworząc kształt litery L. I to wszystko. Jest tam stary grill, zardzewiała drabina, zapasowy zbiornik z gazem i sarta innych gratów. Z ulicy widać je, kiedy idzie się od strony centrum. Tak właśnie musiała je zauważyć Vivi. Nie wiem, czy jadalnia na świeżym powietrzu przyciągnie większą liczbę klientów. Nie wiem, czy warto będzie włożyć w to pracę. Ale miło byłoby odcisnąć gdzieś swój ślad. Zwłaszcza gdyby udało mi się zamienić ten stary, zaniedbany kąt w miłe miejsce na urodziny Vivi.

Więc siadam na stołku przy blacie z kawałkiem kartki z gabinetu. Nie wiem, jak długo tak siedzę i notuję pomysły. Przystawki, które nigdy nie sprzedawały się zbyt dobrze, powinny zostać zastąpione innymi. Potrawami, o które ludzie pytają, a których nie mamy, chociaż moglibyśmy mieć. Nadal piszę, kiedy tylnymi drzwiami wchodzi Felix.

– Cześć, Maní. Zobaczyłem twój samochód. Myślałem, że dzisiaj

masz wolne.

– Wpadłem na chwilę. – Teraz albo nigdy, Daniels. Żadnego tchórzostwa. Mam tylko nadzieję, że Felix potraktuje mnie poważnie, jak mężczyzna mężczyznę. – I zacząłem myśleć o patiu. Moglibyśmy je zaaranżować minimalnym kosztem. Może stałoby się magnesem dla klientów?

– Hm – mówi Felix. – Zawsze o tym myśleliśmy, ale nigdy się tym nie zajęliśmy.

– To byłoby dobre dla interesu? Przestrzeń na świeżym powietrzu?

– Możliwe. – Kiwa głową.

– Interes dobrze się kręci? To znaczy, przyzwoicie? – W mojej głowie pojawiają się słowa: „Po terminie”.

– Jasne. – Felix zbywa mnie skinieniem dłoni, ale obserwuję jego oczy. Znam jego oczy tak jak oczy taty. Chroni mnie przed czymś. – Raz lepiej, raz gorzej, jak to w biznesie. Zawsze sobie radzimy.

Nie nabieram się na to ani przez chwilę.

– Skoro już rozmawiamy, mam też kilka innych pomysłów.

– Posłuchajmy – mówi i siada na stołku obok mnie. Potem drapie się w czoło i kręci głową, chociaż się uśmiecha. – Nooo, Maní. Czasami czuję się tak, jakbym patrzył na twojego tatę.

Biorę to za dobrą monetę.

Vivi:

Dziś wieczorem we śnie widzę moje przyjaciółki z domu, Ruby i Amalę. Jestem w domu Amali, jest pełen, muzyka dudni, a ja chyba jestem spóźniona, ale znajduję je w kuchni. Ruby ma na głowie plastikową koronę urodzinową z okrągłą różową ozdobą na środku.

Wręczam jej prezent, a ona piszczy z radości, wszystkie wypijamy małe drinki, które smakują limonką i są słodkie jak syrop. Później przemykam na tylny ganek, zatrzymując dym w płucach, i chichoczę na górze, kiedy zdejmuję koszulę przez głowę i czuję się jak skończona dziwka, ale krzyczę do mojej podświadomości: Nie, nie, przerwij to.

Jestem na zewnątrz, wszyscy wiedzą, co zrobiłam, ale ja nie pamiętam, jak do tego doszło. Amala szłocha, tłum gapiów obserwuje zajście, a ja stoję po drugiej stronie trawnika. Głupia tiara wygląda zupełnie nieodpowiednio na głowie Ruby, która obejmuje Amalę i próbuje ją uspokoić. Długie włosy Amali się kołyszą, jej twarz się wykrzywia, a ona krzyczy:

– Jak mogłaś mi to zrobić, Vivi?! Wynoś się z mojego cholernego życia!

Więc znikam. Znikam.

Wzdycham na jawie w moim łóżku w domu Richarda, mam mokre dłonie i czoło.

Koszmar, wspomnienie. Możliwe, że jedno i drugie. Wpatruję się w sufit. Biel, biel, biel. Jej surowość boli.

Zanim słońce zdąży mrugnąć, wskazując przedpołudnie, stoją na drabinie na środku pokoju.

– Do cholery, co to ma znaczyć? – Moja mama stoi w drzwiach z rękami założonymi na piersiach w rodzicielski sposób, który do niej nie pasuje.

– Znalazłam fantastyczną inspirację w gazecie. Ściana dekoracyjna, tylko na suficie. Nie martw się. Dzwoniłam do Richarda.

– Co takiego? Zostawił numer na wypadek wyjątkowych sytuacji.

Wiem, wiem. Ale to był nagły wypadek zatrzymania akcji serca, wymagający szybkiej interwencji. Powiedziałam mu, że nie mogę spać w tym cholernym pokoju. Za dużo bieli, bo i ściany są przeraźliwie

białe, biją mnie po oczach. W tle słyhać było strzępy mandaryńskiego – poważne głowy, rozmawiające chyba o akcjach, obligacjach albo, jak ja je nazywam – o niszczących duszę znamionach życia przeżywanego dla złych celów. Ale Rich pośpiesznie wypowiedział te cztery magiczne słowa, chociaż ton jego głosu był nieco niegrzeczny:

– Rób, co chcesz, Vivi.

Więc zrobiłam. Kiedy otwierali Thomas Hardware, czekałam na ławce na przystanku autobusowym z kubkiem kawy na wynos z Betty's. Wybrałam wałki, taśmę malarską, dużą puszkę granatu gwiazdzista noc i mniejszą srebrnej farby.

Później w garażu Richarda znalazłam drabinę i zaczęłam od środka sufitu malować długimi pociągnięciami wałka. Teraz sufit wygląda jak granatowa dziura w nieskończenie białym wszechświecie – z całą pewnością warta bólu karku, ścierniętej ręki i wrażenia, że mój kręgosłup stworzony jest ze sztywnego metalu, a nie z giętkiej tkanki i elastycznej kości.

– Vivian – mówi, szturchając mnie. – Żarty sobie robisz?

– Poczulałam impuls. Pamiętasz, jak zeszłej zimy stwierdziłaś, że łazienka natychmiast potrzebuje tapety? To mniej więcej coś takiego. Poza tym Richard cieszył się, że będzie miał darmowy projekt i wykonanie. – Wydaje mi się, że się cieszył. Powinien!

Mama patrzy na mnie, mrużąc oczy.

– Nie śpisz dobrze?

– Śpię całkiem dobrze. A ty? – Moja bierna agresja, która kryje się za tym pytaniem, wyraża: Nie przypisuj mojej bezsenności większemu problemowi, bo sama cierpisz na artystyczną bezsenność, a kiedy jest inaczej, to głównie dlatego, że stosujesz naturalny środek nasenny nazywany winem.

– Nie mogę powiedzieć, że rewelacyjnie. – Wzdycha i poddaje się, słysząc moje marudzenie, jak każdy. – Idę na rynek. Chciałam tylko sprawdzić, czy obudziłaś się do pracy.

– Za parę minut wychodzę.

Kiedy znika, schodzę z drabiny i zdrapuję parę plam granatowej farby z drewnianej podłogi. Całą podłogę w sypialni przykryłam gazetami, ale nie miałam czasu rozłożyć ich starannie – za bardzo się

spieszyłam, żeby rozpocząć zaciemnianie mojego sufitu. Rozpinam luźną męską koszulę w kratę, której użyłam jako fartucha do malowania, i odsłaniam boski kombinezon. Właściwie jest jak mój kostium kąpielowy w stylu vintage – wiązany na szyi i dopasowany, jedynie spodenki są nieco dłuższe i jest z bawełny w kwiecisty wzór.

Wsuwam stopy w odważne złote japonki, bo dziś już zostałam alchemikiem – zamieniłam sufitowe tabula rasa w porządną nocny sen, czytaj: złoto. Wkładam na głowę fedorę i kardigan z łatami na łokciach, śmiejąc się z siebie po cichu, kiedy mijam lustro. Musisz się z siebie śmiać, kiedy od góry wyglądasz jak dziadek, a od dołu jak kobieta spędzająca wakacje na francuskiej Riwierze w latach czterdziestych dwudziestego wieku. Czyli zjawiskowo.

Robię sobie rutynowy przystanek na klifie. Dzisiaj stoję tuż nad krawędzią, tak blisko, że jeden krok byłby ostatnim na tej ziemi. Kładę tabletkę na opuszcze kciuka i zrzucam ją środkowym palcem.

– Dziękuję za usługi, tabletko, ale nie jesteś już potrzebna!

Potem biegnę w stronę miasta, skacząc po mchu i trawie i wydając z siebie okrzyk zwycięstwa: Huraaaa!

Ocean odbija echem moje słowa w swojej wodzie, wiem, bo nawet ocean rozpoznaje, że jestem dzikim stworzeniem, duchowym dzieckiem bezkresnego świata skąpanego w gwiazdach. Huraaaa!

Te tabletki nazywają litem, a ja lubię brzmienie tego słowa w moich ustach – jest łagodne, nienachalne, a nawet kojące. Lit. Kiedy lekarz przepisał mi lit pierwszy raz, zastanawiałam się, jak firmy farmaceutyczne wymyśliły tę nazwę, jakby istniał komitet wybierający ładne, kojące słowa. Zastanawiałam się, dlaczego wybrali „lit” jak Litwa, litografia, monolit. W greckim oznacza kamień, sprawdziłam w Internecie. Lit stał się kamieniem obciążającym, kiedy dziki, niszczący sztorm chciał mnie porwać. Ale lit nie jest nazwą marki, to pierwiastek chemiczny o skrócie Li w układzie okresowym pierwiastków. Jednak moim zdaniem powinien nazywać się Linia, bo sprowadził moje wzloty i upadki do ładnej, prostej linii.

Ale teraz już czuję się lepiej. A nawet najlepiej! Poza tym nadal biorę inne tabletki, bo one trzymają z dala mroczne istoty. W zeszłym roku obejmowały mnie swoimi atramentowymi ramionami, aż mój świat

w technikolorze zamienił się w szarą planszę bez obrazu. Aż nie czułam nic prócz nicości.

Mój telefon dzwoni w torebce i jestem przeszczęśliwa, kiedy widzę, że to Jonah, bo jest jednym z eliksirów, który stosuję. Kiedy go całuję, czuję, jak uspokajające, ciepłe doznanie zalewa całe moje ciało i koi rozbiegane myśli.

Jego pruderyjność sprawia, że wszystko, co robię, staje się intrygujące, co jest dodatkową zaletą. Był oburzony tym, że chciałam odegrać z nim scenę pod prysznicem na świeżym powietrzu po wycieczce na plażę w zeszłym tygodniu. Ale namówiłam go do tego pomysłu.

– Czeeeeść.

– Viv? – To nie jest jego głos, opanowany i swobodny. Jest spanikowany. – Jesteś w pracy?

– Właśnie otwieram drzwi. Dlaczego? Co się stało?

– Możesz... Boże, głupio mi o to prosić, nie wierzę, że o to proszę. Możesz za kilka minut podejść do Pattersona?

Otwieram usta, ale on nie przerywa.

– Mama poszła tam rano i myślałam, że to dobry znak, ale pan Patterson właśnie zadzwonił i powiedział, że dopadło ją załamanie przy półce z artykułami do pieczenia czy coś takiego. Nie wiem. Powiedział, że powinienem po nią przyjść, bo nie chce, żeby sama wracała samochodem do domu, ale zabrała auto, a ja jestem tu sam z maluchami, Naomi jest na stażu, a Silas nie odbiera telefonu w pracy, a ja... ja...

Mój umysł przyswaja to wszystko dopiero po chwili, ale kiedy informacja do mnie dociera, chowam klucze z powrotem do torebki.

– Jonah, posłuchaj. Idę do Pattersona i wszystko będzie dobrze. Poproś któregoś z sąsiadów, żeby popilnował dzieciaków przez jakieś pół godziny i przybiegnij tu, dobrze?

– Dobrze.

Idę szybko ulicą, dziękując sobie, że pół godziny temu włożyłam klapki, a nie szpilki. U Pattersona zastaję mężczyznę z siwymi wąsami, krążącego przy wejściu. Ma na sobie zieloną koszulkę polo z warzywnym logo, może to sam pan Patterson.

– Dzień dobry – mówię, starając się, żeby zabrzmiało to spokojnie i

w dorosły sposób. – Jestem koleżanką Jonaha Danielsa. Będzie tu niedługo, ale na razie przysłał mnie.

– Jest na zapleczu, drzwi po prawej. – Kręci głową, oszołomiony, najwyraźniej sam sobie zadając pytania. – Nawet nie wiem, co się stało. Znalazłem ją, jak klęczała z pudełkiem tartej bułki w dłoniach i wydawało mi się, że miała atak paniki. Nie wiedziałem, co robić. Dałem jej pustą torebkę papierową, żeby oddychała, jak w telewizji.

Posyłam mu surowe spojrzenie, które, mam nadzieję, mówi: Jeżeli powie pan komukolwiek o tym incydencie, to będzie bardzo żalosne, naprawdę, a ja rozpuszczę plotki o robakach w produktach i salmonelli.

Sklepowy kącik wypoczynkowy jest miejscem, gdzie wszelka radość zamiera i nie bardzo wiem, co nim kierowało, że ją tu wcisnął. Jest tu brązowa gładka sofa, która wyszła z mody co najmniej pół wieku temu, lodówka, dwa automaty sprzedające i mnóstwo notatek na szafkach. Mama Jonaha siedzi wyprostowana na plastikowym krześle przy okrągłym kuchennym stole i trzyma dłonie na kolanach. Cieszę się, że w końcu ją widzę na żywo, nie tylko na zdjęciach, chociaż wygląda na bardzo smutną. Znam to uczucie, że jest się duchem we własnym życiu – nikt cię nie widzi, nikt cię nie czuje, więc trwasz nieruchomo, jakbyś naprawdę w każdej chwili mógł zniknąć.

– Dzień dobry. – Mój głos brzmi ostro, chociaż silę się na łagodność. – Jestem Vivi.

Zerka w moją stronę i wysila się na słaby uśmiech, w którym dostrzegam uśmiech Jonaha – ten, kiedy stara się, jak może, ale smutku nie da się ukryć.

– Oj, dzień dobry. Boże. – Muska dłońmi koszulę, jakby chciała ją wygładzić. – Dzieci dużo mi o tobie opowiadały. Czuję się tak, jakbym cię znała.

– Ja też się czuję tak, jakbym panią znała, ale cieszę się, że mam okazję poznać panią osobiście. – Siadam na plastikowym krześle stojącym najbliżej niej i szukam w jej twarzy maluchów. Smutek podkreślił jej oczy intensywnie różową kreską, ale jest piękna – ma jasne włosy i niebieskie oczy jak Leah i pewnie jest trochę za szczupła. – Jonah już idzie, ale ja byłam niedaleko, więc pomyślałam, że z panią posiedzę, aż przyjdzie.

Głos pani Daniels się łamie, kiedy chowa twarz w dłoniach.

– To takie krępujące.

– E tam, widziałam gorsze rzeczy.

Wydaje z siebie szorstki śmiech, pełen pogardy do samej siebie, i przesuwa dłonią od głowy do stóp, jakby podsumowywała obecną sytuację.

– Wątpię, ale miło, że tak mówisz.

Wyciągam w jej stronę mój lewy nadgarstek i podwijam rękaw. Blizna biegnie jak blada rzeka, nierówna, wijąca się po mojej ręce, a ja czuję, jak zawsze, pragnienie, żeby ją wymazać. To chyba jedyny raz, kiedy jestem wdzięczna za ten dowód mojej dawnej desperacji.

Mruży oczy i przechyla głowę – nie z pogardą, ale z zaciekawieniem. Czuję ulgę, że nie okazuje odrazy na widok czegoś tak brzydkiego. To znaczy, nie wiem, czy blizna sama w sobie jest brzydka – nigdy się nad tym nie zastanawiałam – ale przedstawia coś przerażającego i niezgłębionego. Znow odzywa się szeptem, tym razem z przejęciem.

– Nie wiedziałam.

– Już mi lepiej. Od jakiegoś czasu.

– Czy ty... kazali ci brać leki? – Mówi jak dziecko, które boi się, że lekarz zrobi mu zastrzyk, ale nie winię jej. – Przepraszam, zapomnij, że pytałam. Palnęłam gafę.

– Nic się nie stało. Tak. Kazali. Antydepresyjne.

– I pomogły?

Powiedz te słowa, Viv. Ona nie powtórzy Jonahowi, musi je usłyszeć, wyduś je z siebie. Tak powinnaś zrobić, zrób to, zrób to.

– Pomaga. Pierwsze, które mi przepisali, były koszmarem. – Te pierwsze tabletki wzbudziły we mnie złość, niepokój i oderwały od ziemi. Rozpoczęły sztorm. – Ale te... Czuję się sobą, kiedy je biorę.

– Jestem taka zmęczona. Cały czas jestem tak bardzo, bardzo zmęczona. – Łza spływa jej po twarzy, aż skapuje z brody, a ona nie wyciera śladu po niej.

Pamiętam, jak byłam w tej dżungli, zagubiona w najmroczniejszej, najdzikszej jej części, gdzie pomiędzy drzewami czaiły się groźne bestie i drapieżne rośliny. Mogłam tylko leżeć na mokrych liściach. Pluskwy

chodziły mi po nogach, a ja nie przejmowałam się nimi na tyle, żeby je odgonić.

– Oj tak, znam to uczucie. Ale dzięki lekom zaczęłam czuć na tyle, że byłam w stanie się rozzłościć. – Nie dopowiadam, że złość daje siłę. Podniosłam się i wydobyłam się stamtąd, krok po kroku, przedzierając się przez pnącza. Krzyczałam, aż twarz zrobiła mi się fioletowa, bo wtedy byłam już groźną bestią. Przeżyłam mrok i samotność i, kiedy się z nich wynurzyłam, reagowałam rykiem na wszystko, co napotkałam po drodze.

Milczy przez kilka sekund.

– Jestem zła tylko na siebie.

– Cóż, od czegoś trzeba zacząć. – W pomieszczeniu panuje cisza, nie licząc mruczenia lodówki w tle, a ja uświadamiam sobie, że ona musi usłyszeć pewną ważną rzecz. – A tak przy okazji muszę pani powiedzieć, że pani dzieci są uosobieniem cudowności. Chciałam pani o tym powiedzieć. Patrząc na doświadczenie mojej matki, wydaje mi się, że trudno jest wychować jedno choć w połowie normalne dziecko, a pani udało się wychować sześcioro naprawdę wspaniałych.

– Tak – mówi z goryczą w głosie. – Co ze mnie za matka.

– Cześć.

Obie podnosimy wzrok i dostrzegamy Jonaha w drzwiach. Nadal jest zdenerwowany, ale widzę, że oddycha wolniej, niż oddychałby, gdyby biegł. Zastanawiam się, jak długo stoi w tych drzwiach.

Jego mama w jednej chwili robi się skruszona, jakby sama jego obecność była dla niej oskarżeniem. Łzy znów napływają jej do oczu.

– Mówiłam Jimowi, że sama wrócę do domu, ale kazał mi tu usiąść. Tak mi przykro, synu, nie wiem, co się stało, w jednej chwili wszystko było w porządku, a potem nagle ścisnęło mnie w piersiach i nie mogłam oddychać. Chciałam upiec dla was ciasto i...

– Mamo, hej. Hej. – Jonah klęka przy niej, a ja się odsuwam. – Nie przepraszaj. Nic ci nie jest. Nikomu nic się nie stało. Wracajmy do domu, dobrze?

– Ale... wózek...

– Produkty na ciasto przywiozę później. – Pomaga jej wstać i wyprowadza za drzwi, przytrzymując ją pod plecy. Na parkingu idziemy

po obu jej stronach jak ochroniarze, osłaniający gwiazdę przed paparazzi. Jonah otwiera drzwi pasażera i zatrzaskuje je, kiedy jego mama znajduje się w środku.

– Przepraszam, że cię poprosiłem, żebyś przyszła – mówi szeptem, kiedy obchodzimy samochód. Wiatr podwiewa mój kardigan na tyle, że chwytam go i owijam się nim.

– Nie przepraszaj. Mówiłam ci, Jonah, że nie onieśmiela mnie cierpienie innych.

Dotyka palcami brwi i przyciska tak mocno, że przez chwilę utrzymuje się czerwony ślad.

– Chyba muszę powiedzieć Feliksowi.

– Chyba powinienęś spytać mamy, czego potrzebuje. Porozmawiać z nią.

Jonah wznosi oczy do nieba, jakby odpowiedź miała spaść mu na twarz w postaci deszczu, zmywając pył smutku. Ale w Verona Cove nigdy nie pada.

– Chyba powinienem był mu powiedzieć dawno temu.

– W porządku, Jonah, rób, jak uważasz. – Pstrykam palcami. Może mnie słyszał, ale nie usłyszał. – Muszę lecieć do pracy.

– Hej! – krzyczy. – Co ja takiego powiedziałem?

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Przestań się zachowywać tak, jakby ona nie miała nic do gadania! Święta matko ziemio, Jonah! Po prostu... spytaj ją.

Unosi dłoń, jakby się poddawał.

– Dobra... Boże.

Oddalam się, wzburzona, i słyszę, jak jego ręce uderzają o ciało, i jestem pewna, że uniósł je w górę w geście frustracji. Potem słyszę odgłos uruchamianego silnika, ale nie podnoszę wzroku, kiedy odjeżdżają, bo na to nie zasłużył.

W najgłębszej, najbardziej komórkowej istocie mojego bytu czuję złość do ludzi, którzy są przekonani, że depresja jest synonimem słabości, że „smutnych” ludzi trzeba niańczyć jak bezradne niemowlaki. Jonah – mój chłopak, mój przyjaciel, mój kochanek, kimkolwiek jest – jest przekonany, że wie lepiej, czego potrzebuje jego mama od niej samej. Jej smutek sprawia, że nie można jej o nic spytać, że jest

pozbawiona własnego zdania, niewiarygodna? Te myśli są bardzo bolesne.

Moje mroczne dni sprawiły, że jestem silna. A może już wtedy byłam silna, a dzięki nim sobie to udowodniłam? Jonah Daniels ma własny smutek, ale nie rozumie, jak to jest marnieć w zamkowym lochu, przykuty łańcuchami do ponurych ścian. A kiedy wchodzi smok, myślisz tylko: Boże, niech już będzie po wszystkim. Jestem na tyle roztrzęsiona, że dłonie mi lekko drżą, więc nie jestem w stanie pracować w sklepie z ceramiką. Wyobrażam sobie skorupy, cenną ręczną robotę zniweczoną przez roztrzęsioną, wzburzoną dawną smutną dziewczynę.

Muszę się skupić na sobie, na mojej radości, moich celach. Potrzebny mi dzień Vivi, który jest jak wakacje, tylko miłszy. Jeżeli wymyślę dobry pretekst, mama pożyczycy mi samochód i będę mogła pojechać do San Jose. To trzy godziny na południe stąd, ale powiem jej, że rozpaczliwie potrzebuję jakichś sensownych zakupów. Co, w pewnym sensie, jest prawdą. W San Jose mieści się salon firmowy Vespy, a tego właśnie w tej chwili potrzebuję. Już je czuję, moje ciało pod naporem kalifornijskiego wiatru przy prędkości dziewięćdziesiąt na godzinę i większej. Na włosach będę miała apaszkę, jak piękne kobiety w kabrioletach w starych filmach. Będę jechać na tym, który rozwija największą prędkość, taką, żebym mogła prześcignąć każde brudne wspomnienie, które pozostawiłam za sobą jak śmieć. Pojadę nim z powrotem do Verona Cove i przemknę obok Jonaha Danielsa jako żywy dowód na to, że smutni ludzie mogą robić, co tylko chcą. Jako żywy dowód tego, że możemy gnać przez życie z nową siłą.

Jonah:

Leżałem na łóżku, kiedy zadzwonił mój telefon. Oczywiście miałem zamknięte, ale nie spałem ani nie starałem się zasnąć. Po sklepowej katastrofie odwiozłem mamę do domu i odprowadziłem do pokoju. Później wyciągnąłem się na łóżku na brzuchu i starałem się nie myśleć o niczym. Marzyłem, żeby moje łóżko ożyło i przeniosło mnie do innego świata, jak w książkach dla dzieci. Nie wiem, skąd Whitney wzięła mój numer, ale chciała wiedzieć, czy jest ze mną Vivi.

– Nie widziałem jej od rana – powiedziałem, siadając.

– Nie pokazała się w pracy i nie odbiera telefonu. Trochę się martwię.

Po tym telefonie martwiłem się strasznie, aż Whitney oddzwoniła, żeby powiedzieć, że Vivi się odezwała.

– Wyjechała na cały dzień – powiedziała Whitney. – Zapomniała, że miała pracować.

To nieprawda. Wiedziała, że ma iść do pracy. Ale widocznie wkurzyłem ją tak bardzo, że przeze mnie wyjechała z miasta. To było jedynie kwestią czasu, jeżeli mam być szczery.

Teraz siedzę na naszym podjeździe z Leah i z pudełkiem kredy. Ona rysuje ocean i wynurzającego się z niego delfina. Ja rysuję skupisko znaków zapytania w każdym kolorze. Pomiędzy nimi, na chybił trafił, strzałki skierowane w górę pod różnymi kątami. Następny w kolejce autoportret ukazujący, jak wrywam sobie wszystkie włosy z głowy.

W pewnym sensie jestem wściekły na Feliksa, że nie wyczuł, że jest problem. Po śmierci mojego taty przychodził do nas codziennie, napełniał nam lodówkę i rozmawiał z moją mamą w jej pokoju na górze. Później przestał przychodzić. Wizyty zastąpił niemal codziennym pytaniem: „Jak twoja mamusia?”

Nie byłem w stanie wydusić z siebie odpowiedzi. Nie mogłem mu powiedzieć, że większość dnia przesypia w łóżku zasypanym zużytymi chusteczkami. Wydawało mi się, że to za wcześnie, żeby zacząć się poważnie martwić, chociaż się martwiłem. I miałem wrażenie, że rozmawiając o tym, zdradzę mamę. Więc odpowiadałem:

– W porządku.

Poza tym nie chciałem, żeby pytał. Chciałem, żeby wpadł i sam się przekonał. Chciałem, żeby wkroczył do akcji i wszystko naprawił. Żeby to on był dorosłym.

W odruchu rozpaczy prawie dwa miesiące po śmierci taty zaprosiłem Feliksa na rodzinną kolację. Chciałem poczekać na niego przed domem tamtego wieczoru. Miałem nadzieję, że znajdę w sobie dość siły na to, żeby stanąć z nim na ganku i powiedzieć, że moja mama potrzebuje większej pomocy niż ta, którą możemy jej dać.

– Wiesz, że z wielką przyjemnością zjadłbym z wami kolację – powiedział. – Ale twoja mamí poprosiła mnie, żebym przez jakiś czas do was nie przychodził.

Poczułem się jak w dzieciństwie w kuchni, gdy zadawałem każde pytanie, które przyszło mi do głowy.

– Tak? Kiedy? Dlaczego?

– Jakiś miesiąc temu. – Westchnął. – Potrzebuje czasu, żeby nauczyć się być sama, synu. Wiem, że ciężko to słyszeć. Ale kiedy zjawiam się u was w domu i robię rzeczy, którymi zajmował się wasz tata, odbieram jej tę możliwość.

– Powiedziała ci tak?

– Tak. – Składa duże, kwadratowe dłonie. – To męska rozmowa, *si?* Zostanie między nami.

Nie została. Powiedziałem Naomi i Silasowi, kiedy zastanawialiśmy się, co robić. Jak zwykle, staliśmy po przeciwnych stronach ringu: Naomi nalegała na terapię, Silas się upierał, że mamy dać jej święty spokój, a ja stałem gdzieś pośrodku, znokautowany.

Moją uwagę przykuwa odgłos warkotu silnika, dobiegający z ulicy. Przybiera na sile, aż przed domem zjawia się jasnoblękitna vespa. Motocyklista ma gołe nogi, a kiedy ściąga kask, z zaskoczeniem widzę znajome blond loki.

Leah rzuca się biegiem do Vivi, piskliwym głosem zadając kilka bardzo ważnych pytań. Skąd się wzięła vespa? Ale Vivi podchodzi do nas szybkim krokiem. Mamy poważniejsze tematy do omówienia.

– Może pójdziesz sobie obejrzeć? – proponuję Leah, kiedy spotykamy się z Vivi w połowie drogi.

– Mogę na nim usiąść?

– Nie – mówię, zanim Vivi zdąży jej pozwolić. – Ale możesz włożyć kask na głowę.

– Możesz dotykać niebieskich plastikowych części – mówi Vivi. – Jest jak kucyk, lubi być głaskany.

Vivi mierzy mnie wzrokiem, a do mnie dociera, że jestem cały w kredzie, w kolorze szaławii i musztardowej żółci. Wyciera smugę z mojej ręki, wyteżając umysł. W końcu unosi wzrok i spogląda na mnie.

– To był pełen emocji dzień – mówi.

Chcę ją spytać, co takiego zrobiłem, że ją rozwścieczyłem. Ale nie chcę poruszać tego tematu, kiedy wydaje się... że nie jest wściekła.

– Wiem. I przepraszam. Nie powinienem był wciągać cię w tę sytuację. – Rozcieram tępy ból, który czuję nad brwiami. – To nie było w porządku z mojej strony. To nie twój problem i...

Kładzie opuszki palców na moich wargach i powstrzymuje moje niezdarne przeprosiny.

– Nie rozmawiajmy o tym więcej. Wpadniesz do mnie i zrobisz mi kolację? Moja mama jedzie do San Francisco na otwarcie galerii.

Na wypadek gdybym chciał odmówić, cofa dłoń i całuje mnie. Przyciągam ją, kładąc dłonie na jej karku. Ta dziewczyna była świadkiem kryzysu mojej mamy. I mojego, bo nie mam pojęcia, co robić. A jednak wróciła.

– Ej! – krzyczy Leah z drugiej strony trawnika. – Vivi! To mój brat!

Spoglądam z góry na Vivi. Wycieram plamę z jej buzi.

– No, masz szczęście. Ubrudzony od kredy, przyłapany przez pięciolatkę.

– Uśmiecha się, jakby znała wielki sekret.

– Podoba mi się to – mówi cicho.

Najgorsze jest to, że to prawda.

Vivi:

Powiedziałaś, że jedziesz moim samochodem do San Jose na zakupy, Vivian!

Myślałam, że mamy już nie będzie, kiedy wrócę od Jonaha. Ale była, wystrojona na otwarcie galerii wychodziła do samochodu, kiedy ja podjechałam pod dom na vespie. Zagoniła mnie do środka, purpurowa na twarzy jak jej sukienka.

– Bo pojechałam! Po vespę! Mówiłam ci, że chcę ją mieć! – Bardzo miły sprzedawca załadował ją do samochodu mamy, a ja wróciłam do Verona Cove i poprosiłam sąsiada, żeby pomógł mi ją zdjąć z auta, i teraz jest moja! Pudrowoniebieska, kwintesencja mnie. Moja matka nie może tego zepsuć. – Dlaczego się wściekasz? Kupiłam kask!

To całkiem rozsądny zakup. Mam już prawo jazdy na motocykl, bo chłopak, z którym się spotykałam, kiedy skończyłam szesnaście lat, miał motor. To GT, wystarczająco szybki na autostradę! Teraz nie będę musiała bez przerwy pożyczać od niej samochodu.

– Wydałaś tysiące dolarów, Vivian. – Nie cierpię, kiedy wymawia moje pełne imię, jakby było przekleństwem. – Z karty kredytowej, którą ukradłaś mi z portfela!

– To moja karta! I pieniądze, które zostawiła mi babcia! Nic nie ukradłam, skoro są moje!

Ścisza głos, który robi się groźny.

– Zabrałam ci tę kartę, bo nie umiałaś się nią rozsądnie posługiwać. Ustaliliśmy, że o zakupy najpierw pytasz mnie.

Płonę z wściekłości, moja rozpalona do czerwoności twarz rozświetla kuchnię.

– Przestań mnie traktować jak dziecko! Czy ty się w ogóle słyszysz? W przyszłym roku kończę osiemnaście lat!

Mruży oczy, ale nadal widzę, że usiłuje przeszyć mnie wzrokiem.

– Nie bierzesz tabletek, zgadza się?

– Biorę! – Bo biorę. Co prawda, jedną. Drugą też biorę!

Codziennie na klif, żeby patrzeć, jak spada i ginie.

– Pokaż torebkę.

– Co? Nie. Po co? – Wtedy do mnie dociera, że nie mam nic do

ukrycia. – Dobrze. Proszę.

Wyciąga obie fiołki z lekami, przepisany przez lekarza i wysypuje tabletki na stół. Liczy je i przekonuje się – jestem tego pewna – że jest ich dokładnie tyle, ile byłoby, gdybym codziennie je zażywała. Widzę, że opadają jej ramiona, ale nie wiem, czy czuje ulgę, czy rozczarowanie.

– Nie możesz mnie obwiniać o to, że się martwię. Tak się zaczęło ostatnio. Za chwilę się okaże, że bez pozwolenia zrobisz sobie kolejny tatuaż!

Oczy zachodzą mi mgłą ze złości, z bólu, dopadają mnie wszystkie emocje jednocześnie. Wie, że nienawidzę tego głupiego pastelowego kwiatu lotosu wytatuowanego na boku, że chcę się go pozbyć i że tego żałuję.

– Nie mów mi o ostatnim razie! Spędzam cudowne lato i czuję się lepiej, a ty to niszczysz przez to, że mi nie ufasz.

Ona nie ma pojęcia. Przeżyła to, ale nie ma pojęcia, jakie to było przerażające – jakby mój mózg, moje ciało, całe moje życie funkcjonowało na przyspieszonych obrotach i nie było sposobu, żeby je zatrzymać czy chociaż spowolnić. I jaki dół psychiczny zaliczyłam później, żyjąc z tym, co się stało. A potem odrętwienie. Jak bardzo tęskniłam za tym, żeby poczuć w kościach muzykę. Doskonale to pamiętam i oddałabym moje najlepsze wykroje vintage, żeby zapomnieć. Moja mama nie wie najgorszego, bo nigdy jej tego nie powiedziałam, bo wypowiadając to głośno, musiałabym to przeżywać jeszcze raz i wiem, że nigdy nie spojrzalaby już na mnie w ten sam sposób.

– Chyba odwołam dzisiejsze wyjście – mówi cicho, ale na pewno blefuje. W galerii wystawiają jeden z jej obrazów.

– Rób, co chcesz, ale mnie tu nie będzie – mówię, na tyle opanowana i spokojna, na ile potrafię. – Jadę do Jonaha. Robi dla mnie kolację.

Dobra, on przyjeżdża tutaj, żebyśmy mogli być sami, ale kto by sobie zwracał głowę takimi szczegółami. Rozluźnia się jeszcze bardziej, rozpościera dłonie, które zaciskała w pięści.

– To miło z jego strony. Lubi gotować, co?

– Tak. – W oczach mojej mamy Jonah nie jest w stanie zrobić nic

złego. Jest całkiem normalny, całkiem przewidywalny, jest żywym dowodem tego, że wszystko ze mną w porządku. Któregoś dnia spotkała go na rynku z maluchami i później nie przestawała się zachwycać, jaki jest słodki i odpowiedzialny i jak to cudownie, że spędzam czas z tak miłym chłopakiem. Oczywiście, ma rację, ale nie jest na tyle miły, żeby nie przyjść do mnie pod jej nieobecność, przygotować dla mnie kolacji i spędzić resztę wieczoru w mojej sypialni. Zakrywam dłonią usta, jakbym nad czymś bardzo poważnie rozmyślała, ale ja po prostu ukrywam uśmiech.

– W porządku – mówi, biorąc kluczyki. – Nie skończyłam jeszcze tej rozmowy, ale na razie ją przerwiemy. Vespa wraca do sklepu. Nie jestem szczęśliwa, Viv.

Jonah zjawia się godzinę później z brązową papierową torbą z zakupami. Z jakiegoś powodu to przyciąga mnie do niego jeszcze bardziej, bo wyobrażam sobie, że jest starszym ode mnie chłopakiem, z którym mieszkam i który wraca z zakupami do naszego wielkiego nowoczesnego domu na plaży.

– Dobrze się złożyło – mówi. – Pracowałem nad kilkoma nowymi przepisami do restauracji. Jeden możesz spróbować już dzisiaj, nie musisz czekać na twoje przyjęcie urodzinowe.

– Będę miała przyjęcie urodzinowe? – Klaszczę w dłonie ze szczęścia i już wyobrażam sobie zabawne czapeczki i bajkowe oświetlenie.

Jonah przewraca oczami.

– Powiedziałaś, że ode mnie na urodziny chcesz, żebym urządził patio, więc właśnie to robię.

Przyglądam się, jak rozpakowuje zakupy i wyklada je na stół. Jest wśród nich wiele produktów, których nie rozpoznaję – coś zielonego, liściastego, co nie wygląda na zwykłą sałatę, warzywo, które przypomina skrzyżowanie ziemniaka z rzodkiewką. Wspólnie szukamy garnków, patelni i łopatek, buszując po kuchni Richarda, bo mama i ja właściwie ich nie używamy, więc nie wiem, gdzie co jest.

Jonah wkłada łososa do piekarnika, a ziemniakorzodkiewki, które nazwał czerwonymi ziemniakami, wkłada do garnka z wrzącą wodą.

Mama powiedziała, że wróci późno. Ale, mimo naszej kłótni, nie

będę zaskoczona, jeżeli po kilku kieliszkach szampana pojedzie do domu jakiegoś udręczonego artysty. Przed północą dostanę wiadomość pełną wyrzutów sumienia, ale nie na tyle silnych, żeby zmieniła zdanie. Nie osądzam jej, nie chcę, żeby zabrzmiało to tak, jakbym ją oceniała, bo ja ją rozumiem, naprawdę. Mama chce kogoś, kto będzie ją kochał, a ja rozumiem, że kochająca córka nie wystarcza i że ona marzy o tym, żeby adorował ją usatkwany, interesujący mężczyzna o dobrym sercu. Nie twierdzę, że moim zdaniem sprowadzanie do domu przypadkowych facetów jest najlepszym sposobem na znalezienie takiego, o jakim marzy, ale może dostarczać rozrywki i z pewnością jest lepsze niż siedzenie w domu i niespotykanie się z nikim.

Nie wymyśliłam tego sama, tego o mamie. Moja ciotka po kieliszku wina czy dwóch zawsze robiła się gadatliwa i krytyczna w stosunku do mojej mamy. Bo sama nie jest szczęśliwa w małżeństwie i jest zazdrosna, że mama nie jest do nikogo uwiązana. Tej części domyśliłam się sama.

Siedzę na blacie, wymachuję nogami i przyglądam się, jak Jonah pracuje. Ten widok jest cudowny, swobodny rytm, w jakim kroi brzoskwinie na sałatkę, wprawne ruchy jego dłoni, przemieszczające się pomiędzy kuchenką, wyspą i zlewem.

– To naprawdę miły widok, Jonah, mówię poważnie. Jakbym przyglądała się, jak rozmawiasz w obcym języku, wiesz? Czuję się tak jak człowiek, który mija dwie osoby rozmawiające po hiszpańsku i nie ma pojęcia, co znaczą poszczególne słowa, ale ich brzmienie jest piękne i widać, że się rozumieją. Tak właśnie jest z tobą i jedzeniem.

Uśmiecha się, mieszając jakiś sos.

– To nic trudnego.

Pewnie tylko dlatego, że uczył się tego od dziecka.

– Słuchaj, Jonah, co to jest redukcja? W menu, na przykład, redukcja balsamiczna, czy coś takiego.

– Ach. To technika przygotowywania sosu. Podgrzewasz składniki w garnku, aż wyparuje odpowiednia ilość, i w ten sposób go redukujesz. Pozostały sos jest bardziej aromatyczny. Czasami gęstszy.

– Hm... Dobrze wiedzieć. – Z mojego stanowiska na blacie moje oczy znajdują się na poziomie jego wzroku, co jest czymś nowym, więc

chwytam go za koszulę i przyciągam do siebie.

To taki pocałunek, w którym zatracamy się od razu, a moje dłonie natychmiast zanurzają się w jego cudownych włosach, przyciągając go bliżej. Czuję, że w tej chwili zupełnie opuszcza mnie zdrowy rozsądek, co działa jak dźwignia, która wypycha pociąg ze stacji; przepadłam, nic mnie nie powstrzyma, popędzimy tym torem do samego końca.

Ale on odrywa wargi od moich, a ja jestem przekonana, że powie mi coś seksownego, tymczasem on oznajmia:

– Łosoś się przypali.

Dopiero po chwili odzyskuję kontakt z rzeczywistością, bo umysł mam zupełnie zamroczony, lewituje nad nami. Można by pomyśleć, że to zrani moje uczucia, że mój talent do całowania nie wystarcza, żeby oderwać go od rzeczywistości, że nie jestem w stanie sprawić, żeby zapomniał o gotowaniu. Ale ja nie chcę kogoś, z kim jest łatwo, nie chcę kogoś, kto wypełnia każdy pierwszy lepszy plan, jaki wymyślę. Jonah Daniels potrafi być taki nieodgadniony. Na jego wargach zostają ślady mojej czerwonej szminki, dzięki którym jest bardziej apetyczny niż jakakolwiek potrawa w tej kuchni.

Przyglądam mu się uważnie, kiedy wyjmuję łososia z piekarnika.

– Jonah?

– Tak?

– Chcesz zostać szefem kuchni?

– Chyba tak. – Odstawia brytfankę i zdejmuje garnek z palnika.

Kiedy odlewa wodę do zlewu, w powietrze wzbija się para. – Nie mogę sobie wyobrazić niczego innego, co mógłbym robić.

– Więc pójdziesz do szkoły kucharskiej?

– Mam nadzieję. Kiedyś. – Wyjmuje z garnka do miski czerwone ziemniaki, które dzisiaj zobaczyłam po raz pierwszy, dolewa trochę mleka i kawałek masła. Czekam, żeby powiedział coś więcej, ale, jak wspomniałam, Jonah Daniels potrafi być zagadkowy. Więc będę go dręczyć. Wiem, że stąpamy po niezbyt lubianym przez Jonaha gruncie, ale dobrze mu robi rozmowa o uczuciach i planach.

– Przejmiesz U Tony'ego?

Jonah marszczy czoło z namysłem. Ugniata ziemniaki srebrnym przyrządem, którego nie znam, a mięśnie jego rąk się przy tym

poruszają. Ja siedzę na dłoniach, więc nie mogą próbować sięgnąć jego koszuli, żeby ją rozpiąć.

– Nie, nie sędzę. W każdym razie nie w najbliższej przyszłości. Kocham restaurację i Verona Cove... ale chcę mieszkać w większym mieście.

Zapach unosi się w powietrzu pomiędzy nami – lekko czosnkowy, stopionego masła i innej ziemistej przyprawy, której nie potrafię rozpoznać.

– Są szkoły projektowania kostiumów, zgadza się? – pyta. – Są takie w dużych miastach?

– W Nowym Jorku i LA, chyba głównie. Ale na pewno dostanę się na staż do jakiegoś znanego projektanta, bo jestem już dość utalentowaną krawcową. Chcę poza tym pojechać do Japonii na co najmniej rok. Potem pewnie przeprowadzę się do Kalifornii, bo tam znajdę pracę. – Zastanawiam się nad tym, otwieram umysł na wiele możliwych scenariuszy, jakie widzę dla mojego życia. – A może do Nowego Jorku, będę pracować przy programach telewizyjnych albo produkcjach kina niezależnego. Wiesz, ludziom kostiumologia kojarzy się z pięknymi, doskonale odtworzonymi sukniami z filmów historycznych. Ale projektowanie współczesnych, realistycznych kostiumów do programów telewizyjnych jest też nie lada sztuką. Trzeba poznać postać, wiedzieć, jakich wyborów by dokonała, i pomóc stworzyć wizję bohatera, kostiumolog ze scenarzystami, z aktorem czy aktorką, z zespołem makijażystów i fryzjerów.

– Widzę cię w obu rolach – mówi Jonah z uśmiechem. Wyklada rozgniecione czerwone ziemniaki na pierzynę z sałaty o nazwie rukola. Dzisiaj wieczorem zyskuję zaawansowaną wiedzę na temat warzyw.

– Masz rację, marzę o tym, żeby zajmować się pracą przy współczesnych występach telewizyjnych, ale chciałabym mieć też na koncie przynajmniej jeden wielki przebój kinowy. Bo, wiesz, ubranie może zdecydować o tym, czy scena będzie zwykłym kadrem filmowym, czy stanie się charakterystycznym momentem w filmie.

– Tak? – Wydaje się rozbawiony tym podniosłym stwierdzeniem, ale mam rację. Jeżeli chodzi o projektowanie kostiumów, zawsze mam rację.

– Oczywiście. Bez sukni z głębokim dekoltem na plecach, rękawiczek do łokci i zwracającego uwagę naszyjnika Audrey Hepburn byłaby zwykłą dziewczyną, jakich wiele na ulicach Nowego Jorku.

– I bez tiary.

Mrugam kilka razy, zanim dotrą do mnie jego słowa.

– Słucham?

– Nosila też małą tiarę, mam rację? Holly Golightly?

Nie patrzy na mnie, bo z uwagą układa łososia na kopczyku z gniecionych ziemniaków. Jestem oczarowana. O, święta matko ziemi, ja naprawdę jestem pod wrażeniem.

– Widziałeś *Śniadanie u Tiffany'ego*?

– Pewnie. Mama kazała mi oglądać te wszystkie stare filmy, kiedy byłem mały.

Oba talerze są już prawie gotowe, a Jonah polewa łososia odrobiną sosu. Całe to doświadczenie jest smakowite i zastanawiam się, jak to możliwe, że mam tyle szczęścia: piękny chłopak w tę piękną noc przygotowuje dla mnie ten piękny posiłek.

– Hej, Jonah?

– Tak?

– Naprawdę nie wiem, jak ci to powiedzieć – zaczynam. Zeskakuję z blatu i spoglądam na niego w górę. – Wydaje mi się możliwe, że się we mnie zakochujesz.

Podaje mi mój talerz, a jego uśmiech staje się ledwie zauważalnie szelmowski.

– Viv, właśnie przygotowałem dla ciebie dzikiego łososia z Alaski upieczonego w musie z mango, na pierzynie z czosnkowych czerwonych ziemniaków i rukoli, rozmawiając przy tym o filmie z Audrey Hepburn. Wydaje mi się, że to raczej ty zakochujesz się we mnie.

Wspinam się na palce, żebym mogła dotknąć ustami jego warg. Kiedy z powrotem opieram się na piętach, uśmiecham się. Chociaż w tej całej sytuacji nie ma żadnego „możliwe”, i oboje o tym wiemy, ja też potrafię być zagadkowa.

– Możliwe, Jonah. Możliwe.

Jonah:

Ognisko w Verona Cove odbywa się zawsze w pierwszą sobotę po czwartym lipca. Nikt nie wiem, kto rozpoczął tę tradycję. Ja nie wiem nawet, kto przynosi drewno i kupuje kegi. Ani dlaczego pozwala na to policja. Silas ma teorię, że gliniarze pozwalają nam łamać zasady w tę jedną noc w roku, dzięki czemu pewnie mają mniej problemów przez resztę lata. Najlicniejszą grupę stanowią zwykle miejscowi ze średnich szkół i w wieku studenckim. To niepisana zasada: nie ma wstępu nikt poniżej piętnastego roku życia ani po studiach. Zapraszanych jest paru turystów, ale na ogół tych, którzy spędzają w Verona Cove każde lato. Z kalendarzowego punktu widzenia, w jednej czwartej są miejscowymi.

Naomi postanawia pójść na plażę ze mną i z Vivi, co jest zaskoczeniem dla nas obojga. Co prawda w czasie spaceru nie odzywa się słowem. Vivi przez całą drogę podskakuje przy mnie, pytając mnie, kto tam będzie (wszyscy), czy będą pokazy fajerwerków (tak, ale nieduże). W obecności Vivi trudno jest zaprzeczyć, że jestem przytłoczony. Ona jest pogodna, ledwie dotyka stopami piasku, kiedy idzie. Mam wrażenie, że jej ciało poddane jest mniejszej sile grawitacyjnej niż ciała pozostałych. Naomi zawsze była szczupłą, a jej kościste ramiona nieco pochylają się do przodu. Zawsze mi się wydawało, że ma wadę postawy. Nigdy nie brałem pod uwagę tego, że jest tak samo przytłoczona jak ja, tyle że dłużej. Jeszcze przed śmiercią taty Naomi się zamartwiała, jakby takie miała hobby. Stopniami, szkołą, pieniędzmi, naszą pozostałą piątką, środowiskiem i zanieczyszczeniem. Poważnie.

– Nieźle – mówi Vivi. – Chodzi mi o te gwiazdy, spójrzcie, wyglądają jak nierzeczywiste. Uwielbiam być z dala od świateł miasta. Człowiekowi wydaje się wtedy, że gdyby zszedł zboczem klifu, mógłby zanurzyć się w każdej gwieździe jak lilie wodne w jeziorze i przeskakiwać z jednej na drugą, żeby przejść przez cały Układ Słoneczny.

Po tych słowach obejmuje mnie jedną ręką i podskakuje, żeby pocałować mnie w policzek. Nie muszę patrzeć, żeby wiedzieć, że Naomi przewraca oczami. Uśmiecham się mimo wszystko, chociaż Vivi,

wisząc na mnie, wywołuje ból w już obolałych plecach.

Całe moje ciało jest obolałe od pracy nad restauracyjnym patiem przez cały tydzień, opieką nad małymi i normalną pracą według grafiku. Pierwszego dnia uprzątnąłem wszystkie rupiecie. Połowa poszła do szopy na tyłach, a druga połowa do śmieci. Zadzwoiłem do Silasa, żeby podjechał samochodem i pomógł mi wywieźć stary, zniszczony piec na złomowisko. Wczoraj powyrywałem wszystkie chwasty, ale zostawiłem bluszcz. Zjawił się Silas, chociaż go o to nie prosiłem. Pracowaliśmy w milczeniu, ja, używając całej siły, wyrywałem głęboko zakorzenione chwasty, a Silas zrobił porządek z przewodami elektrycznymi i sprawdził, które światła nadal działają.

Dzisiaj pożyczyłem myjkę ciśnieniową od pana Thomasa, który jest właścicielem sklepu z narzędziami obok restauracji. Patio w końcu jest czyste i uporządkowane. Wszyscy, którzy robią sobie skrót tylną uliczką, powiedzieli, że wygląda wspaniale. Pani Kowalski poprosiła o rezerwację w pierwszy wieczór, kiedy otworzymy patio. Tak daleko w przyszłość nie wybiegałem, ale mimo wszystko podziękowaliśmy jej z Silasem.

Może to żałosne, ale miło się pocić nad czymś, na czym człowiekowi zależy. Patio wygląda coraz lepiej z każdym dniem, postępy są imponujące. Nie mam nawet nic przeciwko bólowi. Przyzwyczailem się.

Ogień trzeszczy w oddali, wokół niego krążą ciemne postacie. Czuję już zapach dymu, słyszę śmiech i rozmowy. W zeszłym roku przyszedłem z moim kolegą Zachem i kilkoma innymi chłopakami z drużyny bejsbolowej. Większość wieczoru kręciłem się z nimi i flirtowałem z Sarah. Ponieważ wiosną rzuciłem bejsbol, właściwie nie widuję się już z tymi chłopakami. Ale nie mogę sobie pozwolić na rozmyślanie o tym, jak bardzo w ciągu ostatniego roku zmieniło się moje życie. Czuję się tak, jakby ktoś rozgniatł mi nos grzbietem dłoni w ulicznej bójce, w której nieświadomie biorę udział.

Kiedy podchodzimy do tłumu, ludzie krzyczą na powitanie, głównie do Vivi. Zatrzymujemy się na chwilę, kiedy Naomi wita się z grupą dawnych przyjaciół i z Adamem, chłopakiem, z którym spotykała się w szkole średniej. Kiedy odwracam się, szukając Vivi, widzę ją kilka

metrów za mną. Rozmawia z Dane'em Farrowem, jakby go znała. I już trzyma piwo. Dane Farrow to kanalia. Takiego słowa użyłby mój tata. Dzieciaki w szkole chodziły do Dane'a po narkotyki, bo jego starszy brat jest dealerem. On sam chyba też, przy okazji handluje marychą i ritalinem. Twardszy asortyment zostawia bratu. Właściwie nigdy nie rozmyślałam o chłopakach pokroju Dane'a. Bo właściwie, co mnie obchodzi, czym się zajmuje? Verona Cove to hippisowskie miasteczko, więc trawa to żadne wielkie halo. Ale nie podoba mi się, że Vivi z nim rozmawia.

Kiedy do mnie wraca, mierzę ją wzrokiem.

– Skąd znasz Dane'a Farrowa?

– Hmmmmm – mówi, przeciągając głoskę. Ewidentnie się zastanawia, co mi powiedzieć. Krótko mówiąc, jak i do jakiego stopnia mnie okłamać. – Mamy wspólną koleżankę.

– Mary Jane?

Vivi chichocze, jakbym powiedział żart.

– Zna Whitney. Poznałam go w pracy. Oj, wyluzuj, Jonah, nie rób takiej miny. Dane sprzedaje chwasty, nigdy bym od niego nie kupiła.

A od kogoś innego? Nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy.

Palilem kiedyś z kumplami, ale nigdy nie kupowałem trawy. W obecnej sytuacji takie rzeczy zupełnie mi nie w głowie.

– Jonah, Naomi, cześć! – Ellie macha do nas i podchodzi, zostawiając grupę rówieśników. – Przyszliście!

Obejmuje Naomi, a mnie nieśmiało kiwa głową.

– Widziałam patio, Jonah – mówi. – Wygląda wspaniale!

– Dzięki. – Kiwam głową. – Niedługo skończę. Ellie, to jest Vivi.

– Jego dziewczyna – dodaje Vivi. Nie odbyliśmy ze sobą rozmowy, określającej naszą zażyłość. Staram się nie okazać zaskoczenia. Ani ulgi.

– Miło cię poznać! – W głosie Ellie słychać szczerą radość, kiedy wyciąga rękę. Vivi chwyta ją delikatnie, jakby wolała nie dotykać Ellie.

– Leah bez przerwy o tobie opowiadała, kiedy widziałam ją ostatnio.

Vivi znów posyła jej sztuczny uśmiech, który wygląda tak nie tylko z powodu szminki. Wygląda jak lalka z przyklejonym na twarzy wymuszonym uśmiechem.

– Hm. Ja o tobie nie słyszałam.

Marszczę brwi, bo przecież wiem, że Vivi o niej słyszała.

– Ellie jest najstarszą córką Feliksa, pamiętasz?

– A, tak. – Vivi nadal uśmiecha się sztucznie. – Racja.

Czuję się jak gazela, na którą czają się dwa lwy.

– Chodź, El – mówi Naomi, chwytając ją za rękę. – Przejdź się ze mną do kega.

Nie odzywając się słowem, odchodzą. Może Naomi chciała mnie uratować, pewnie tak właśnie było. Ale mimo wszystko wyglądało to tak, jakby celowo pominęła Vivi.

– Przepraszam za Naomi. – Siadam na najbliższej belce, a Vivi wciska się obok mnie. Te belki są kolejną tajemnicą Verona Cove, naszym Stonehenge. Są olbrzymie, wyglądają jak skamieniałe drewno czy coś takiego. Okalają palenisko i nie są wykorzystywane przez trzysta sześćdziesiąt cztery dni w roku. – Nie chodzi o ciebie. Ona taka po prostu jest. Całej wieczności potrzeba, żeby kogoś polubiła, a Ellie zna od zawsze.

– Oj, daruj sobie, Jonah. – Wypija duży łyk piwa. – Boże, faceci są tacy tępi. Serio, nawet nie wiesz, o ile łatwiejsze miałbyś życie, gdybyś nauczył się odczytywać mowę ciała.

Patrzę na nią, mrugając, lekko rozzłoszczony.

– Słucham?

Wzdycha i zerka na Adama.

– Kiedy rozmawiał z nią ten chłopak, miała całkiem inną minę. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby była tak przyjaźnie nastawiona i miła, ale to ją wykończyło. Nie wiem, kim on jest, ale widzę, że jego obecność działa na nią, hm, powalająco.

– To jej były. – Naomi nigdy nie wyjawiała szczegółów ich zerwania, a ja nie pytałem. Wspomniała o tym raz, bardzo zdawkowo, kiedy wyjeżdżała na studia w zeszłym roku. To tak jak z kimś, kto zje coś niezdrowego i mówi, że mu zaszkodziło. Nie pytasz o szczegóły. Rozumiesz, że sytuacja jest nieciekawa, i to wystarczy. – Myślisz, że nadal coś do niego czuje?

– Może nie czuje. Ale z całą pewnością jest zraniona. – Vivi przewraca oczami. – Serio, Jonah, nie wiem, jak możesz mieszkać pod

jednym dachem z kimś, kto ma złamane serce, i tego nie wyczuwać. Ja to wiedziałam od tego wieczora, kiedy poznałam Naomi, bo ja wyczuwam w człowieku woń złamanego serca. Ma zapach kadzidła, słodki, ale piekący.

Chcę jej powiedzieć, że mieszkam z sześcioma osobami ze złamanym sercem, z których jedna znajduje się w stanie katatonii. Takie złamane serce pachnie jak powietrze po wypadku samochodowym, jak rozpalony metal. Benzyna. Proszek uwolniony z poduszek powietrznych.

– Nieważne. – Zerka w stronę Naomi i widzi, że wraca. – Pójdę szybko poszukać Tashy. Bądź miły dla siostry.

Nie mam pojęcia, kim jest Tasha. Vivi znika, a ja widzę tylko mignięcie blond włosów i gołych nóg. Myślałem, że Naomi będzie marudzić, jeżeli zobaczy mnie dziś z alkoholem, a tymczasem niesie dwie puszki piwa.

– Masz – mówi, zajmując miejsce Vivi na belce. – Przyniosłam nam porządne piwo, nie te siki, które nazywają piwem z kega.

Podaje mi puszkę i otwiera swoją.

– Zdrowie. Obyśmy przetrwali ten niekończący się, beznadziejny rok.

Miejmy nadzieję. Stukamy się puszkami, które wydają cichy aluminiowy odgłos, i oboje wypijamy duży łyk piwa.

– Ona coś dla ciebie znaczy, co? – Ciemne oczy mojej siostry obserwują Vivi, pogrążoną w rozmowie z jakimś chłopakiem, który z pewnością nie jest Tashą. Śmieje się, od czasu do czasu trącając go w rękę. Jawnie z nim flirtuje. Nagle zauważa, że na nią patrzę, układa usta w dzióbek i posyła mi całusa. Jej czerwone usta są wyraźnie widoczne w blasku księżyca.

– Tak. – Kątem oka zerkam na Naomi. – Polubiłabyś ją, gdybyś ją poznała.

Ogień trzeszczy przed nami, trawiąc drewno. Naomi milczy, wydaje mi się, że dość długo.

– Ja się staram po prostu jakoś trzymać – mówi w końcu.

Nie jest to usprawiedliwienie jej notorycznie złego nastroju. Ale wiem, co ma na myśli.

– Tak jak Vivi.

Nie wiem, skąd mam to przekonanie, ale je mam. Nigdy jej nie pytałem o bliznę na lewym nadgarstku, nierówną i nieprzypadkową. Prawie cały czas nosi długie rękawy, albo – jeżeli jest w kostiumie kąpielowym – zakrywa je bransoletkami. Isaac spytał ją kiedyś o bliznę, a Vivi opowiedziała mu niestworzoną historię o tym, że zaatakował ją niedźwiedź, kiedy była na obozie w Mount Rainier. Nigdy nie opowiedziała mi prawdziwej historii poza tą, że nie boi się mroku. Wierzę jej. Od czasu do czasu jej temperament gaśnie. Jakby była wyczerpana walką z własnymi demonami.

Nie jestem pewien, jak długo siedzę tak obok siostry. Mam wrażenie, że jesteśmy jedynymi osobami, które są nadal trzeźwe. Wszyscy pozostali głośno i niewyraźnie bełkoczą wokół nas. Picie z siostrą nie jest takie dziwne, jak mi się wydawało. Ten ostatni rok zrównał nas wiekiem: oboje jesteśmy starzy. Bo mamy prawdziwe problemy. Nie, że taki-a-taki ze mną zerwał czy że oblałem test z biologii albo czy się dostanę na Berkeley? Naomi i ja jesteśmy jak smętni dorośli, którzy piją w milczeniu przy barze, kiedy dzieciaki w wieku szkolnym szaleją na parkiecie.

Vivi wraca, ciągnąc za sobą chłopaka, z którym flirtowała. Brawo dla mnie.

– Naomi, to jest Ethan – mówi łobuzerskim tonem. – Właśnie mu opowiadałam, że robisz staż w specjalizacji inżynierii środowiska.

Naomi się nie uśmiecha, bo jest podejrzliwa co do motywów Vivi.

– Tak?

– Jestem na pierwszym roku w Stanford. – Ethan mówi szybko, wyraźnie podniecony z jakiegoś powodu. Jego dłonie uderzają w pierś, jakby Naomi nie rozumiała zaimka: ja. A jego wzrok świdruje moją siostrę tak, że mam ochotę go walnąć. – Na inżynierii środowiska.

Wyraz twarzy Naomi się zmienia. Jej mina łagodnieje i teraz patrzy na Ethana z podziwem. Moja siostra jest strasznym kujonem, a w domu nikt nigdy nie chce słuchać na temat jej nauki. Opuściła sobie dawno temu.

– Ja jestem na Politechnice Kalifornijskiej!

– Czym się zajmujesz na stażu? – pyta.

Vivi zakłada sobie ręce na piersiach triumfująco.

– Zbieram dane o zanieczyszczeniu, głównie dotyczące NPS i bakterii wskaźnikowych. Ale niedługo przechodzę do kwestii związanych z rekultywacją wód podziemnych.

– Fajnie. Ja w te wakacje pracuję dla kancelarii, zajmującej się prawem ochrony środowiska, bo zastanawiam się nad studiami prawniczymi. W tej chwili zajmujemy się poważną ustawą o czystej wodzie.

– Proszę, nie zrozum mnie źle, Kapitanie Planeta – mówi Vivi, chwytając Ethana za rękę na swój zbyt wylewny sposób. – Ale to nudniejsze niż przyglądanie się, jak wysycha klej.

Vivi bywa rozbijającą szczera. Potrafi być też cholernie niegrzeczna. Naomi wygląda tak, jakby miała ochotę wrzucić ją do Pacyfiku, ale Ethan chichocze.

– Ona ma rację. – Nadal nie odrywa wzroku od Naomi. – Chyba jestem głodny. Chcesz się przejść na kolację? Knajpa chyba jeszcze jest otwarta. Chętnie posłucham twoich spostrzeżeń na temat wpływu środowiska na Verona Cove.

– Jasne. – Naomi wstaje. Nie jestem przyzwyczajony do widoku mojej siostry z miną tak otwartą i rozchmurzoną. – Z przyjemnością.

Ruszają razem w stronę miasta bez słowa pożegnania. Słyszę, jak on opowiada jej, że wychował się w śródlądowym Kolorado i że fascynuje go życie oceaniczne Verona Cove i urozmaicony teren. Wstaję, jakbym miał zamiar pobiec za nim i go ostrzec, że jeżeli zrobi coś mojej siostrze, zarąbię go gałęzią z drzewa. Albo utopię w zanieczyszczonej wodzie. Czy cokolwiek innego, czym można obrazić i wkurzyć inżyniera środowiska.

– Siadaj, chłopaku – mówi Vivi, głaszcząc mnie po rękę. – Jest skautem. Poważnie. Rozmawiałam z nim o tym.

– Nigdy wcześniej nie widziałem tego gościa! Może to... morderca?

Przewraca oczami.

– Jest kuzynem Violet Cunningham. Nie jest jakimś łazęgą, który zjechał do miasta na zardzewiałym rowerze.

Violet przyjeżdża tu na wakacje od zawsze i jest na tyle lubiana, że zapraszają ją na ognisko. Ale mimo wszystko.

– Poza tym – mówi Vivi, trącąc mnie łokciem – patrz na to.

Naomi i Ethan mijają jej byłego chłopaka i grupę jego znajomych. Ona nawet nie ogląda się przez ramię. Może, zdaniem Vivi, posłużyła za swatkę. Ale ja dopiero teraz uświadomiłem sobie, że może moja siostra potrzebuje przyjaciela. Wraca do domu ze stażu i zajmuje się maluchami. Idzie na górę i omawia z mamą sprawy finansowe, sprząta w domu, robi pranie, zakupy, tak jak my wszyscy. Nie przypominam sobie, kiedy widziałem ją z rówieśnikiem.

– To się nazywa upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Z tym, że ja nie upiekłabym jednej ani tym bardziej dwóch, więc może to nie najlepsza przenośnia. Ale w tej sytuacji nie ma lepszego powiedzenia, bo jakie? Ona dostała ślicznego chłopaka o imieniu Ethan, a inny chłopak, Adam, był zazdrosny? A, właśnie! Skoro o tym mowa, będę miała urodzinową kolację na patiu, prawda?

Potrzebuję chwili, żeby ochłonać po nagłej zmianie tematu.

– Zgadza się.

– Świetnie, super, obiecałam Leah, że pomogę jej z kostiumem pawia, ale chce w nim wystąpić z jakiejś szczególnej okazji, więc moje urodziny chyba będą odpowiednie. Czyli tak: chcę, żeby wszyscy przyszli na kolację i żeby każdy przebrał się za swoje ulubione zwierzę, bo wtedy wszystko będzie tak, jak sobie wymarzyłam.

– Jasne, w porządku. Czemu nie? – Po raz tysięczny w ciągu tych tygodni, odkąd znam Vivi, zadaję sobie pytanie: W co ja się, do cholery, wpakowałem?

– Huraaa! A, i nie zapomnij zaprosić pana Hayashiego.

Ciekawe, jak można zapomnieć o takiej prośbie. Nadal nie bardzo rozumiem, co ich łączy. Wiem, że czasami jedzą razem śniadanie. I wiem, że w zeszłym tygodniu, kiedy pan Hayashi wychodził z U Tony’ego, wycelował we mnie palcem i powiedział:

– Bądź dobry dla tej dziewczyny.

A później poklepał wymownie kajdanki przy pasku.

– Hej, Vivi! – krzyczy ktoś stojący bliżej wody.

Mieszkam w tym miasteczku od urodzenia, a tymczasem więcej przyjaciół ma tu Vivi.

– Zaraz wracam – mówi, całując mnie w policzek. – Nie ruszaj się

stąd, okej? Pogadamy jeszcze o moim antropomorficznym przyjęciu urodzinowym. Czy to nie cudowne słowo: antropomorficzny? Nie jestem pewna, czy poprawnie je wymówiłam, ale kto, do cholery, będzie decydował, jak ludzie mają używać języka? Gdybym chciała, mogłabym wymyślić własny język, nie ma urzędu, który wydaje pozwolenia na takie rzeczy, poza tym...

– Viv – mówię. – Ktoś cię wołał.

– No, tak! – Całuje mnie tym razem w usta, kładąc dłonie na moich policzkach, a potem oddala się biegiem.

Siedzę sam i nawet się nie rozglądam za kimś, z kim mógłbym porozmawiać. Kierowały mną dziwne powody, żeby tu dzisiaj przyjść. Nie zjawilem się tu dla zabawy. Chyba chciałem być przedstawicielem mojej rodziny. Jakbym mówił: patrzcie, nic nam nie jest. Dwoje z nas tu jest. Mam nawet dziewczynę. Ale wszystko to w tej chwili wydaje się głupie. Nic nie jest w porządku i nie ma sensu udawać. Kończę piwo i chcę wracać do domu. Pokazałem się, przywitałem. Nie mam szczęśliwej miny, ale nawet na minę: „wszystko w porządku”, muszę się wysilać.

Z rozmyślań nagle wyrywa mnie Vivi, która pojawia się obok mnie i ciągnie za rękę tak, jak robi to Leah.

– Chodź, chodź. Pora na kąpiel na golasa!

Potrzebuję chwili. Słyszałem, że parę lat temu na ognisku odchodziła kąpiel nago, ale wtedy byłem za mały, żeby na nim być.

– Co takiego? Nie.

– Tak! No, dalej, będzie fajnie. – Dotyka mojego nosa czubkiem palca i wymownie zerka w dół. – Przecież i tak już wszystko widziałam.

Czy ona mówi poważnie? Czy tylko mnie prowokuje? Nigdy tego nie wiem.

– Viv, mowy nie ma, żebym się rozebrał przed wszystkimi ludźmi, których znam.

– Boże drogi, Jonah. – Przewraca oczami, a ja czuję się jak rodzic nastolatka w sitcomie. – Jest ciemno! I będziesz w wodzie! Nikt nic nie zobaczy.

– Owszem, zobaczy. – Na ogół przy Vivi czuję się, jakbym był pijany. Kręci mi się w głowie i chcę więcej, więcej, więcej. Ale są też

chwile, kiedy będąc z nią, czuję się, jakbym miał potwornego kaca. A może po prostu mnie przypadła rola nudziarza. – I nie chcę, żeby wszyscy oglądali cię nagą.

– W porządku, w takim razie zostanę w bieliźnie. Dla ciebie. Z miłości.

Zanim zdążę jej powiedzieć, że nie do końca o to mi chodziło, oddała się biegiem, zrzucając po drodze koszulę. Chcę krzyknąć, żeby przestała, że to dziwne. Ale czuję, że te słowa zamieniają się w moich ustach w kleistą owsiankę i przywierają do języka. Nie chcę być tym opornym, nudnym chłopakiem. Ale po prostu nigdy nie widziałem, żeby Vivi miała na sobie stanik inny niż koronkowy, całkowicie prześwitujący, i nie chcę, żeby inni ludzie... no wiecie, wszystko widzieli. Chcę być tym jedynym, który ogląda kolorowy tatuaż kwiatu na jej boku, ten, którego nienawidzi. Nad wodą stoi grupa co najmniej dziesięciu osób, które się rozbierają. Jeszcze więcej biegnie do brzegu, gdy orientują się, co się dzieje. Widok wielkiej grupy nagich ludzi jest surrealistyczny. Instynkt każe mi odwrócić wzrok, bo gapienie się wydaje mi się nie na miejscu. Faceci są nagusieńcy, ale większość dziewczyn została w bieliźnie. Vivi miała rację, trudno cokolwiek dostrzec w ciemności. Kiedy grupa wbiega do wody, zlewa się w jedną nagą masę. Oczywiście, wszyscy na brzegu ich dopingują. Czuję ulgę, że Naomi już poszła. Bo chyba nie ma nic dziwniejszego niż twoja siostra oglądająca twoją dziewczynę niemal nagą. Zrezygnowany odnajduję moje miejsce na jednej z belek. Ludzie są daleko w wodzie, a ja wzdycham.

– Hej. – Szczupła postać pojawia się pomiędzy mną a ogniskiem, a kiedy unoszę wzrok, widzę uśmiechającą się do mnie Ellie.

– Hej.

– Tata mi mówił, że testujesz zmiany w menu. – Siada obok mnie na belce i poprawia spódniczkę. – Jest naprawdę dumny.

– Dzięki. – Dumny, jak tata. Właściwie nie wiem, jak się z tym czuć. Co mi o czymś przypomina. – Słuchaj. – Ściszam głos, chociaż nikogo nie ma w pobliżu. – Mogę ci zadać dziwne pytanie?

Kiwa głową.

– Wiesz, kto jest właścicielem restauracji? W połowie twój tata, w

połowie mój? I co teraz? Skoro mój tata...

– Tak, jest pół na pół. Połowa twojego taty przeszła na mamę. – Uśmiecha się lekko. – Usłyszałam przypadkiem. Kiedy twój brat wpada w takie tarapaty, w jakie pakował się Diego, robisz się naprawdę niezły w podsłuchiowaniu.

– Więc... hm, słyszałaś, co mówił twój tata? O tym, jak idzie w restauracji?

Zastanawia się nad tym intensywnie. Marszczy brwi i przygryza wargi.

– Nie, ale wydawał się zestresowany, a gdy parę razy weszłam, kiedy tata rozmawiał z mamą, nagle milkli. Myślałam, że chodzi o nową dziewczynę mojego brata, czy coś takiego. A czemu?

Gdyby Felix chciał, żeby Ellie wiedziała, powiedziała by jej. Pewnie nie w porządku, żebym ją martwił. Ale, sądząc po tym, jak na mnie patrzy, domyślam się, że to już musztarda po obiedzie.

– Nie mów twojemu tacie, dobrze? Ale przypadkiem zobaczyłem papiery, z których wynika, że jesteśmy trochę... do tyłu z płatnościami.

– Hm. – Ogień odbija się w jej ciemnych oczach. – Nie wiedziałam. Nie miałam pojęcia.

– Nie chcę, żeby twój tata wiedział, że ja wiem, ale usiłuję wymyślić, co mogę zrobić.

Kiwa powoli głową. Rozumiem, jak trudno to przyswoić. Nie myślałem o pieniądzach, nie mówiąc już o martwieniu się o nie, przez szesnaście lat mojego życia. Martwienie się o pieniądze dodaje człowiekowi lat. Ellie w końcu wzdycha.

– Chcę pomóc. Też postaram się coś wymyślić.

– Ale tak, żeby twój tata nie wiedział.

Posyła mi uśmiech, jakby rozumiała, że chcę go chronić. I mojego tatę też.

– Tak, żeby tata nie wiedział.

Kąpiące się nagusy wracają do ogniska, kręcą się przy brzegu, żeby się ubrać. Cud, że nikt nie ukradł im ciuchów. Apetyczna blondynka robi gwiazdę w staniku i w majtkach – stringach, ni mniej, ni więcej.

Świetnie. Moja dziewczyna świeci gołym tyłkiem przy wszystkich znajomych. Mam ochotę wskoczyć do ogniska.

– No – odzywam się, siląc, żeby zabrzmiało to tak, jakbym uważał tę sytuację za zabawną. – To Vivi.

Ellie się śmieje, a ja się spodziewam pełnego politowania spojrzenia – czuję, że na nie zasłużyłem, a jednak z jej twarzy nie znika miły uśmiech.

– I dobrze. Chętnie bym to zrobiła. To znaczy, wykąpała się nago. Ale są tu głupi kumple Diega, i pewnie wygadali by moim rodzicom. Może za rok.

Uśmiecham się do niej. Może przesadzam. Vivi się dobrze bawi, to wszystko.

– Chyba wypła więcej piw, niż powinna. Przepraszam, że wcześniej dziwnie się wobec ciebie zachowała.

Ellie zbywa moje przeprosiny. Rozgląda się dookoła nas przez chwilę, patrzy na śmiejących się ludzi, na nasze miasteczko.

– Pamiętasz, jak w zeszłe wakacje rozmawialiśmy o wyjeździe z Verona Cove?

– Tak. – Zamykaliśmy restaurację, wycieraliśmy stoliki.

Obserwuje moją twarz w blasku ogniska.

– Nadal tak czujesz? Nawet w takie wieczory jak ten?

Kiwam głową. Oboje przyznaliśmy, że chcemy wyjechać po szkole średniej. Że kochamy nasze rodziny. Kochamy ludzi i bardzo dobrze znamy to miejsce. Ale, jak to ujęła Ellie, czasami człowiek się tu dusi.

– I mam z tego powodu większe poczucie winy niż kiedykolwiek, wiesz? Jak mógłbym opuścić miejsce... mojego tatę...?

– On by tego chciał. – Chwyta spódniczkę, żeby wstać. – Zawsze możemy wrócić! Przekonać się, jak jest gdzie indziej. Zawsze będziemy mieli dokąd wrócić. Do zobaczenia!

Pewnie jest na tyle sprytna, żeby odejść, zanim wróci Vivi. Kiedy się odwracam, widzę Vivi, która pozuje do zdjęcia z kimś, kogo zupełnie nie poznaję. W samym staniku i majtkach. I koniec. Nie widziałem, ile wypła, ale z pewnością za dużo.

Podchodzę do niej z poważną miną, ale ona mamrocze, zapinając guziki szortów.

– Hej! Oj, to było odlotowe, nie wiesz, co straciłeś, Jonah, mówię poważnie.

Jej oszalałająca energia tym razem na mnie nie zadziała. Jestem zawstydzony i zły.

– Świetnie. Musimy wracać do domu.

– Nie! Co takiego? Mowy nie ma, robi się fajnie.

– Viv, jesteś pijana. – Ściszam głos do szeptu. – I powinniśmy stąd iść. Zanim inni ludzie zrobią sobie z tobą zdjęcia w negliżu.

– Chwileczkę. – Pstryka palcami obu dłoni, bez przerwy, a ja cały czas się spodziewam, że wyczuję od niej woń alkoholu. Oczy ma zamglone, jakby usiłowała się skupić. – Nie jestem dzieckiem, to moje ciało i mogę szaleć, ile tylko będę chciała, i pieprzyć twoje uwagi. A w ogóle, co cię obchodzi, co robisz? Jesteś bardzo zajęty flirtowaniem z Ellie.

Odbiera mi mowę.

– Bardzo się mylisz.

Robi zde gustowaną minę.

– Ellie. To brzmi jak imię małego dziecka.

– Zdrobnienie od Eliana. – Cholera, myślę, widząc, że Vivi mruży oczy. Powinienem był trzymać język za zębami.

– No, faktycznie, to nic wyjątkowego. Jak ma na drugie? Jaki jest jej ulubiony kolor? Wiesz o niej wszystko?

Teraz jestem wściekły i walę na odlew.

– Carmen, zielony i jesteś śmieszna. Dalej, idziemy.

To też było niepotrzebne. Nigdy nie udaje mi się powiedzieć właściwej rzeczy.

– Nie, nie, nie! – Mówi tak głośno, że twarz zaczyna mi płonąć. – W tej chwili nie mogę na ciebie patrzeć przez to, jak się zachowujesz. Jonah, poważnie, to nie w porządku.

– Nawzajem, Viv – szepczę. – Ale nie zostawię cię samej, napranej.

– Żebyś wiedział. Bo to ja zostawię tu ciebie, nienapranego.

Nim zdążę wtrącić choć jedno słowo, ona odchodzi w stronę wzgórze, które prowadzi w górę do miasta. Nie wysiłam się, żeby ją wołać. Nie wysiłam się, żeby za nią iść. Tyle by było z zabawy przy ognisku. Wszyscy zwrócili uwagę na naszą rozmowę i gapią się na oddalającą się Vivi.

Idę powoli do domu, słysząc w głowie echo słów mojej siostry. Chcę tylko przetrwać ten niekończący się beznadziejny rok.

Nie wiem, jak długo spałem, kiedy słyszę pukanie do drzwi mojej sypialni.

– Nic się nie stało, Leah – mruczę. – To tylko sen. Nic ci nie grozi. Nikomu nic nie grozi.

Ale ona się nie odzywa. Słyszę, że drzwi się zamykają, i siadam, nagle rozbudzony. Vivi wtacza się do środka, a z nią zapach dymu ogniska i piwa. Kładzie się na łóżku, a jej ciepłe ciało nagle znajduje się obok mojego.

– Jesteś na mnie wściekły?

– Jak tu weszłaś? – Mój pokój znajduje się na najwyższym piętrze. Jest to poddasze z niskim sufitem z belkami, z łóżkiem i biurkiem. Nie mogła się tu dostać przez dach.

Wzdycha, jakby mój rozsądek ją wykańczał.

– Silas mnie wpuścił. Zasnął na kanapie. Jesteś? Wściekły?

– Nie wiem. – Naprawdę nie wiem. I w tej chwili jestem w stanie myśleć tylko o tym, że moja mama albo młodsze rodzeństwo nas tutaj przyłapią. – Jestem... skołowany.

– Okej. Dlaczego?

– Myślałem, że między nami się układa. A ty nagle rozbierasz się przed wszystkimi chłopakami, z którymi chodzę do szkoły? I wściekasz się, że mi się to nie podoba? A potem dostajesz szału o to, że rozmawiam z inną dziewczyną?

Bądź łagodniejszy, Jonah, poważnie. Ale nie cofnę tych słów. Zresztą, to prawda.

– Jonah. – Jej szept drży w powietrzu. – Staram się żyć pełnią życia, staram się czuć wszystko. Doświadczenia stawiam ponad wszystko i wszystkich, i może nie jest ci łatwo się z tym pogodzić, ale przykro mi, taka jestem.

Żadnych przeprosin. Chociaż właściwie się ich nie spodziewam – nie są w jej stylu.

Vivi przesuwa się na moim łóżku i siada na mnie okrakiem. Patrzy mi prosto w oczy.

– Jonah, uważam, że jesteś cudownym człowiekiem z duszą bardzo

dojrzałą jak na twój wiek. I może, po ludzku rzecz biorąc, należałoby cię zostawić w spokoju, bo nigdy nie stanę się grzeczną, odpowiednio zachowującą się dziewczyną. Ale nie chcę cię zostawiać.

Bardzo, bardzo trudno mi się myśli, kiedy ona na mnie siedzi.

– Grzeczną? Ja wcale nie chcę tego, co powiedziałaś.

– Okej. Więc może po prostu ty pozwolisz mi być sobą, a ja pozwolę być sobą tobie. Będziemy czuli to, co czujemy, i nie będziemy za to przepraszać. Jeżeli się na siebie wściekniemy, wyrzucimy to z siebie. A potem się pogodzimy.

Właśnie o to chodzi: Vivi naprawdę pozwala mi być sobą. Nigdy nie sztorcuje mnie, kiedy jestem smutny. Nie próbuje wyrzucić ze mnie moich frustracji. Vivi jest w ciągłym ruchu – chodźmy na plażę, napiszmy sztukę, zbudujmy w domu lodziarnię, a później zagrajmy w Candy Land, obejrzyjmy z maluchami *Willy'ego Wonka i fabrykę czekolady*.

– Jonah. Pogódźmy się.

Przyciągam ją i całuję, zębami przygryzając jej wargi. Bo nadal jestem wściekły. I dlatego, że do siebie pasujemy. A nawet jeżeli okazuje się, że nie, dzięki konfliktom iskrzy między nami bardziej.

W filmach na ogół w takiej właśnie chwili muzyka przybiera na sile, staje się głośniejsza, z wyraźnym rytmem. Kiedy dziewczyna wchodzi ukradkiem do twojej sypialni, jest zaskakująco cicho. Ale wszystko wydaje się głośne ze strachu przed tym, że możemy zostać przyłapani – odgłos warg na skórze, ubrań rzuconych na podłogę, głośnego oddychania i brzęku myśli: to się dzieje, to się dzieje. I w końcu dźwięk własnego głosu, którym pytam:

– Jesteś pewna?

W zamian dostaję stłumiony śmiech i słowa:

– Tak, Boże, jesteś taki fajny. Zabijasz mnie.

Starasz się nie myśleć, że dla niej to chyba nic wielkiego. Starasz się przekonać siebie, że czujesz to samo. Ale to nieprawda. Twoje uczucia wypełniają pokój niczym rozszalały ogień. Siła twoich uczuć do niej byłaby w stanie wybić szyby w oknach.

Kiedy budzę się rano, jej nie ma. Kołdra po jej stronie jest odrzucona, a na podłodze leży czarny marker, który musiał spaść z

biurka, kiedy szukałem prezerwatywy. Dopiero kiedy się ubieram, na drewnianym zagłówku w miejscu, gdzie łączy się z materacem, dostrzegam małe litery: „Vivi tu była”.

Jakbym mógł zapomnieć.

Vivi:

Przez dwa tygodnie po ognisku wszystko, co maluję, ma barwy nocy, złota, brązu i słodkiego rózu. Jest pełne namiętności, głębi i metaliczne. Rozpruwam starą sukienkę – czarną w cienkie złote paski – i przerabiam ją na krótki top i krótkie spodenki z podwyższonym stanem, które doskonale na mnie leżą. Mama dochodzi do wniosku, że mogę zostawić sobie vespę, pod warunkiem że zawsze będę jeździć w kasku i oddam na rachunek pieniądze, które zarobię w pracy. W pracowni ceramicznej szklwię porozbijane fragmenty przedmiotów z pieca i układam z nich mozaikę dla Whitney. Uczę maluchy, jak tańczyć swinga za pomocą filmików online i własnej energii.

Urządzamy piknik w ogrodzie za domem, dekorujemy ciastka w kształcie słońca, palm i piłek plażowych, budujemy na plaży fortecę z piasku.

Całuję Jonaha Danielsa cztery tysiące razy, w każdej sekundzie, kiedy jego rodzina nie patrzy. Klóćmy się właściwie o wszystko na ziemi i poza nią. Ja uważam, że meduzy są przepiękne, przezroczyste i tańczą pod wodą w pomarszczonych spódniczkach. Jonah marzy, żeby pozdychały w morzu. Ja lubię cheeseburgery w pudełku z tym lepkiem żółtym sosem serowym. Jonah robi się różowy ze złości, przygotowuje mi domowego cheeseburgera, żeby udowodnić swoją rację. I, oczywiście, wierzę w życie pozaziemskie!

– Zakładam się, że oni już tu byli – mówię, ale Jonah kręci głową.

Ciągnę go na plażę bardzo, bardzo późną nocą, żeby oglądać wschód słońca. Ale kończy się tym, że splatamy się ze sobą, języki, skóra, dłonie, westchnienia, i kiedy znów schodzę na ziemię, ciemność zdążyła zamienić się w blask. Nie przejmuję się tym, że umknął mi wschód słońca, bo zdecydowanie wolę przeżywać swój własny.

Przychodzi moja sukienka urodzinowa, którą wieszam na gwoździu na ścianie, bo jest dziełem sztuki. Zamówiłam przez Internet skrzydła motyla i robię trzy próby, żeby dobrać odpowiedni odcień błękitnej farby.

W dniu urodzin otwieram oczy i słyszę mamę, gdy nieczysto śpiewa *Sto lat*.

Nie spałam, ale leżałam w łóżku i marzyłam. Trzyma w dłoniach wielką babeczkę truskawkową, a kiedy z nią do mnie podchodzi, wysoka złota świeca migocze.

– Pomyśl marzenie, mała – mówi.

Siadam, zdmuchuję świeczkę, wypowiadając życzenie w myślach, a potem siadamy swobodnie wśród moich poduszek i zajadamy ciasto, nie przejmując się okruskami, które spadają na kołdrę. Otwieram lśniąca kartkę i wypada z niej karta podarunkowa do mojego ulubionego sklepu internetowego z artykułami plastycznymi. Jest też kawałek kartki z napisem: „Jestem Ci winna, zachowaj tę kartkę”.

– Nie jest jeszcze gotowe. Odbieram w sobotę. – Jej uśmiech jest pełen satysfakcji, więc mnie intryguje. – Aha, prawie zapomniałam! To jeszcze przyszło do ciebie.

Wręcza mi białą kopertę z moim imieniem napisanym pismem, które znam na tyle dobrze, że bez trudu byłabym w stanie je podrobić. Adres zwrotny: „Ruby Oshiro, Seattle, WA”. Wstrzymuję oddech.

– Dzwoniła do mnie w zeszłym tygodniu po twój nowy adres – mówi mama. Nie chcę zaczynać przy niej tego tematu, bo nie mam pojęcia, co mogę powiedzieć. – Tak się cieszę, że między wami się poukładało. Powiedziała, że wcale się z nią nie kontaktowałaś.

Powiedziałam mamie, że Ruby i Amala nie chcą się do mnie odzywać po tym, co się stało w marcu. Co byłoby prawdą, jestem tego pewna – więc nie dałam im okazji. Amala nie próbowała, ale Ruby dzwoniła, pisała i pukała do moich drzwi. Nigdy jej nie wpuściłam.

– Skarbie? – zagaduje mama cicho. – Ruby wie, prawda? O zaburzeniach dwubiegunowych?

Moja cisza jest wystarczającą odpowiedzią, zwłaszcza że nie mogę spojrzeć mamie w oczy. Czuję, że się ode mnie odsuwa.

– Vivian! Ruby jest twoją najlepszą przyjaciółką. Jak mogłaś jej nie powiedzieć? Po tym wszystkim, co się stało?

– Nie muszę jej niczego mówić! Tobie też nie! – Nie ma szans zaprotestować, bo nie dopuszczam jej do głosu. – Ty nie chcesz mi powiedzieć, kto jest moim ojcem. Więc nie sądzę, że muszę cię informować, na jakim etapie znajdują się wszystkie moje przyjaźnie.

– To – mówi ponuro – to zupełnie co innego. Chronię cię, dopóki

nie będziesz wystarczająco dorosła, żeby poradzić sobie z pewnymi... faktami.

– A może ja chronię ciebie. – Gdyby wiedziała... Owszem, coś tam wie – o tatuażu, nieprzyzwoitych kwotach, jakie wydaję na ciuchy i prezenty. Nie wie dokładnie, co się stało na przyjęciu z okazji szesnastych urodzin Ruby w marcu. O tym, co zrobiłam.

– Wiem, że prosiłaś, żebyśmy zostały w Verona Cove. I wiem, że ci powiedziałam, że się nad tym zastanowię. I zrobię to, jeżeli to rzeczywiście dla ciebie najlepsze. – Mruży oczy, jak ktoś, kto wyciąga asa z rękawa. – Nie wezmę pod uwagę pozostania tutaj, jeżeli zwyczajnie się chowasz – mówi to tak, jakby te dwie rzeczy się wzajemnie wykluczały. – Nie masz się czego wstydzić, Viv. Cierpisz na chorobę...

– Przestań! Masz obsesję. – Łzy napływają mi do oczu i czuję, jak dłonie mi się zaciskają i zgniatają kartkę. – To moje urodziny, mammo!

– Przepraszam – szepcze. – Nie powinnam była... Po prostu się martwię i... cóż. Zejdź na dół, jeżeli będziesz miała ochotę na śniadanie. Mam wszystko na naleśniki.

Po jej wyjściu otwieram kopertę i znajduję w niej ręcznie zrobioną kartkę, oczywiście. Od lat podziwiam wycinanki Ruby, misterne i dokładne. Ze zdjęcia z „National Geographic”, przedstawiającego wyciek ropy naftowej, potrafi zrobić maleńką skórzaną kurtkę, wzór kwitnącej bawełny przerobić na puszyste chmury, obrzeża w zygzaki i kropki wykorzystać na latający balon.

Ta kartka jest bardziej sentymentalna niż typowa praca Ruby, a dziewczyną z papieru, która wygląda przez okno swojej sypialni, jest Ruby. Czarna grzywka opada jej na czoło, ma swój znak rozpoznawczy: wargi w kolorze fuksji i czarne legginsy. Kołdrę przedstawiają kwiaty, brzoza jest okienną ramą, paski zaznaczają dekolt w łódkę.

Ale jej serce wystaje poza klatkę piersiową, tak jaskraworóżowe jak jej wargi. Za oknem, zamiast błękitnego nieba, widać kwadratowy fragment mapy. Maleńkie czerwone serce na górze Kalifornii.

Z powodu łez trudno mi zajrzeć do środka. Och, Roo. Złamiesz mi serce, co? Wewnątrz znajduje się wykaligrafowane zdanie: „Wszystkiego najlepszego, Viv. Tęsknię”.

Nic więcej. Żadnych pytań o wyjaśnienia, żadnych oskarżeń, żadnej wzmianki o tym, że Amala nienawidzi mnie tak bardzo.

Trzymam kartkę i kusi mnie, żeby podrzeć ją na strzępy. Ale Ruby nigdy nie zrobiłaby czegoś po to, żeby wzbudzić we mnie poczucie winy. Tylko po to, żebym poczuła się kochana. Jednak poczucie winy płynie w moich żyłach, wzburzone, trawiące i rozlewające się coraz bardziej i bardziej.

Po marcu wiedziałam, że nie zasługuję na takie przyjaciółki, że nie zasługuję na żadne przyjaciółki, skoro stać mnie jedynie na to, żeby je zdradzać.

Ale teraz pozwalam sobie na jedną wiadomość. Linijka po linijce widzę jej próby skontaktowania się ze mną, których w większości w ogóle nie przeczytałam, i w końcu piszę trzy słowa, które nosiłam w sobie od wielu miesięcy.

„Ja też tęsknię”.

Odpycham te myśli od siebie w posiadłości Danielsów, bo jestem zajęta przemianą małej dziewczynki w ptaka z ogonem z piór.

– Okręć się – mówię Leah. Posłusznie wykonuje polecenie. – Tak, jesteś najwspanialszym małym pawiem, jaki istniał na ziemi.

Jonaha nie ma w domu, bo zajmuje się w restauracji przygotowaniami do mojego urodzinowego przyjęcia, ale Silas, Bekah i Isaac potwierdzają, że Leah wygląda wspaniale w lśniącym niebieskim kombinezonie z doczepionym ogonem z piór i z oczami, które obrysowałam białą i czarną farbą do twarzy. Tańczy dookoła, zadowolona z moich urodzin tak bardzo jak ja. Pozostała trójka nie chce mi powiedzieć, na jakie kostiumy się zdecydowali. Jonah im zabronił.

– Dobra – oznajmiam. – Muszę iść do domu się ubrać.

Z początku chciałam się przebrać za delfina, odwołując się do mojego poprzedniego wcielenia, ale bylibyście zaskoczeni, jak trudno – nawet komuś tak utalentowanemu jak ja – stworzyć kostium delfina dla prawie siedemnastoletniej dziewczyny.

Poza tym chcę mieć skrzydła, bo chyba każdy chce je mieć?

Czasami zakładam ręce za plecy i czuję wystające łopatki – które technicznie są kośćmi, ale mnie wydają się złamanymi skrzydłami.

Wszyscy twierdzą, że pochodzimy od małp, ale ja nie jestem do końca

pewna, czy kiedyś nie mieliśmy skrzydeł, przynajmniej niektórzy.

Na tę jedną noc chcę je mieć z powrotem. Ale nie skrzydła potężnego ptaka, bijące na tyle mocno, żeby wywołać hałas. Chcę płynąć sennie w podmuchu wiatru, dać się ponieść skrzydłom. Wiem, wiem: motyle są wykorzystywane w złych metaforach na temat metamorfozy, wychodzenia z kokonu, ponownych narodzin i lotu. Ale ja nie przebieram się za motyla po to, żeby pokazać, że dni pod postacią gąsienicy mam za sobą, nie. Żadnej symboliki. Piękno jest wystarczającym powodem wyboru.

Moje skrzydła są szerokie i prześwitujące – to nylon naciągnięty na cienki, wygięty drut. Wewnętrzne części pomalowałam na odcień bijącego po oczach błękitu w słoneczny dzień, ale krawędzie są czarne, jak zanurzone w atramencie. Pomiędzy tymi dwiema barwami namalowałam rzeki drobnych żył, jak na powierzchni liścia. Prawdziwym dziełem nie są jednak starannie wykonane skrzydła, ale sukienka vintage. Zapłaciłam za nią małą fortunę, ale jest tak piękna, że warta była każdego grosza. Jest z lat trzydziestych dwudziestego wieku, mocno dopasowana kopertowa suknia, wyszywana czarnymi paciorkami. Wykończona jest frędzlami tuż nad kolanem, a ramiączka tworzą zjawiskowy dekolt na moich nagich ramionach.

Dobra, w porządku, przyznaję, że mam na sobie bardzo wypchany stanik bez ramiączek, ale ta suknia zasługuje na zjawiskowy dekolt.

Na nogach mam czarne satynowe baletki, w których moje palce nie czują się najlepiej, ale za to pięknie wyglądają i czuję się w nich lekko, więc trudno. Dokleiliśmy sobie czarne, gęste rzęsy, a oczy podkreśliłam granatową lśniąca kredką. Tym razem czerwoną pomadkę zastępuję jasnym różem, bo tak mi każe intuicja.

Jonah chciał po mnie przyjechać, ale uprosiłam go, żeby tego nie robił. Jaki wieczór będzie bardziej odpowiedni do tego, żeby przemknąć przez miasto na vespie, niż ten, kiedy jestem najpiękniejszym motylem, jaki kiedykolwiek stąpał po ziemi? Jadę wolniej niż zwykle, żeby skrzydła się nie zniszczyły, i czuję się trochę jak superbohater, a trochę jak królowa występująca na paradzie – prawdziwa ja.

Jonah czeka przed restauracją, ubrany jak spod igły w czarny frak, białą muchę, kamizelkę i, o mój Boże. Dłonie mi drżą, kiedy parkuję

vespę.

– Wszystkiego najlepszego – mówi, zanim zdążę się odezwać. –
Gdzie masz kask?

O ludzie, przecież nie będę sobie niszczyć fryzury, nad którą spędziłam czterdzieści pięć minut, z powodu dwuminutowej jazdy z prędkością pięćdziesiąt na godzinę. Jak zwykle Jonah jest bardziej przezorny niż jakikolwiek rodzic na świecie.

– No to, kim jesteś? Zwyczajnie, eleganckim mężczyzną?

Uśmiecha się, opuszcza ręce wzdłuż ciała i skacze do tyłu i do przodu na złączonych stopach.

– Pingwinem.

W pierwszej chwili nie reaguję – jestem osłupiała i oczarowana – a jego nieśmiały, dumny uśmiech zamienia się w niepewność.

– Nie? Myślałem, że będzie pasował do twojej sukienki i...

Powstrzymuję go pocałunkiem, bo przebranie jest idealne i dlatego, że nigdy wcześniej nie całowałam chłopaka we fraku, i wiecie co? Mogłabym do tego przywyknąć. Zrzucam mu ręce na szyję i wspinam się lekko, urzeczona tym, jak anachroniczne się to wydaje, namiętne całowanie w miejscu publicznym w oficjalnych strojach vintage.

Święte nieba, olać imprezę, zabiorę go do domu i urządzę sobie własną. Ale on się prostuje, zbiera się w sobie, a ja z zaskoczeniem widzę, że moja różowa pomadka nie zostawiła śladów na jego wargach. Następnym razem będę musiała bardziej się postarać.

– Wyglądasz... – zaczyna, mierząc wzrokiem moją suknię. – Cóż. Wiesz, jak wyglądasz.

– Wiem. – Dygam, przyjmując jego milczenie jako komplement.

Prowadzi mnie na chodnik, skąd widać migoczące światła i słychać śmiech dobiegający z patia. Wstrzymuję oddech, podniecona, a nadmiar powietrza w płucach sprawia, że bicie serca jest głośniejsze, wyraźniejsze, bardziej wyczuwalne w mostku.

Jonah otwiera furtkę, a moi goście wykrzykują:

– Wszystkiego najlepszego! – Krzyczą tak głośno, że czuję się tak, jakbym wchodziła w ścianę dźwięku. Łzy napływają mi do oczu, rozmazują wszystko w plamy koloru w jasnym świetle.

Na środku dwóch piknikowych stołów zsuniętych razem długimi

bokami stoją świece i latarenki. Liście w kolorze głębokiej zieleni pną się w górę po drewnianych pergolach, wszędzie pełno jest białych bajkowych lampek i chińskich lampionów, które jaśnieją jak planety unoszące się w galaktyce. Wszystkie ławki są zajęte – jest moja mama i ci wszyscy piękni ludzie, którzy ledwie mnie znają, i mało, że przyszli, to jeszcze przyszli w kostiumach. Trudno mi ich rozpoznać, ale widzę kostium różowego flaminga, który rano przygotowywała dla siebie mama.

Powinno istnieć słowo na opisanie tego stanu: widowiskowość albo eksplozjowalność. Za dużo wrażeń, żeby pomieścić je w ciele, zakrywam twarz na chwilę, zanim trysną mi z oczu łzy. Nie chcę się nawet powstrzymywać przed tym, żeby wszystko czuć, żeby reagować tak, jak naprawdę czuję, bo kończę dopiero siedemnaście lat i szczerze próbuję żyć pełną piersią, dopóki mogę. Emocje potęgują się wokół mnie, zamieniają się w to potężne, oblepiające uczucie, że widocznie coś jednak robię właściwie.

– Viv – szepcze Jonah. – Proszę, powiedz, że to łzy szczęścia.

Zsuwam lekko dłonie, żeby opuszki palców znalazły się tuż pod oczami. Jonah marszczy brwi, a jego ciemne oczy są zmartwione i siłą się, żeby mnie odgadnąć.

– To dosłownie najwspanialsza rzecz, jaką ktokolwiek kiedykolwiek dla mnie zrobił – udaje mi się wykrztusić. Później się śmieję, po części po to, żeby wszyscy wiedzieli, że nic mi nie jest, a po części dlatego, że wpadłam w stan lekkiej hysterii z miłości i wdzięczności. – To naprawdę jeden z piękniejszych wieczorów w moim życiu, a dopiero się zaczął!

Jonah prowadzi mnie na moje miejsce na szczycie stołu, a ja wycieram łzy z oczu, żeby przyjrzeć się wszystkim gościom. Isaac jest sową, z trójkątem z żółtego kartonu przyczepionym do nosków okularów. Czubek nosa Silasa pomalowany jest na czarno, a na głowie ma opaskę, do której przyczepione są dwie długie czarne skarpetki – widzące uszy szczeniaka, które przykrywają jego własne. Bekah jest w czymś, co wygląda na kupiony w sklepie kostium trzmiela – być może to pozostałość po zeszłorocznym Halloween. Sukienka Whitney pokryta jest przeklejonymi białymi bawełnianymi kulkami, a z jej kręconych,

nieujarzmionych włosów wystają małe czarne uszy owcy. Moja mama, flaming. Leah, mój paw, moja najmłodsza przyjaciółka. A wśród nich pan policjant Hayashi.

– Jakim pan jest zwierzęciem? – zaczepiam go, bo ma na sobie zwyczajny niebieski sweter. Ale widać, że uczesał swoje siwe włosy, a ja umieram, widząc, jak słodko wygląda pomiędzy Leah a moją mamą.

– Zrędlwym starym niedźwiedziem – mówi, a ja się śmieję i śmieję, i przestaję dopiero, kiedy ktoś delikatnie chwyta mnie za ramię.

– Przepraszam za spóźnienie – mówi Naomi, ale w jej tonie nie słyhać wyrzutów sumienia. Nie ma też na sobie kostiumu, ale podoba mi się jej sukienka, brązowa w białe groszki. Zajmuje miejsce obok Silasa, sięga do torebki i wyciąga opaskę z dwoma sztywnymi małymi uszami po bokach. Jest jeleniem – pewnie, że tak – z długimi kończynami i w nakrapianej sukience. Łzy znów napływają mi do oczu, ale zjawia się jedzenie i postanawiam skupić się na nim. Wyłania się Ellie w białej koszuli i czarnej kamizelce, która jest naszą kelnerką wieczoru, a ja się tak dobrze bawię, że nie zwracam większej uwagi na to, że jej skóra lśni jak bursztyn w świetle świec. Podaje nam potrawy, które przygotował Jonah, w rodzinnym stylu, w dużych miskach i na talerzach – piękne zielone sałaty skropione winegretem z szampana, tilapię kokosową w panierce, usmażoną i posmarowaną ostrym musem ananasowym, i chociaż mój umysł nie obejmuje tego zestawienia, kubki smakowe się nim upajają, smakują, zapamiętują.

Oczy zachodzą mi mgłą, kiedy rozpakowuję prezenty – książkę od Isaaca, srebrny lakier od Bekah, ręcznie narysowany mój portret od Leah i kubek, który własnoręcznie zrobiła Whitney.

– Proszę. Podaj jej to. – Hayashi prosi Leah, żeby podała mi małą roślinę zapakowaną w plastikowy pojemnik ze szkółki.

– To...

– Wiem. – To japoński klon palmowy. Skoro nie mogę na razie wybrać się do Japonii, podarował mi jej mały kawałek, a ja ze wzruszenia nie mogę przełknąć śliny.

– Wiem, że lubisz drzewa – mówi szorstko. – Może, jeżeli zasadzisz własne, nie będzie cię kusiło, żeby kaleczyć drzewostan, który jest własnością publiczną.

– Co takiego? – pyta moja mama, a mnie opada szczęka. Widział moje drzewo w Irving Park?

– Nic takiego – odzywa się Hayashi do mojej mamy. – Głupi żart.

Oczy mam nadal pełne łez, kiedy Jonah wnosi tort. Jest wiśniowo-czekoladowy, dwuwarstwowy, z zimnymi ogniami zamiast świeczek. Patrzę, jak syczą, i niczego sobie nie życzę. Jak bym śmiała? Jak bym śmiała, skoro mam to wszystko?

Jonah i ja wychodzimy, kiedy co najmniej dwa razy uściskamy każdego z obecnych, nawet Naomi, która sztywnieje w moim uścisku, a potem odjeżdżamy moją vespą, którą prowadzi Jonah, chociaż formalnie nie ma uprawnień.

Robi przystanek w domu, skąd każe nam wziąć dwa kaski. Kolejna niespodzianka, jak twierdzi, więc zamykam oczy, obejmuję go w pasie, a skrzydła trzepoczą mi gwałtownie na plecach.

Jedzie coraz dalej i dalej wzdłuż wybrzeża i zatrzymuje się dopiero przed budynkiem, który wygląda na mały miejscowy kościółek z wieżą. Ale nie. To latarnia morska. Światło nie jest zapalone, ale widzę jej kształt – wieża z podestem dookoła i czarną żelazną balustradą. Szklana planeta zamknięta w ptasiej klatce.

– Chodź – mówi Jonah, ciągnąc mnie za rękę, kiedy schodzimy z vespy.

– Wchodzimy do środka? Możesz nas wpuścić?

– Tak. Mój tata zna dozorcę. To znaczy, znał.

Jonah wyciąga z kieszeni klucz na starej smyczy i otwiera drzwi. Rury w rogach budynku kojarzą mi się z chatką z piernika, jakby można było obłożyć dach lukrecją, a okna przykryć gigantyczną miętą. W środku jest dużo kurzu i drewna, pełno półek z kartkami pocztowymi i modelami statków.

Jonah przygląda mi się, kiedy badam wzrokiem ozdoby, gładzę dłonią kolejne półki pełne książek o tematyce morskiej.

– Przyjaciel mojego taty zaczął charytatywną pracę w sklepie z pamiątkami, kiedy przeszedł na emeryturę. Latarnia nie jest już wykorzystywana dla statków, ale Towarzystwo Historyczne Verona Cove odnowiło budynek i latarnię kilka lat przed moim urodzeniem. Latarnię zwiedza mnóstwo turystów.

– Czarujące. – Mój głos jest szeptem, bo nie chcę zakłócać rozkosznie upiornej atmosfery. – Możemy wejść na górę?

– A jak sądzisz, gdzie chcę cię zabrać, do piwnicy?

Uśmiecha się, pochylając się, zadowolony z siebie.

– Na pewno nie chcesz mojej marynarki?

Poprawiam sobie włosy.

– Och, Jonah, przecież nie będę zakrywać tej sukienki.

Prowadzi mnie na górę krętymi schodami, a ja widzę nawet z tyłu, że się uśmiecha, bo wie, że jestem kompletnie tym oczarowana, wszystkim. Serce bije mi cztery razy szybciej od naszych kroków na schodach, bum-bum, bum-bum, w ciszy i oczekiwaniu. Wiatr wieje mi prosto do uszu, kiedy wychodzimy na taras latarni, ale pacyficzna bryza jest ciepła, a ja wzdycham z powodu widoku. Przez chwilę mam zaburzenia percepcji, usiłuję odnieść nową wysokość do gwiazd i morza, i rozumiem, dlaczego barierka sięga mi do pasa.

– Nieźle. – Słowo jest szmerem w nocnej ciszy. Przy całej dzisiejszej radości, jaką sprawiło mi przyjęcie, całej pełni ludzkości i poczuciu więzi, to jest czymś zupełnie innym. Stoję na dziobie planety Ziemi i zmierzam prosto w kosmos. Obserwuje mnie gołębioszary księżyc, łagodnie skłaniając głowę, i nie mogę się nie zastanawiać, czy to *yūgen*, nieziemskie piękno w świecie natury – tak subtelne, że wywołuje poczucie zachwytu, nie nazywając go. Słowo nie ma angielskiego odpowiednika, nie ma go też to uczucie, więc stoję i podziwiam wszechświat, nie myśląc o niczym, jedynie ciesząc się z pierwszorzędnego miejsca.

– Zamknij oczy – mówi Jonah, a ja robię to natychmiast. Zamykam oczy i pierwszą rzeczą, jaką słyszę, jest muzyka, która brzmi tak, jakby dobiegała ze starego radia. Nagle czuję błysk światła pod powiekami, jakby tuż przede mną eksplodowało słońce. Otwieram oczy, patrzę w morze i dociera do mnie, że światło bije od tyłu. Mocne i jaskrawe, zbyt intensywne, by na nie spojrzeć.

Obok mnie pojawia się Jonah i kładzie dłonie na barierce.

– Miasto zapłaciło chorą kwotę po to, żeby latarnia była czynna. Włączają ją jedynie na wyjątkowe okazje.

– Pozwolili ci ją zapalić na moje urodziny? – Nie mogę w to

uwierzyć, naprawdę nie mogę. Jaka głupia byłam na początku lata, kiedy wydawało mi się, że Jonah mnie potrzebuje, żebym go uszczęśliwiła. Jego wargi układają się w uśmiech.

– Powiedzmy, że wolę błagać o wybaczenie niż prosić o pozwolenie.

Stoimy razem przez, jak mi się wydaje, długi czas, z radia dobiegają kolejne melodie, które przebijają się przez szum fal.

– Tata mnie tu zabierał – mówi w końcu Jonah. – To on przyniósł tu radio, żeby słuchać transmisji meczów bejsbolowych. Jako dziecko miałem bzika na punkcie bejsbola i łódek. W Verona Cove właściwie nie mamy łodzi, ale udawaliśmy.

– Nic dziwnego, że kochasz łodzie. – Poprawiam ramiączko jednego z moich skrzydeł. – Przecież byłeś kapitanem.

Uśmiecha się do mnie i kręci głową, jakby chciał powiedzieć: oj, Viv, dając wyraz temu, jak strasznie dumny jest ze mnie i jak podoba mu się to, co on odbiera za ekscentryczność.

– Nie byłem tu od tamtego czasu. – To brzmi jak wyznanie, jakby przyznawał się do słabości czy wady. – Ale chciałem ci ją pokazać.

Wiem, co chce powiedzieć: chciałem, żebyś zobaczyła mnie.

I widzę go – oświetlonego, ze skierowanymi w dół oczami i wargami, które trzeba zmuszać do uśmiechu, z tymi cudownymi włosami tańczącymi na wietrze. Wiem też, że mówienie o tacie nie przychodzi mu łatwo, jakby każde słowo, które usiłuje się przecisnąć przez jego tchawicę, w końcu więzło mu w gardle. Tym razem trzymam język za zębami, bo chcę zostawić miejsce jemu.

– Słyszałaś kiedyś powiedzenie: statki są bezpieczne w porcie, ale nie po to buduje się statki?

Kiwam głową, chociaż nie bardzo wiem, gdzie ani kiedy je słyszałam. Może to jedna z tych złotych myśli, które jakimś cudem istnieją w zbiorowej świadomości wszystkich ludzi, zwłaszcza tych, których ciągnie morze, którzy słyszą syrenę przyzywającą do wody.

– Mój tata miał ten cytat wygrawerowany na kopercie zegarka, który podarował mu jego tata. Powiedział, że to dlatego wydał wszystkie pieniądze na to, żeby otworzyć restaurację i dlatego ożenił się z moją mamą i w takim młodym wieku miał nas. – Wzdycha, spoglądając na

ocean pod nami. – Powiedział, że miarą mężczyzny są takie decyzje. Czy zawsze trzymasz siebie i swoją rodzinę bezpiecznie w porcie? Czy zmierzasz naprzód i zmagasz się ze sztormami?

W tej chwili wyciągam rękę i kładę dłoń na rękawie marynarki jego fraka.

– Chyba był dobrym ojcem.

– Był. – Jonah nadal patrzy w wodę. – Cały czas się zastanawiam, czy kiedyś ten ból będzie mniejszy. Ta... ta cała wyrwa w naszym życiu.

– Oj, domyślam się, że ból w końcu zelżeje. Ale wyrwa pozostanie już chyba na zawsze. Ale koronka jest jednym z najpiękniejszych materiałów. Ma tyle dziurek i przerw, a jednak nadal tworzy całość, nadal jest piękna.

Kiedy słyszy te słowa, w końcu się uśmiecha.

– Nie pomyślałbym o tym w ten sposób. Przepraszam. Jestem ponurakiem. Miałem szczęście, że miałem go tak długo przy sobie. Wiem o tym.

Słyszając te słowa, odchyłam głowę od niego i marszcząc czoło, zastanawiam się, co chciał przez to powiedzieć.

– Jonah, nie musisz usprawiedliwiać tego, że za nim tęsknisz tylko dlatego, że ja nie mam taty. To dwie zupełnie różne rzeczy.

Spogląda mi w oczy pytająco.

– A ty tęsknisz za swoim tatą?

– A można tęsknić za kimś, kogo się nie poznało? – pytam.

Ale tak, tęsknię za moim tatą. A przynajmniej zastanawiam się, co mogę tracić przez to, że go nie znam. Co pewien czas, kiedy nastrój zaczyna mi się chwiać, czuję złość na niego i mamę i jest mi żal siebie.

– Tak, to chyba możliwe. Bo czasami nawet brakuje mi twojego taty, chociaż nigdy go nie poznałam. Mam wrażenie, że trochę go znam, że gdybym pozbierała fragmenty waszej szóstki i skleić je razem, pojawiłby się on: mozaika waszych fragmentów.

To wywołuje uśmiech na jego twarzy, niestety, smutny.

– Wiesz coś o twoim tacie?

– Chyba był muzykiem. Domyśliłam się tego, chociaż mama nie chce o nim mówić. Kiedy byłam mała, zadręczałam ją tak bardzo, że w końcu mi powiedziała, że poznała go na koncercie. – W myślach widzę

mamę, dziewiętnastoletnią, i tego tajemniczego mężczyznę, którego nigdy nie widziałam i nie poznałam. Wyobrażam go sobie z dłuższymi włosami i lekkim rockowym zarostem, może w obcisłych spodniach i z tatuażami. – Nie winię go za to, że go nie ma, wiesz. Jest kreatywnym stworzeniem, lekkoduchem, muzykiem, i to chyba po nim w części odziedziczyłam dziką naturę. Taki już jest, gdziekolwiek jest, a mnie się podoba to, że mam ojca artystę. – Wysuwam biodro, pozując z dłonią we włosach. – Właściwie żal mi tego faceta. Nawet nie wie, co traci.

Jonah patrzy na mnie z takim podziwem, że serce obija mi się jak kulka do gry w automacie, od żołądka do gardła, od jednej do drugiej strony mostka. Wiem, że jestem wyjątkowa, wiem to, bo staram się taka być, i miło być w ten sposób postrzeganą, tak ja to widzę.

Patrzę na ocean, a on obejmuje mnie obiema rękami i kładzie brodę na moim ramieniu. Mam takie wrażenie, że gdybym poleciała do przodu, do wody, trzymając się Jonaha, wydobyłabym się, wydostałabym się z powrotem na powierzchnię.

Niektórzy faceci, z którymi byłam, próbowali mnie uziemić. Chcieli mnie zaszufładować, znać wszystkie detale naszego bycia razem: gdzie, kiedy, jak, i zawsze działało mi na nerwy, że czuli potrzebę tworzenia planu uczuć. Inni byli całkiem zadowoleni, kiedy pojawiałam się w ich życiu i zniktałam, czuli ulgę, że nie muszą uzgadniać planów, kupować z wyprzedzeniem biletów na koncert na koniec lata ani na prom miesiąc wcześniej.

Jonah nie zachowuje się ani jak ci pierwsi, ani jak drudzy. W tej chwili jesteśmy razem, ponad czarną jak smoła wodą i białymi falami, i to wystarcza.

Następną potworną myślą jest ta, jak bardzo chcę opowiedzieć o nim Ruby i Amali. Staram się odepchnąć od siebie myśl o nich. W mojej głowie zawsze siedzimy w pokoju Amali i farbujemy końcówki włosów Ruby na jakiś zjawiskowy kolor, zaśmiewając się z idiotycznych żartów. Chodziłyśmy do muzeów, do najbardziej hipsterskich kawiarni, sklepów muzycznych i na koncerty. Dlaczego wracam myślami do najzwyklejszych chwil, tych spędzanych w pizamie?

– Viv? – zagaduje Jonah. – Wszystko w porządku?

– Tak – mówię, niemal z wahaniem. – Miałeś przyjaciół? Przed

tatą?

Kiwa głową na moim ramieniu.

– Fajne chłopaki. Nie wyjechali ani nic takiego. Po prostu nie mam czasu. I... no, wiesz. Nie wiedzą, jak ze mną o tym wszystkim rozmawiać. – Nim zdążę coś powiedzieć, zmienia temat. – Nigdy nie opowiadasz o swoich koleżankach z domu. Na pewno masz ich tysiące, skoro tu, w Verona Cove, masz setki.

Unoszę jedno ramię, ciesząc się, że nie widzi mojej miny.

– Trochę się poróżniłyśmy, zanim wyjechałam. Było, minęło. Teraz jestem tutaj.

Więc dlaczego marzę, marzę, marzę o tym, żeby zrobić sobie zdjęcie z Jonahem i wysłać je do Ruby i Amali, i napisać, że tak to jest zakochać się w kimś dobrym i że to takie fajne.

Stoimy ściśnięci razem, aż dzień moich urodzin dobiega końca. Myślę o łodziach, o tym, jakie są potężne, a jednak kruche w porównaniu z kapryśnym morzem. Myślę o latarniach morskich, o bezpiecznym cumowaniu i o tym, jak łatwo się rozbić. Myślę o miłości i o tym, na co zasługuję i jak próbuję zaakceptować wszystko, co daje mi wszechświat. Nagle z radia zaczyna płynąć żywa, nieco ludowa melodia. Głos Jonaha brzmi tuż przy moim uchu. Czuję jego uśmiech.

– Podoba mi się ta piosenka.

Z początku stoimy razem, ale refren jest swobodny i żywy. Więc ten chłopak o poważnym spojrzeniu w stroju pingwina chwyta dziewczynę ze skrzydłami motyla za ręce i ją okręca. Kołyszymy biodrami i podskakujemy jak na pijackiej zabawie, na której świętuje się przemianę kwaśnych winogron w wino. Nasze ciała zasłaniają światło latarni, kiedy wymachujemy rękami, i chociaż tego nie widzimy, rzucamy cienie na niebie.

Tu właśnie jestem, gdzieś pomiędzy zupełnym mrokiem nocy a najjaśniejszym światłem, i uśmiecham się, tańcząc, kiedy nocny wiatr mierzwi włosy Jonaha. Blask moich urodzinowych świec i jasne światła w zupełności by wystarczyły. A Jonah Daniels? Rozjaśnił cały mój świat.

Teraz widzą nas nawet konstelacje: mamy siedemnaście lat, jesteśmy przytłoczeni, ale mimo wszystko tańczymy. Mamy zagubione,

łomoczące serca i jesteśmy silniejsi, niż ktokolwiek mógłby sądzić.

Jonah:

Obudził mnie dźwięk deszczu. Przy moim zmęczeniu pomyślałem, że to dach się zapada albo klimatyzacja nad moim oknem umiera z wysiłku. W Verona Cove latem nie pada. Nie i już.

Owszem, niebo za oknem mojego pokoju na drugim piętrze jest stalowoszare. Nie jest to letni deszczyk. Mój zegarek pokazuje dziesiątą rano, co jest niemożliwe. Po drodze do kuchni mijam pokój Leah. Nadal śpi skulona w kłębek jak mały kociak. Nie zorientowałem się nigdy, że to słońce budzi ją tak wcześnie rano. Na dole Bekah i Isaac grają w grę planszową, której nie widziałem od lat. Są cicho. Nie kłócą się.

Dzisiejszy dzień jest dziwny.

Biorę prysznic i przygotowuję nam na śniadanie kanapki z jajkiem zamiast owsianki, bo – hej, świat i tak stoi na głowie. Pada deszcz, moje rodzeństwo jest spokojne i jemy potrawę z wysoką zawartością cholesterolu. Leah krzywi się po jednym kęsie kanapki z jajkiem, więc zanoszę ją mamie. Siedzi na łóżku wśród porozkładanego wokół niej stosu papierów. Ale ubrana jest w coś innego niż piżama. I włosy też wyglądają inaczej. Są lśniące? Uczesane?

– Cześć, synu – mówi, unosząc wzrok. Ma przestraszoną minę.

Trudno wyjaśnić, dlaczego ta zmiana jest widoczna na pierwszy rzut oka. Kiedy ktoś jest tak smutny przez tak długi czas, brakuje mu energii nawet na to, żeby poruszyć najmniejszym mięśnieniem twarzy. Jakby był zbyt smutny, żeby choć powieki podnieść do końca. Tego ranka dostrzegam cień ruchu na policzkach mamy. Nie spuszcza głowy.

– Cześć. Przyniosłem ci kanapkę na śniadanie. Jest nadgryziona. Przez Leah. Ale jeszcze ciepła.

– Dzięki. – Prawdziwy uśmiech.

Bez żartów. W czym życiu ja się obudziłem?

Mrużąc oczy, patrzę na papiery wokół niej. Nie mogę się powstrzymać, żeby nie zadać pytania.

– Co robisz?

Zakłada sobie kosmyk włosów za ucho.

– Naomi zajmowała się za mnie mnóstwem domowych spraw.

Wszystkie moje mięśnie chwyta skurcz. Rozmowa o pieniądzach

wywołuje u mnie większy pot niż u maratończyka.

– Świetnie sobie radziła, ale w tym miesiącu potrzebowała trochę pomocy. Więc przeliczam wszystko od nowa, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. – Chyba wyczuwa moje napięcie.

– Na pewno jest.

– Wiesz, dlaczego skończyłam ekonomię? – pyta, notując coś na kartce, którą trzyma w dłoniach.

Owszem, wiem. Łatwo zapomnieć, jak dobrze znam moją mamę. Maskuje ją smutek, ale znam ją prawdziwą.

– Bo kochasz matematykę.

– Bardzo – przyznaje. – A kocham matematykę za to, że zawsze jest poprawna odpowiedź. Nie podlega interpretacji, nie jest subiektywna. Jest właściwy cel, chociaż czasami trzeba się do niego przedzierać przez skomplikowane zakamarki. W życiu nie zawsze tak jest.

Cieszę się, że wpatruje się w swoje liczby i znaki. Nie widzi, że szczęka mi opada na tyle, że wargi się rozchylają. Wygląda na to, że mama wróciła do życia, a nawet – Boże – żartuje na jego temat? Czuję się głupi, doszukując się w tym czegoś. To jak złuda, jak wtedy, kiedy próbowała pójść na zakupy. Wyglądało to na dobry znak. Skończyło się szlochom w publicznym miejscu.

– Masz rację – mówię głupio. – Daj mi znać, gdybyś czegoś potrzebowała.

Nadal kręcę głową, oszołomiony, kiedy mój telefon dzwoni. Spodziewam się, że to Vivi. Kiedy o niej myślę, jestem zaskoczony, że jeszcze się nie zjawiała w naszych drzwiach, w płaszczu przeciwdeszczowym, kaloszach, domagając się, żebyśmy tańczyli z nią w deszczu przed domem. Przypuszczam, że ma dyżur w pracowni. Mimo wszystko dziwnie się czuję, kiedy rano nie budzi mnie seria niegrzecznych, pomysłowych wiadomości. Nie śpi dużo.

Ale to Felix. „Pełno. Wpadniesz?”

Restauracja właściwie nigdy nie jest pełna w porze lunchu, zwłaszcza w ciągu tygodnia latem. Większość turystów nie ma w ogóle pojęcia, że otwieramy na lunch. Ale poranni plażowicze muszą mijać U Tony’ego w powrotnej drodze do miasta. Pewnie wpadli na lunch, chcąc

przeczekać burzę.

Folder turystyczny o Verona Cove zachwala tutejszą pogodę jako idealną. W lecie nigdy nie jest tu piekielnie gorąco, a zimą prawie nigdy nie ma mrozów. Ale dzisiaj czuję zimny front. Idę szybko w deszczu, chroniąc się pod starym parasolem golfowym, który znalazłem w szafie na korytarzu. Jak już dojdę do Main Street, tył dzinsów mam przemoczony. Plakat reklamowy U Tony'ego stoi na ulicy. Ktoś wetknął rączkę parasola u góry, w miejscu, gdzie dwie tablice się schodzą. Z daleka wygląda jak bardzo niska, krępa osoba skulona pod parasolem. Tymczasem otwarty parasol chroni staranne napisy wykonane kredą. Mimo deszczu widzę jasne, białe litery. „Specjalność na deszczowy dzień: gorące zupy i domowy chleb”.

Nigdy nie mieliśmy w ofercie domowego chleba i zawsze mamy tylko jedną zupę dnia. Szczypię się mocno w rękę, bo mam wrażenie, że to sen. Jeden z tych dziwnych, kiedy śni ci się twoje życie z pomieszzanymi szczegółami.

W środku, w kuchni jest parno, a zapach jest powalający i smakowity. Mało tego. Aromatyczny zapach drożdży i pieczywa. Felix jak szalony kroi warzywa. Gabe zajmuje się kuchenką zastawioną głębokimi garnkami z zupą.

– Jonah! – krzyczy Ellie. – Cześć.

Stoi przy blacie przy piekarnikach i smaruje górę czterech bochenków chleba lśniąca oliwą. Ciemne włosy ma swobodnie związane pod za dużą czapkę bejsbolową, w której rozpoznaję czapkę Feliksa. Ma na sobie fartuszek w kwiaty, który musiała przynieść z domu.

– Cześć. Chcesz, żebym ci pomógł?

Jej dłonie poruszają się tak szybko, że wygląda tak, jakby miała ich cztery lub sześć – jak szalona postać z komiksu. Jednak głos ma opanowany, rzeczowy.

– Robimy sześć zup: klasyczną pomidorową, minestrone, rosół z makaronem, ostro-kwaśną, o smaku tortilli i specjalną tajską kokosową, która moim zdaniem jest ryzykowna, ale tata się uparł, klienci mają obsesję. Mamy też cztery rodzaje chleba do wyboru: francuski, kukurydziany, asiago i czosnkowo-rozmarynowy. – Ellie przerywa i bierze oddech. Jej dłonie rozsypują zioła na bochenki chleba, które

później wprawnym ruchem poklepuje. – Miska zupy i wybrany chleb za pięć dolarów. Albo, za trzy dolary dodatkowo, można dostać grillowany ser do zupy. Za pięćdziesiąt centów dodajemy kolejny rodzaj sera.

Dostępne sery to...

– Znam je. – W zeszłym roku stworzyłem organizacyjny system nabiału w lodówce. Potrafię wyrecytować nazwy serów w porządku alfabetycznym albo po smaku, od łagodnego do ostrego. Będę musiał dopisać to do życiorysu na studia: Jonah Daniels: specjalista serowy. Ze wszystkich szkolnych kółek zrezygnowałem, żeby zajmować się rodzeństwem, ale, hej, potrafię dopilnować, żeby w kuchni nikt nie pomylił provolone z plastrami mozzarelli. Wiedza zapewniająca pełne stypendium.

– Racja. – Śmieje się z siebie samej, zmywając z dłoni igielki rozmarynu. – Daję ci wykład, jakbyś był klientem. Potrzebujemy jeszcze jednej osoby w kuchni, ja zajęłabym się zamówieniami, jeżeli ty możesz się za mnie zająć chlebem. Chyba że wolisz obsługiwać.

– Nie, wolę gotować. – Mój umysł już wciągnął się w kuchenny wir, moje dłonie działają jak na autopilocie, wiążąc fartuch na plecach. W kuchni jest najlepiej, kiedy jesteśmy o krok od chaosu. Zbyt mało personelu zapewnia adrenalinę. Rzadko się to dzieje.

Ellie przekazuje mi, ile ma się piec chleb, i wychodzi, a ja stoję przez chwilę. Mnóstwo informacji. Felix śmieje się do mnie, zsuwając górę warzyw z deski do krojenia do ogromnego garnka.

– Ta dziewczyna wie, co robi.

Dobra, czas zacząć zabawę. Przenoszę idealnie wypieczony chleb asiago do podgrzewacza i zabieram się do ciasta na chleb kukurydziany.

– Jak na to wpadłeś?

Kolejny wybuch śmiechu Feliksa.

– Daj spokój, Maní, myślisz, że to ja na to wpadłem? Wszystko przez to moje dziecko. Obudziła się wcześniej i wyczuła deszcz jak basset. Zanim się zorientowałem, była tu z babcinymi przepisami na chleb i namawiała mnie na swój plan. Lecę do Pattersona po marchewkę i seler i... o czym tam jeszcze mówiliśmy?

– Mleko kokosowe! – krzyczy Gabe znad kuchenki.

Kiedy Felix wychodzi tylnymi drzwiami, Jack, jeden z

pomocników kucharza, unosi wzrok znad talerzy z zupą, którą posypuje grillowanym serem.

– Ile lat ma Ellie?

– Szesnaście. Nie, Jack.

– Tak, Jack! – mówi. – Ja mam dopiero osiemnaście. Co takiego?

Mam szansę. To fajna dziewczyna.

– Chłopie, zje cię żywcem.

– Co takiego?

– Ellie nie nabiera się na głodne kawałki. – Wkładam chleb kukurydziany do pieca. – A ty jesteś ich pełen.

On i Gabe bez przerwy żartują w kuchni i muszę przyznać, że są zabawni. Ale jakby na dowód tego, że mam rację, kuchenne drzwi się otwierają, Ellie wkłada głowę do środka.

– Pospieszcie się, kłowni.

Restauracja jest pełna do końca pory obiadowej. Chleb do piekarnika, chleb z piekarnika, doprawianie wywaru z kurczaka, i tak w kółko. Mój umysł wyłącza się tak, jak tylko potrafi w kuchni. I przy Vivi. Mimo szaleńczego tempa podkradam się na moment do drzwi, żeby wyjrzeć poza kuchnię. To drzwi wahadłowe z okrągłą szybą z pleksiglasu, dającą widok na salę restauracyjną. Kiedy byłem mały, kojarzyła mi się z łodzią podwodną. Przy każdym stoliku siedzi rodzina. Ludzie unoszą do ust łyżki z zupą, smarują chleb masłem. Odchylają głowy, śmiejąc się głośno. Restauracja jest pełna, ale świat się kręci powoli. Nikt się nie spieszy, bo nie ma do czego. Są razem. Tęsknię za tatą tak bardzo, że ściska mnie w żołądku. Muszę się ruszać, muszę pracować. Przed czwartą po południu ludzie wychodzą, a zmiana przygotowująca kolację zastępuje nasz dopracowany system.

– Idźcie do domu, oboje – mówi Felix do mnie i do Ellie. – Napracowaliście się dzisiaj.

– Dobra – odpowiada Ellie, pochylając się, żeby pocałować tatę w policzek. Odwraca się do mnie. – Idziesz do domu? Chcę ci coś pokazać.

– Tak, hm, dobrze. – Zerkam za siebie na Feliksa, żeby się przekonać, czy wie, o co chodzi. Wygląda na rozbawionego.

– Jesteś dupkiem – mówi Jack, wskazując na mnie.

Ellie czeka na zewnątrz. Deszcz przestał padać. Powietrze nadal

pachnie mokrą ziemią i ozonem. Kiedy wychodzimy za drzwi, podaje mi złożoną kartkę papieru wypełnioną jej starannym pismem niebieskim atramentem.

– Notatki. Hm... obserwacje. – Wskazuje pierwszą linijkę. – Poświęciłam trochę czasu, żeby się zastanowić nad trendami, gdy pracowałam jako kelnerka. Bo, wiesz, pytają o pewne dania albo mówią, między którymi próbują dokonać wyboru.

Zaczynam od góry.

Przegląd. Rodzaje klientów: miejscowi stali, turyści „coś lekkiego i zdrowego” i ludzie, którzy chcą możliwie najwięcej jedzenia.

Mój wzrok wędruje na dół strony.

Podsumowanie.

Napisane jak szkolne wypracowanie.

Stworzyć oficjalne menu dla dzieci z kilkoma prostymi propozycjami, rozszerzyć menu sałatek, żeby klienci mogli dodać grillowanego kurczaka lub krewetki, oznaczyć dania w menu, które są wegetariańskie lub bezglutenowe, stworzyć kilka dodatkowych propozycji dla wegetarian i bezglutenowców...

Jest tego więcej.

– Nooo... nieźle.

Ellie chrząka.

– Po dzisiejszym dniu wydaje mi się też, że na czas lunchu powinniśmy rozważyć danie zupa z kanapką.

– Świetnie. – Mój zasób słów drastycznie się zmniejszył po szalonej zmianie w porze obiadowej. To jest świetne. I niespodziewane. Wiem, że Ellie mówiła, że chce pomóc, ale nie miałem pojęcia, że zaangażowała się do tego stopnia. – Świetnie.

– Mam nadzieję, że nie uważasz, że odbieram ci chleb! Po naszej rozmowie przy ognisku uświadomiłam sobie, że mam kontakt z klientami i wiem, czego oczekują.

– Nie! – mówię. – Świetnie. Poważnie, nieźle. To takie poukładane i... jasne.

Ellie wygląda przez chwilę na zakłopotaną, chociaż uśmiecha się na tyle swobodnie, że nie wiem, czy mi się nie wydawało.

– Co mogę powiedzieć? Natchnęło mnie.

– Cieszę się. Świetnie.

Powiedz jeszcze raz: świetnie. Poważnie.

– Jeszcze jedno. Wydaje mi się, że turyści nie bardzo wiedzą, jakiego rodzaju restauracją jest U Tony’ego. Wiem, że to duża zmiana, ale pomyślałam... Gdybyśmy nazwali ją Bistro u Tony’ego?

– Hm. – Zastanawiam się. – Tak. W tej nazwie zawiera się wszystko. Jest swobodna, ale przyjemna. Myślisz, że twój tata by się zgodził?

Kiwa głową.

– Tak.

Składam kartkę i chowam ją do tylnej kieszeni. Mijamy pracownię ceramiczną, a ja zerkam do środka, szukając Vivi. Jest tylko Whitney, kiwa Ellie i mnie. Sprawdzam telefon, szukając wiadomości, ale niczego nie ma. To do niej niepodobne.

– A... – zagaduje Ellie. – Jak twoja mama? Odkąd wróciłam z obozu, widziałam ją raz czy dwa w kościele.

– No, wiesz... w porządku.

Większość ludzi kiwa poważnie głową, z ulgą, że ma z głowy ten dziwny społeczny obowiązek. Ellie milczy, więc zerkam na nią przez ramię. Mruży oczy. Trudno mi zajrzeć pod gęste rzęsy.

– Jonah. – Zwalnia wyraźnie, ja również. – Jak naprawdę się czuje twoja mama?

Oboje się zatrzymujemy. Stoimy na chodniku przy parku. Zakładam ręce na piersiach. Otwieram usta, żeby jeszcze raz powiedzieć: w porządku, tym razem bardziej przekonująco. Ale powtarzanie tego wydaje się jeszcze większym kłamstwem. Ciemne oczy Ellie przyglądają mi się wyczekująco.

– Nie za dobrze – przyznaję w końcu. – Zupełnie niedobrze.

Ruszam znowu, robiąc z tych pięciu słów furtkę. Przełamałem barierę pomiędzy naszą rodziną a światem zewnętrznym. Odsloniłem nas. Ellie mnie dogania, pojawia się tuż obok mnie.

– Jak to „zupełnie niedobrze”? – Jej twarz jest łagodna. Kiedy ktoś się nade mną użala, czuję się żałośnie.

– Prawie nie wstaje z łóżka, rozumiesz? – Mój głos brzmi ostro, chociaż nigdy celowo nie warknąłbym na Ellie. – Przepraszam. Jest źle.

Jest... nie wiem.

Spodziewam się, że spyta, dlaczego, do cholery, nie załatwiłem mamie jakiejś pomocy. Spodziewam się, że skrytykuje mnie, jak się patrzy, za to, jak zachowałem się w całej tej sytuacji, tak ostro, jak ja sam siebie za to krytykuję.

Tymczasem ona szepcze tylko:

– Wiedziałam.

Szepcze to do siebie, tak, jak się mówi „cholera” pod nosem, kiedy się coś upuści.

– Tak mi przykro, Jonah – mówi Ellie. – Może to nie moja sprawa. Ja tylko... miałam przeczucie.

– Boże, nie przepaszaj. – Próbuję się roześmiać, ale śmiech brzmi gorzko. Bo ja sam jestem zgorzkniały. – Chcieliśmy dać mamie trochę czasu: Naomi, Silas i ja. Ale oni pod koniec sierpnia wyjeżdżają na studia, a ja nie będę w stanie sam zajmować się trójką dzieci. Silas napomknął, że odłoży studia na rok. Nie chcę, żeby to robił, ale nie wiem, jakie mamy wyjście.

Robimy kilka powolnych kroków, a ja jestem rozdarty. Czuję ulgę dzięki temu, że wyrzuciłem to z siebie, ale mam też wrażenie, że robię coś za plecami rodziny.

– Hej, wy dwoje! – krzyczy z drugiej strony ulicy pani Albrecht, kiedy Edgar zatrzymuje się, żeby obwąchać hydrant przeciwpożarowy. Ellie i ja machamy jej, ale czuję, że twarz mi płonie. To tak samo krępujące jak chwila, kiedy ktoś wchodzi do toalety, kiedy jesteś w środku. Gdy człowiek zostaje przyłapany w chwili prywatności.

Kiedy znajdujemy się poza zasięgiem jej słuchu, stajemy na rogu, na którym musimy się rozejść w różnych kierunkach.

– Wiesz, że po tym, co przeszliśmy z Diegiem, wiele wiemy na temat depresji: o leczeniu, terapii, słuchaniu się nawzajem i rozmowie. – Marszczy brwi, ale nie wiem, czy jest zdezorientowana, czy zboleła. Czy może jedno i drugie. – Dlaczego nie powiedziałaś mojemu tacie?

– Bo... bo minęło dopiero siedem miesięcy. Bo wiem, że to dziwne, ale czuję, że to jej sprawa. Nie chcę jej zawstydząć. Powodów jest chyba wiele.

Kiwa powoli głową.

– Rozumiem. Co mogę zrobić?

– Nic. – Ot, tak, zamykam temat. To instynkt po siedmiu miesiącach. – To znaczy, dzięki, ale damy sobie radę.

Pora się rozejść. Ale żadne z nas się nie rusza. Ellie patrzy na mnie wyczekująco. Pokonuje mnie milczeniem. Jeżeli dłużej nie będę się odzywał, cisza stanie się boleśnie dziwna, a nie tylko trochę dziwna. Łatwo byłoby rzucić: okej, do zobaczenia później, i odejść, ale moje wargi i nogi nie chcą współdziałać.

– Właściwie – mówię, nim zdążę się zastanowić – cały czas się migam od rozmowy z twoim tatą. Wiem, że moja mama przestała prowadzić księgowość restauracji po tym, co się stało, ale gdyby twój tata poprosił ją znów o pomoc, chyba byłaby zadowolona. Myślisz, że mogłabyś coś takiego zasugerować?

Ellie kiwa głową, jakby czymś zupełnie normalnym było prośenie koleżanki, żeby poprosiła tatę, żeby poprosił twoją mamę o pomoc w księgowości.

– Jasne. Subtelnie mu o tym wspomnę. Może to w jakiś sposób otworzy drzwi pomiędzy moim tatą a twoją mamą. I Jonah, proszę, powiedz mi, gdybym mogła popilnować dzieci, zrobić zakupy czy nie wiem co. Cokolwiek. Z przyjemnością pomogę, w czym tylko będę mogła. A jeżeli będziesz chciał pogadać, naprawdę...

– Dzięki. Na ogół całkiem dobrze sobie radzimy. Przeraza mnie tylko, co będzie po wyjeździe Naomi i Silasa. Ale Vivi powtarza, że może uda jej się namówić mamę na to, żeby zostały w Verona Cove dłużej, więc może będę mógł też liczyć na jej pomoc.

Ellie się uśmiecha.

– Byłoby wspaniale.

– Dzięki za pomysły w kwestii restauracji.

Stoimy teraz w niedużej odległości.

– To była przyjemność. Przemyśl je, jak będziesz miał chwilę. Pokazałam je już tacie. Pogadamy o tym w czwartek, jak będziesz chciał. Na razie!

– A co jest w czwartek?! – krzyczę, kiedy dzieli ją ode mnie kilka kroków.

– Nic. Znów mamy wspólną zmianę.

Odwracam się, kiedy ruszamy w przeciwnych kierunkach, ona robi to samo i macha mi. Może powinienem się czuć winny, że wydałem mamę, nie konsultując tego z Naomi ani Silasem, ale nic takiego nie czuję. Czuję się tak, jakbyśmy dołączyli kolejną osobę do naszej drużyny.

A może cały czas wiedziałem, że jest z nami ktoś jeszcze.

Vivi:

Dlatego przeszukałam pokój mamy: musiałam się dowiedzieć. Myślałam o tym od urodzinowego wieczora, kiedy w latarni morskiej rozmawialiśmy z Jonahem o naszych ojcach. Tata Jonaha był zawsze w jego życiu, więc tej stracie towarzyszy dojmujący ból. Zastanawiam się teraz, czy mój tata mógłby wnieść coś znaczącego do mojego życia.

Przez tyle lat wmawiałam sobie, że nie muszę nic wiedzieć o moim tacie. Ale wydaje mi się, że może to taki mit, który stworzyłam na własne potrzeby: że nie jestem sierotą, że nie jestem głupią dziewczyną, która przeżywa kryzys tożsamości, nic z tych rzeczy.

Chyba że jednak tak jest. A gdybym sobie pozwoliła być taką dziewczyną przez minutę?

Więc zrobiłam to. Uchyliłam sobie maleńkie okienko, żeby poczuć to, co naprawdę czuję, i dostał się przez nie powiew zaciekawienia. Wczoraj przyglądałam się swojej twarzy w lustrze, szukając jego śladów na moim ciele. Mam mały nosek po mamie i pełne wargi, ale ona ma ciemne oczy, a ja niebieskie. Więc to są jego oczy, o czym chyba zawsze wiedziałam – jego geny znajdują się dokładnie w moich oczodołach, a ja nawet nie wiem, jak mu na imię. Moim naturalnym kolorem włosów jest ciemny blond, taki jak mamy. Ale moje brwi. Moje brwi są pełne, a mamy rzadkie, wypełnia je kredką do brwi zawsze przed wyjściem z domu. Mama ma długie szczupłe palce, a moje dłonie są drobne. Mam jego oczy, brwi, dłonie, co jeszcze? Wynurzam się z łazienki po godzinie.

Gdyby mama za kogoś wyszła, może zupełnie zapomniałabym o biologicznym ojcu. Jest tylko jeden człowiek, którego chciałam widzieć w roli ojczyma. Kiedy byłam mała, pojawił się mężczyzna o imieniu Adesh, a moja mama kochała go w taki sposób, że jego odejście sprawiło, że stała się inną osobą, i ja też go kochałam, bo był przystojny i niewiarygodnie dobry. Gdyby kiedykolwiek zaczął krzyczeć, chyba parsknęłabym śmiechem, bo jego akcent sprawiał, że wszystko brzmiało pięknie. Ale on nigdy nie krzyczał – nie, nigdy; był zbyt pochłonięty śpiewaniem i pokazywaniem mi nowej muzyki, i przygotowywaniem mojej ulubionej potrawy o nazwie makki paneer pakora. Wrócił do Indii,

żeby opiekować się starzejącymi się rodzicami, i pamiętam, jak podśluchałam rozmowę, w której moja mama powiedziała: „Pozwól mi pojechać z tobą”.

Nie chciał jej pozwolić na to, żeby wykorzeniała swoje życie i mnie, tak powiedział.

„To, co ma być, znajdzie drogę”, oznajmił.

Pisali do siebie listy bardzo długo, prawdziwe listy, i ona trzyma wszystkie jego słowa na kupce z tyłu szuflady na bieliznę.

Po kryjomu przeczytałam wszystkie te listy wiele lat temu, bo ja też za nim tęskniłam, a mama robiła się smutna, kiedy próbowałam ją o to pytać. W ostatnim pisał jej, że zaręczył się z kobietą o imieniu Saanvi i że zawsze będzie kochał moją mamę i nosił ją w szczególnym miejscu w sercu. Jak przeczytałam ten ostatni list, poczułam się winna. Nie żałuję, że znalazłam te listy, ale czuję, że przekroczyłam granicę, że zapuściłam się na prywatne terytorium. Ale odejście Adesha było smutną historią również w mojej książce i zasługiwałam na to, żeby znać zakończenie. W zimie mama dalej nosi piękną chustę, którą przysłał jej z Bombaju. Owija się nią wokół szyi, powoli, jakby rozkoszowała się mięsistą tkaniną, i wiem, że marzy, żeby nadal pachniała nim, słodkimi przyprawami i ciepłym powietrzem, i dniami, kiedy miłość nie była stracona.

W każdym razie to mnie skłania, żeby zajrzeć do szuflady z bielizną. Tam mama ukrywała większość tajemniczych rzeczy w Seattle, więc jeżeli jest w tym domu coś, co warto znaleźć, będzie właśnie tam, prawda?

Cierpliwość nie jest moją mocną stroną, ale wiedziałam, że muszę działać powoli i zachować ostrożność. Poczekałam do dzisiejszego ranka, kiedy wiedziałam, że jej nie będzie, kiedy wyjechała bardzo wcześnie, bo miała przed sobą trzy godziny jazdy do San Francisco po artykuły ze specjalistycznego sklepu dla artystów.

Jak mogłam przewidzieć, w szufladzie z bielizną znajduję listy Adesha. Odkrywam też plik zdjęć podpisanych z tyłu chwiejną kursywą. *Ja i Mama*: wyblakłe zdjęcie mojej mamy jako małej dziewczynki, stojącej ze swoją mamą, która zmarła bardzo młodo. *Carrie & Adesh*: zdjęcie mojej mamy i Adesha, nos w nos, uśmiechających się z

zamkniętymi oczami, jakby miłość zupełnie odebrała im rozum. *Moja Viv*: moje zdjęcie, kiedy miałam cztery czy pięć lat, w różowych okularach słonecznych, wyciągającej do aparatu lody w waflu. Te zdjęcia są najcenniejsze dla mojej mamy. Ale na żadnym nie ma mojego ojca, nie ma żadnego zdjęcia mojej dziewiętnastoletniej mamy ani w ciąży ze mną.

Poddaję się; godzę się z tymczasowym przeznaczeniem, które decyduje, że na razie nie jest mi pisane dowiedzieć się czegoś o ojcu. Niebo dopiero jaśnieje, a ja przyciskam dłonie do szklanych ścian w salonie, tych, które uświadamiają człowiekowi, że jedynym, co oddziela go od natury, jest centymetr materiału budowlanego. Bez względu na to, czy obłożony drewnem, otynkowany czy ze zwykłego szkła, dom jest częścią większego ekosystemu. Głupotą jest myślenie, że żyjemy bez związku z naturą. Głupotą, powtarzam.

Nie pytajcie mnie nawet, jak pracuje mój szalony umysł, jakie punkty łączą się ze sobą, ale te wzajemne powiązania kojarzą mi się z biurokracją. Nie wiem. I z jakiegoś powodu nowa myśl pulsuje między moimi skroniami: Gdzie znajdują się nasze ważne dokumenty? Nasze karty ubezpieczenia społecznego i akty urodzenia? W domu trzyma je w sejfie, do którego nigdy nie udało mi się odgadnąć szyfru. Nie jest matką, która przywiozłaby tu, do Verona Cove, kartony czy plastikowe pojemniki oklejone etykietami. Ale nie jest też mamą, która nie miałaby ich przy sobie na wszelki wypadek. Muszą tu być.

Szalejąc pod wpływem tego tropu, przeszukuję kolejne szuflady. Nic, nic, nic. Przeszukuję szafę, ciuchy fruują jak podczas tornado. W końcu, w tylnym rogu szafy Richarda, gdzie wisi reszta ubrań mamy, odnajduję nieopisaną szarą kopertę. Nasze akty urodzenia, karty ubezpieczeń i polisa ubezpieczeniowa na nazwisko mamy. I długa koperta. Adresem zwrotnym jest adres kancelarii prawnej ze stanu Waszyngton. Mało nie podrę aktu urodzenia, próbując go przeczytać. Vivian Irene Alexander, bo imiona otrzymałam po obu babciach mojej mamy, i zawsze podobało mi się to, że moje inicjały tworzą słowo. Urodzona w Olympii w stanie Waszyngton, dwudziestego trzeciego lipca, na granicy dwóch znaków zodiaku – wrażliwego Raka i ognistego Lwa. Jednak ja identyfikuję się z ryczącym Lwem. Matka: Carrie Rose

Alexander.

Ojciec: James Bukowski.

Wdech, sapnięcie, wydech. Uniesienie piersi i opadnięcie, dyszenie, dyszenie.

Drzę jak ostrzegawcze drgania przed trzęsieniem ziemi, łzy napływają mi do oczu tak szybko, że nie mogę dokończyć czytania.

Czy ja jeszcze oddycham?

Drżącymi dłońmi wysuwam pojedynczą kartkę z kolejnej koperty. Dokument przyznaje wyłączną prawną opiekę mojej matce, tak że mój ojciec nie może się pojawić później i rościć sobie praw do mnie. Sporządzony w roku mojego urodzenia. Mój ojciec podpisał u dołu, jednym szybkim pociągnięciem pióra, jakby chciał to mieć jak najszybciej za sobą.

Mój ojciec nazywa się James Bukowski. Z Berkeley w Kalifornii. Czuję mrowienie na całej twarzy od tej nowej informacji, krew buzuje mi w żyłach, zakończenia nerwowe skwierczą. Ma imię, James, a nazwisko ma takie, którego nigdy bym się nie domyśliła, to nazwisko, które mogłoby być moim, gdyby sprawy potoczyły się inaczej. Mówią na niego Jim czy Jimmy? Mieszka nadal w Berkeley? Dlaczego, dlaczego, dlaczego moja matka mi to zrobiła? Dlaczego trzyma go przede mną w tajemnicy? Był niebezpieczny? Chroniła mnie przed nim?

Wydaje mi się, że żyłam w przekonaniu, że nigdy w życiu niczego się o nim nie dowiem, a teraz się zastanawiam, czy kiedykolwiek tak naprawdę tego chciałam. Nie, czy chciałam. Czy chcę. Nie wiem. Nic nie wiem.

Chociaż kochałam życie w moim poprzednim wcieleniu baleriny z lat dwudziestych, jestem nieziemsko wdzięczna za Internet. Szukam, szukam, stukając szaleńczo palcami. Ta myśl mnie często przeraża, prawdę mówiąc – jak wiele informacji osobistych można znaleźć w sieci. Ale dzisiaj to działa na moją korzyść, muszę przyznać.

W Berkeley, w Kalifornii, jest mężczyzna o nazwisku James Bukowski. Wiem tylko, że pracuje na uniwersytecie w Berkeley, więc domyślałam się, że mój tata może być profesorem muzyki. Może zamienił karierę rockową na karierę wykładowcy? To chyba możliwe, prawda?

Muszę wiedzieć. Nawet jeżeli to nie on, muszę wiedzieć. Moje

myśli poddają się najbardziej skrywanym uczuciom, nadziejom, które zawsze miałam i których nie pozwoliłam sobie w pełni rozwinąć. O tym, że mój tata ma pewnie stary gramofon i najlepszą kolekcję winylowych płyt, że będziemy ich słuchać i tańczyć w jego salonie. O tym, że nie ma pojęcia o wykwinnym gotowaniu, ale jego „specjalnością” jest jajecznicza, i że potrafi w lecie zrobić przeciętnego burgera warzywnego, wypełniając ogródek zapachem dymu z grilla. Że ma kolekcję staromodnych kapeluszy – meloników i fedor, i kaszkietów – i będzie mi je pożyczał. Że pewnie ma tatuaże. Ciekawe jakie? – zastanawiam się.

Może zrobimy sobie jeden wspólnie, jako symbol naszej wolności ducha, tego, że jesteśmy połączeni, ale niezależni, i że mamy siebie.

Wskakuję na Cherie – to moja vespa, oczywiście – wkładam kask, bo inaczej moje włosy będą wyglądały jak nieszczęście, gdybym jechała autostradą z gołą głową. W ulubionych lakierkach i bluzce z białym kołnierzykiem wyglądam zjawiskowo, zwłaszcza że mam na sobie najpiękniejszą spódnicę, która sięga mi do łydek – taka, która wiruje i wiruje, bo jej dolny brzeg tworzy ogromne koło. Uszyłam ją sama z tkaniny vintage, która ma białe tło pokryte czerwonymi, brzoskwiniowymi i niebieskimi kwiatami. Muszę przyciskać nogi mocno do vespy, żeby spódnicza nie fruwała, ale nawet jeżeli będzie fruwać, co z tego, prawda? Mam o wiele większe problemy, które wirują wokół mnie jak chmury na niebie nad wybrzeżem, i unosimy się, unosimy.

Właściwie nic nie spakowałam, bo niczego nie będę potrzebować, kiedy tam dojadę. Jeżeli to nie mój tata, odwrócę się i wrócę do domu, a jeżeli to mój tata, będzie miał wszystko, czego potrzebuję. Więc biorę tylko komórkę, szminkę, kartę kredytową na wszelki wypadek i prawo jazdy, które znajdują się już w mojej ulubionej małej torebce. Na kawałku kartki mam zapisany adres tego Jamesa Bukowskiego z Berkeley. W każdym razie ten dom obciążony jest hipoteką na jego nazwisko, więc to pewnie on. Więc jadę i jadę, aż go odnajduję, parkuję vespę przy końcu podjazdu. Dotarłam.

Ten dom jest taki przytulny, taki podmiejski. Ceglany, kwadratowy i bardziej wyszukany, niż się spodziewałam. Ale nieważne. To ta, moja chwila, może w końcu poznam mojego tatę. Wiem, że to pewnie nie on, ale jeżeli okaże się, że jednak on, będę zachwycona. Przez te wszystkie

lata musiał przestrzegać prawa i trzymać się z daleka ode mnie z powodu tej głupiej ugody, w której zrzekł się swoich praw, ale go odnalazłam, i teraz będzie mógł mnie poznać. Teraz będziemy mogli wypełnić te dziury w naszych duszach – on tę, że nigdy nie znał swojego dziecka, a ja tę, że nigdy nie poznałam ojca. Na ganku czuję się mała, jakbym roznosiła ciastka albo świąteczny papier do pakowania. Jednak moje palce odnajdują drzwi i po chwili ktoś je otwiera.

– Dzień dobry – mówię. Mój głos brzmi jak głos małej dziewczynki. – Czy pan jest Jamesem Bukowskim?

– Tak. W czym mogę pomóc? – To nie może być mój ojciec. Jest starszy, niż byłby mój tata, starszy od mamy. Ma na sobie krawat i wyprasowaną koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci. Włosy zaczynają mu siwieć na skroniach, ma krótko przystrzyżoną brodę. Ale ma niebieskie oczy, pełne brwi, jak moje, dokładnie takie, jak moje. Nie.

– Czy pan jest...? – zaczynam. – Muzykiem Jamesem Bukowskim?

– Nie. Jestem profesorem. – Jest dezorientowany, może myśli, że jestem jakąś grupie, dręczycielką. – Ekonomii. Dlaczego?

To nie on. Wydaje mi się, że czuję ulgę; naprawdę czuję?

– W porządku. W porządku. Mimo wszystko, dziękuję. Nieważne. Odwracam się, żeby odejść, a on nadal stoi w uchylonych drzwiach. Ale coś każe mi się odwrócić jak tancerce w pozytywce.

– Jestem Vivi. To nic panu nie mówi, prawda?

Jestem pewna, że nie, ale jego mina się zmienia – szczęka opada mu na betonowy ganek pod naszymi stopami. W jego oczach zamiast dezorientacji pojawia się złość, w mgnieniu oka, czego nie mogę zrozumieć. W końcu tu jestem, jego córka, w końcu go odnalazłam, żeby mógł mnie poznać. Wychodzi na ganek i zamyka za sobą drzwi. Ale wcześniej zdążę je zobaczyć. Zdjęcia jego dzieci w korytarzu. Jego prawdziwych dzieci.

– Nie możesz tu być.

Stoję jak sparaliżowana, nieruchoma z przerażenia jak ozdoba trawnika. Jego twarz zalana jest krwią, czerwona, pulsująca.

– Nie możesz tu być.

O mój Boże, to on. O mój Boże, ten mężczyzna jest moim tatą i

mnie nienawidzi, a jego rodzina nie ma o mnie pojęcia. Chcę powiedzieć: to ty nie możesz tu być. To nie może się dziać naprawdę. Nie możesz być tak nedorzeczną osobą, takim nierockowym profesorem, z życiem tak starannie poukładanym. Nie jest szalonym muzykiem z duszą włóczęgi. Jest zwykłym facetem. Jest zwykłym, odpowiedzialnym starym facetem?!

– Carrie obiecała, że do czegoś takiego nie dojdzie – powiedział, jakby starał się wytłumaczyć sobie, że moja obecność nie jest możliwa. – Przesyłam jej czek co miesiąc. O to chodzi?

Moje ciało wydaje odgłos, przypominający szloch, powietrze uchodzi z mojego żołądka i z ust, jakby ktoś zadał mi cios w brzuch. Nie płaczę, a może i płaczę, właściwie nie mam pojęcia, co się dzieje, poza obecnością tego wściekłego mężczyzny, który ma moje oczy, i nie mogę uwierzyć, że tak jadowicie go nienawidzę.

– Przykro mi – szepczę, ale dźwięk mojego głosu jest dowodem. Jestem tu. Jestem kimś, kto ma własne zdanie i prawo, i, prawdę mówiąc, nie jest mi przykro. Wcale. Głęboki oddech wypełnia mój brzuch i chyba krzyczę. – Jestem prawdziwym człowiekiem. Nie jestem obietnicą, jaką ktoś na mój temat złożył! A ty... wiesz co? Jesteś żałosny. Możesz mnie nie chcieć, ale teraz ja też cię nie chcę!

– Natychmiast ścisz głos – syczy, a ja jestem pewna, że płaczę, szlocham, wydając odrażające, pierwotne odgłosy jak zrozpaczona krowa rycząca na jego ganku.

Mam ściszyć głos? Nie będzie mi dyktował, co mam robić! Jak tata. Zbieram siły, żeby zareagować. Oj, zrobię to, o tak, bo w płucach szaleje mi wiatr jak w czasie burzy, wzbijając słowa jak fruujące liście, a ja wyrzucę je z siebie gwałtownie.

– To ty ścisz swój pieprzony głos! Jesteś największym rozczarowaniem mojego życia! Więc zatrzymaj sobie swoją prawdziwą rodzinę, bo mnie to nie obchodzi. Ja po prostu czuję wielką ulgę, że niczego nie straciłam. Za to ty, owszem, straciłeś, Jamesie Bukowski. Bo ja jestem cholernie niesamowita i żal mi ciebie, że o tym nie wiesz. Wspaniałego życia. Nigdy więcej o tobie nie pomyślę.

Nogi niosą mnie długimi krokami, ale klnę na siebie, że mam buty na obcasach, chociaż nie są wysokie. Nie przypuszczałam, że będę

musiała zastosować plan ewakuacyjny, nie przypuszczałam, że będę uciekać co sił w nogach od mężczyzny, który jest dokładnie taki, jak nie chcę. Szlocham tak bardzo, że czuję ciepłą strużkę pod nosem.

– Jim, co tu się dzieje, do licha? – Słyszę rozedrgany głos kobiety za mną, kiedy biegnę przez podjazd do mojej vespy, i odwracam się tak, że widzę jeszcze zamykające się drzwi. Dobrze. Bardzo dobrze. Cieszę się, że jego żona wie. Skoro nie miał jaj, żeby w ciągu siedemnastu lat powiedzieć jej, że ma córkę, cieszę się, że się dowiedziała. Może byłam aniołem śmierci dla tego małżeństwa, a jeżeli tak, to wcale nie będzie mi przykro, przysięgam, nie będzie. Słyszysz mnie? Nie jest mi przykro, że powstałam, że się urodziłam i że żyję!

Jonah:

Kiedy dzwoni Vivi, prawie nie jestem w stanie rozróżnić słów. To szloch, zawrodożenie, w połowie moje imię, w połowie błaganie.

– Jonah, Jonah, możesz po mnie przyjechać? Proszę, Jonah. Nie mogę, nie... Proszę, zabierz mnie.

– Vivi. – Mój głos brzmi jak po długim biegu. – Viv, nic ci nie jest?

– Nie. Nie wiem. Jonah, proszę, przyjeźdź po mnie.

– Już jadę. Gdzie jesteś?

– Cloverdale? – Pociągnięcie nosem. – Chyba.

To ponad godzina drogi.

– Dzwoniłaś do mamy?

– Nie. Tylko nie do mamy. Jonah, proszę, tylko ty.

– Dobrze – mówię. – Dobrze. Poczekaj gdzieś w bezpiecznym miejscu, dobrze? Musisz znaleźć najbliższe ciębie skrzyżowanie i napisać mi je esemesem. Już wyjeżdżam.

Na szczęście Naomi wróciła wcześniej z pracy, a ja jadę, jadę na południe, i nie wiem zupełnie, czego się spodziewać. Słońce zaczyna się obniżać, a mnie ściska w żołądku. Kiedy podjeżdżam do miejsca, w którym podejrzewam, że jest Vivi, na każdej ulicy wypatruję jasnych włosów i skóry, szokująco czerwonych ust. Dzwonię, ale włącza się poczta głosowa.

W końcu dostrzegam vespę i małą skuloną istotę obok niej. Siedzi na chodniku przed niskim blokiem. Nogi podciąga pod brodę, schowane pod spódnicą, rozdartą z boku. Twarz z czarnymi smugami przyciska do kolan. Wyskakuję z samochodu jak w filmie akcji, ledwie zaparkuję, moje stopy dotykają ziemi.

– Viv! Vivi, cześć! – krzyczę do niej.

– Cześć. – Podnosi się z ziemi i biegnie do mnie boso. Jej biała bluzka wystaje zza paska spódnicy i jest brudna. Nim zdążę przetrwać tę informację, jest w moich objęciach, z twarzą ukrytą w moim ramieniu. Jej łzy moczą moją koszulę, ciepłe i wilgotne na mojej skórze.

– Dlaczego nie przeniosłaś się w jakieś bezpieczne miejsce, jak prosiłem? – pytam. Ona płacze i płacze. Złe pytanie. – Gdzie masz kask?

– Chyba... jest... na... jego... trawniku. Zatrzymali mnie... za to, że go nie miałam...

Co takiego?

– Viv, co ty tu robisz?

– Nienawidzę go – zawodzi. – Nienawidzę.

– Kogo?

– Mojego... taty.

Czuję, jak oddycha, jak jej poruszająca się pierś napiera na moją, na moje ramiona. O mój Boże. Odnalazła ojca? Tu, w Berkeley?

– Już dobrze – mówię, a ona szlocha mi w ramię. To ewidentnie nieprawda. Ja tylko chcę, żeby tak było.

– Wolałabym go nigdy nie poznać, wolałabym go nigdy nie poznać – mamrocze mi w szyję. – Wolałabym go nigdy nie poznać. Chciałabym, żeby nie żył.

Jasny gwint, odnalazła go. Przytulam ją na chodniku, a ona płacze. W końcu prowadzę ją do samochodu. Zatrzymuje się przy nas starszy mężczyzna i pyta, czy może pomóc. Niesie pojemnik mleka ze sklepu spożywczego za rogiem i stawia ją na chodniku, nim zdążę odpowiedzieć. Ładujemy vespę na tył vana. Vivi siedzi na przednim fotelu, obejmując się w pasie. Jest na tyle nieruchoma, że mogłaby spać, ale oczy ma otwarte. Wpatruje się w nicłość.

– Nic jej nie jest? – pyta mężczyzna, kiedy zamykamy bagażnik. – Chcecie wpaść do mnie i odpocząć parę minut? Mieszkamy z żoną na tej ulicy, gdybyście mieli ochotę na kubek kawy.

– Dziękuję. – Boże, naprawdę doceniam jego propozycję. Miło mieć kogoś starszego od siebie do pomocy. – Ale jednak nie skorzystamy. Ona miała naprawdę długi, bardzo zły dzień.

Mężczyzna chichocze i klepie mnie po ramieniu, jak starego kumpla.

– Rozumiem. Za każdym razem, kiedy mamy problem z samochodem, moja żona przechodzi z tego powodu załamanie. Jutro na pewno poczuje się lepiej.

– Mam nadzieję – mówię. Vivi kołysze się lekko w samochodzie. Ściśniętą w pięść dłoń przyciska do ust, jakby chciała ssać kciuk. – Jeszcze raz dziękuję.

Odpalam samochód, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Wszystko w porządku? Przecież widać, że nie. Chcesz o tym pogadać? Przecież widać, że nie.

Zastanawiam się, ilu ludzi czuło się w ten sposób w stosunku do mojej rodziny – nie bardzo wiedzieli, co powiedzieć. Czasami myślę, że po skończeniu czternastego roku życia każdy powinien otrzymywać podręcznik zachowania w takich sytuacjach. To chyba dobry wiek. Początek liceum. Początek końca dzieciństwa, kiedy trzeba zacząć dorastać. Więc może szkoła powinna rozdawać książkę pod tytułem *Podręcznik postępowania z ludźmi, którzy przechodzą ciężkie chwile*. My sami z Vivi moglibyśmy napisać sporo rozdziałów. Nieżyjący ojciec. Brak ojca. Mama w depresji. Oryginalna matka. Ale każda osoba, która przechodzi ciężkie chwile, jest inna i nie ma jednego sposobu właściwego postępowania. Jest za to wiele niewłaściwych sposobów.

Vivi porusza się obok mnie. Nie mogę uwierzyć, że to ta sama dziewczyna, która szalała na plaży. Która zakradała się do mojego domu w środku nocy. Która sprawiła, że moja najmłodsza siostra zaczęła znów mówić, tańczyć i śmiać się. Chcę zjechać na bok i ją przytulić. Chcę okazać jej zrozumienie w tym smutku, tak jak wcześniej ona mnie. Nam. Kolejne zerknięcie na nią i czuję przemożone pragnienie, żeby przygotować dla niej jedzenie, żeby ją pocieszyć. To dziedzictwo, jakie pozostawił mi tata. Zakorzeniony impuls, żeby karmić ludzi. Chciałbym przygotować coś dla niej sam, ale nie ma na to czasu.

– Viv, jadłaś coś dzisiaj?

Odrywam wzrok od drogi i szukam odpowiedzi na jej twarzy.

Kręci głową raz. Wyraz twarzy jej się nie zmienia. Wygląda na szczuplejszą niż wtedy, kiedy się poznaliśmy. Nie wiem, dlaczego nie zauważyłem tego wcześniej, dopiero dzisiaj.

Zatrzymuję się w sklepie przy drodze i kupuję jej parę japoniek za dwa dolary. Nie pytam, co się stało z jej butami. Kupuję też przybory, które Naomi trzyma w szafce naszej łazienki – płatki do demakijażu. Wracam do samochodu i wsuwam klapki na jej brudne stopy. Nie rusza się. Wycieram jej twarz. Wpatruje się przed siebie, jakby mnie nie było. Jakbym jej nie dotykał.

W restauracji otwartej całą dobę po drugiej stronie ulicy wygląda

przez okno, a ja zamawiam potrawy dla nas obojga. Na dworze jest na tyle ciemno, że w szybkach widać nasze odbicie. Ale ona patrzy poza nie. W najświeższą przeszłość, w przyszłość, nie wiem. Kiedy stawiają przed nią naleśniki, bierze jeden kęs. Krzywi się, jakby musiała przełknąć mokrą teksturę.

– Hej – mówię, chwytając ją za rękę. – Wiem, że nie jesteś głodna, ale poczuję się lepiej, kiedy zjesz coś ciepłego. Okej? Proszę.

Marszczy nos i spija trochę bitej śmietany z gorącej czekolady. Zamówiłem ją zamiast kawy, bo chcę, żeby zasnęła po drodze do domu.

– Dobrze – mówi cicho. Ale jej dłoń nie przesuwają się w stronę sztućców.

Przekrawam widelcem kielbasę na pół i moczę ją w kałuży syropu klonowego.

– Nie zmuszaj mnie do tego, Viv. Bo to zrobię.

Marszczy brwi, patrząc na mnie spode łba.

– Ziuuuuuu. – Udaję samolot, najlepiej jak potrafię.

Głośno. Kieruję widelec do jej ust. Kierowca ciężarówki z sąsiedniego stolika odwraca się i patrzy na nas. Staram się, żeby mój głos brzmiał jak głos pilota, cokolwiek to znaczy.

– Dostawca kielbasek prosi o pozwolenie na lądowanie. Odbiór.

Powstrzymuje uśmiech.

– Żartujesz w takiej chwili?

– Nie! Widelec z kielbasą do wieży, sytuacja awaryjna. Prosimy o zgodę na awaryjne lądowanie. – Próbuję wydobyć z siebie dźwięki naśladujące zakłócenia połączenia radiowego. A potem odgłosy awarii. – Neeeeer, neeer, aaaaah, aaaaah.

Vivi się śmieje, otwiera usta na tyle, że udaje mi się wetknąć w nie jedzenie. Kawałek kielbaski wypycha jej policzek.

– Boże, dobra, zjem ją.

Zjada całą swoją kielbasę i wypija gorącą czekoladę do dna, zostawiając jedynie pudrowe fusy. Później, ni z tego, ni z owego, parska śmiechem. Brzmi jak chichot, nieco szalony, a ponieważ to Vivi, melodyjny.

Udaje jej się wypowiedzieć kilka słów.

– Rzuciłam butami w jego drzwi. Nie wierzę, że to zrobiłam.

– Rzuciłaś butami?

– Tak. Wszystko inne jest wielką białą plamą, prawie nic nie pamiętam, jest jakby zamazane. Ale tego jestem pewna, bo... halo, nie mam butów! – Wyciera wargi papierową serwetką. Mruży oczy, jakby mocno się wysilała, żeby przypomnieć sobie coś sprzed lat, a nie sprzed paru godzin. – Uciekałam biegiem sprzed jego domu, a on zamknął za mną drzwi, żeby na osobności opowiadać żonie kłamstwa, czy nie wiem co. Buty mnie spowalniały, a byłam strasznie wściekła. Więc zdjęłam je, pobiegłam z powrotem do domu i rzuciłam jednym w jego drzwi – bum! – a zaraz po nim drugim, i wydaje mi się, że uszkodziłam je obcasem. Boże, zrobiło mi się tak przyjemnie. Pamiętam. To było takie, takie przyjemne. Potem w blasku chwały odjechałam na vespie. Ulotnej chwały. Potem poczułam taki smutek, że myślałam, że mostek mi się zapada.

Znam to uczucie. Wiem też, że emocje rodzą się w mózgu. Więc dlaczego ludzie odczuwają fizyczny ból w piersi? Dlaczego jest tak, jakbyśmy nosili wszystkie uczucia w głębi serca?

Płacę za posiłek i wyjeżdżamy z powrotem w drogę. Jest bardzo nieduży ruch, Vivi włącza cicho radio. Mówi non stop, wylewając swoje uczucia wartkim strumieniem. Staram się nie wtrącać. Skoro mówi, nie będę jej przerywał.

Rozumie, że mama usiłowała ją chronić. Ale jest wściekła. Nie wie, co myśleć o tym, że jej tata przez cały ten czas płacił alimenty. Ani jak ukrył to przed żoną. Czy się cieszy, że poczuwał się przynajmniej do tego? Czy może płaci jej mamie tylko po to, żeby nie powiedziała jego żonie? Po prostu nie wie. Ale wie, że nie jest jej przykro, jeżeli zrujnowała jego małżeństwo. Vivi rozumie, że można mieć tajemnice. Ale nie takie, kiedy nie mówi się żonie o nieślubnej córce.

– Boże, to taki padalec, nie mogę w to uwierzyć, Jonah. Poważnie, nie mogę w to uwierzyć. – Kręci głową. Nadal jest zła, ale z ulgą widzę, że jest ożywiona. – Wiesz, niektórzy zachowują się tak, jakby każdemu dziecku należało się dwoje odpowiedzialnych, kochających rodziców. Mnie się nie wydaje, że tak jest. Rodzimy się samotni i umieramy samotnie. Jeżeli trafi się dorosły, któremu naprawdę na tobie zależy, masz szczęście. Nie czuję goryczy z tego powodu, że wychowała mnie

samotna matka, naprawdę, nie. Ona mi wystarcza i jestem dumna ze wszystkiego, co dla nas robi, nawet wtedy, kiedy jestem na nią tak wściekła, że mam ochotę wrzucić jej płótna do ognia. Więc nie o to chodzi. Chodzi o to, że przeżyłam siedemnaście lat w przekonaniu, że mam rockowego tatę, który nie jest stworzony do ojcostwa, i zabrało mi to chwilę, ale zrozumiałam, że nie próbował mnie kształtować i nie mógł poradzić sobie z odpowiedzialnością, czy co tam. Tymczasem mój ojciec jest facetem, który jest odpowiedzialnym i usatkwowanym obywatelem, który ma rodzinę, który mieszkał na tym samym wybrzeżu przez całe moje życie. Jak musiałby się wysilić, żeby mnie poznać? Jest ojcem, więc dlaczego nie mógł być nim też dla mnie? Boże, teraz będę musiała pogodzić się z faktem, że jest beznadziejnym człowiekiem i że stamtąd wzięła się połowa mnie.

Następuje przerwa, chwila na reakcję. Myśl przychodzi mi do głowy tak szybko, że wydaje mi się, że nie jest moja. Po tych tygodniach z Vivi czasami wydaje mi się, że Vivi wywołała chemiczne zmiany w moim mózgu. Jakby przegrupowała neurony.

– Nie jestem wcale przekonany, czy to twój prawdziwy tata. – Kątem oka widzę, że odwraca się do mnie twarzą. Jej ciekawość sięga zenitu. – Współczesna nauka by się z tym nie zgodziła, ale nie znają cię. Moim zdaniem możliwe, że twoja mama jest twoją mamą, ale twoim tatą jest Człowiek z Księżyca. Tak tylko mówię. Nie zdziwiłbym się, gdybyś była w połowie córką Księżyca.

Zalega między nami cisza.

– Jonahu Daniels. – Wypowiada moje pełne nazwisko, co robi często, ale tym razem szeptem. Kręci głową. – Nie zasługuję na ciebie.

Znów milknie, ale tym razem chwyta mnie za rękę i ściska ją przez kilometry i kilometry, które pokonujemy. Kieruję jedną ręką.

Vivi:

Czas właściwie zatrzymuje się w moim pokoju. Telefon padł mi wczoraj i nie zawracałam sobie głowy tym, żeby go doładować. Z pokoju wyszłam tylko do najbliższej łazienki. Ale w końcu wzięłam prysznic, żeby nikogo nie odstręczała smutna blondynka, która rysuje wszystko w czerni i przyczepiła sobie czarną woalkę do opaski na głowie, jakby szła na pogrzeb taty swoich marzeń, tego, który mógłby mieszkać na łodzi ze ścianami obwieszonymi gobelinami.

Dzisiaj szkicuję własną pozbawioną wyrazu twarz, która odbija się w dużym lustrze – szeroko rozstawione oczy i niezauważalny nos. Podkreślam szczękę, cieniując ją i wymazując, włosy, ramiona i sweter, który zsuwa się z jednej strony. Szczegóły muszą być idealne. Kształt moich warg, wzór swetra. Bez względu na to, czy zabierze mi to minuty, godziny czy dni.

Kiedy jestem podobna do siebie, bez wyrazu, a jednak smutna, przyczepiam klamerką mój portret do sztalug. Robię pod oczami dwa maźgnięcia czarną wodnistą farbą, która ścieka po policzkach. Mieszam fiolet, czerń i biel i maluję siniaki na ramionach, w rozmaitych odcieniach fioletu. Wargi maluję na rubinowo. Rubinowo – to słowo mnie uderza i odpycham je od siebie, nabierając zbyt dużo farby, która cieknie z moich warg jak krew.

Później gryzmołę bezceremonialnie po oczach czarną kredką. Może później coś w to miejsce przykleję.

Przypuszczam, że większość matek byłaby przerażona tym małym portretem. Moja mnie prowokuje, a na końcu kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Jestem taka dumna, że wykorzystujesz kreatywną ekspresję, żeby poradzić sobie z tymi emocjami.

Wiem o tym.

Wiem też co innego: mój tata nie jest muzykiem. Mój tata był po studiach, kończył praktycznie doktorat, kiedy poznał moją mamę na koncercie w Berkeley. Jest prawie dziesięć lat starszy od niej, a ona dostrzegła w nim naukowca, który ją ujął. Miał włosy za uszy i niechlujną brodę. Był z innymi doktorantami ekonomii, którzy

świętowali urodziny jednego z nich. Tego wieczoru nie miał na palcu obrączki. A powinien był mieć.

Mam dwoje przyrodniego rodzeństwa. Mój przyrodni brat miał dwa lata tej nocy, kiedy mama zaszła ze mną w ciążę. Teraz jest na studiach. Moja przyrodnia siostra jest trzy lata młodsza ode mnie. Nie wiedzą o moim istnieniu, chyba że już się dowiedzieli. Nie czuję, że to moje rodzeństwo, bo nie mamy ze sobą nic wspólnego poza połową genów. Wydaje się, że to dużo. Ale tak nie jest.

Przez całe moje życie płacił alimenty. Część z nich znajduje się w funduszu, który będę mogła wykorzystać na studia. Część mama wydała na zakupy albo na opłacanie czynszu, kiedy byłam mała, do czasu, gdy kilka lat temu jej obrazy zaczęły się sprzedawać. Raz czy dwa kupiła mi za nie nowy płaszcz czy zapłaciła za opiekunkę, kiedy pracowała na dodatkową zmianę. Tłumaczyła mi to, jakby czuła się winna, ale dla mnie to niedorzeczne. Nawet nie wiem, co myślę na temat jego pieniędzy. Część mnie myśli, że jest mi to winien, przynajmniej tyle – że powinien ponieść przynajmniej finansową ofiarę za to, że okazał się takim nieprawdopodobnym dupkiem dla mojej mamy i dla mnie. Inna część mnie podpowiada, że nie chcę nic od niego. Nigdy.

Zaciskam palce na portrecie, a moje paznokcie wbijają się w cienkie linie farby.

Bo jest za późno. Pewne jego rzeczy są już moje – moje cholerne oczy, które chcę sobie wydrapać z głowy po tym, jak go poznałam. Może ten każdy raz w życiu, kiedy byłam obrzydliwie samolubna... może to nie był nastoletni egoizm, o którym mówiła moja mama. Może to on się we mnie odzywał. Może mam też genetyczne predyspozycje do porzucania, do narcyzmu, do kłamstwa.

– Nie żałuję, że cię mam i nie żałowałam ani przez chwilę przez całe życie, słyszysz? – mówi mama z takim żarem w głosie, że zmusza mnie, żebym przytaknęła. Owszem, słyszę i wiem to, wiem, że jestem dla niej całym światem, jak mówiła mi przez całe moje życie. Odkasznęła. – Ale jest mi bardzo przykro, że nie trafił ci się taki tata, na jakiego zasługujesz.

Nadal wydaje mi się, że jestem inną Vivi niż ta, którą byłam zaledwie kilka dni temu, i nie wiem, jak być tą nową wersją. Wiem

tylko, że nie mogę wrócić do niezliczonej ilości możliwości. Znam odpowiedź. I żałuję, że nie jest inna.

Nie twierdzą, że nienawidzę Jima Bukowskiego, bo wiecie, bardzo się staram, żeby w moim życiu nie było nienawiści. Tylko... Znacie to uczucie z niedzielnego wieczoru, kiedy ogarnia was strach przed rzeczywistością, świadomość, że zmarnowaliście czas, a przed wami niepokój związany z pracą domową i niekończąca się wizja wczesnego wstawania i szkoły? Więc ja mam nadzieję, że jemu to uczucie towarzyszy w każdej minucie życia. To wszystko.

Kiedy dzwoni dzwonek do drzwi, człapię na dół, żeby otworzyć, bo mama na chwilę wyjechała. To pan Hayashi, w mundurze, wyglądający na zmartwionego – służbowo – jakbym go tu zawezwała.

– Nie było cię dziś na śniadaniu.

Patrzę na niego.

– Mam kogoś aresztować w twoim imieniu?

Hm, jest to jakiś pomysł.

– Gdyby przypadkiem był pan w Berkeley, może pan aresztować mojego ojca. Oficjalnie jest oskarżony o to, że jest łajdakiem, który nigdy nie chciał mnie poznać i nienawidzi tego, że żyję.

– Faktycznie, bydlak. – Jego brwi opuszczają się w ten opiekuńczy sposób, który skłania mnie do przypuszczenia, że byłby w stanie warczeć. Chyba oczekuję, żeby powiedział, że mu przykro i że jego zdaniem byłabym wspaniałą córką. Ale on się prostuje. – Takie jest życie. Trzeba sobie jakoś radzić.

No, to wszystko, co ma do powiedzenia? Szkoda, że nikt mnie nie uprzedził. Że muszę sobie jakoś radzić! Pstryk! Chyba zajarzyłam. Mrużę oczy, patrząc na niego.

– Ma pan dzieci?

Ignoruje mnie i odwraca się do wyjścia.

– Musisz coś zjeść i się przewietrzyć. Siedzenie w zamkniętym pokoju nic ci nie da.

Znika, zanim zdążę wymyślić odpowiedź, więc zatraskuję drzwi i robię sobie oleistą czarną kawę. Naciskam tłok ekspresu mocniej, niż potrzeba.

– O, dobrze, wyłoniłaś się – mówi mama, wymachując kluczami,

kiedy wchodzi za próg. Wydaje mi się, że to trzeci dzień po mojej niemiłej przygodzie w Berkeley. – Czy ty w ogóle pamiętałaś, że dzisiaj rano odbierałam twój prezent urodzinowy?

Unoszę wzrok znad kawy. Nadal stoi w progu i spoza kuchennej wyspy nie widzę, co trzyma w ręce. Kiedy się pochyla, słyszę drapanie. Do kuchni wpada żywiolowy, biały psi puch, nie większy niż bochenek chleba, tupiąc małymi pazurkami po kuchennej podłodze. To miłość od pierwszego wejrzenia. Wzdycham.

– Zaraz, poważnie? – Biorę psa na ręce, jest taki ciepły i niespokojny, i ma dwie różowe wstążeczki na uszach. – Jest mój?

Psa chciałam, zanim zaczęłam rozumieć słowa, i z całą pewnością, zanim zaczęłam mówić. Ludzie twierdzą, że nie pamiętają najmłodszych lat, ale ja przysięgam, że pamiętam, jak siedząc w wózku, pokazywałam palcem mijane psy, rozpaczliwie starając się zakomunikować, że chcę, żeby jedna taka rzecz była moja.

– Jest twoja. Właścicielka przeprowadziła się do domu opieki i nie miała nikogo, kto by się nią zajął. Wabi się Sylvia.

– Sylvia – szepczę. To Sylvia, szelmowska, ale niewinna, starsza psina z białą sierścią, ale młoda duchem. Nie marnując czasu, zaczyna mnie lizać po szyi. Tak, maskotka ożyła, żeby dotrzymać mi towarzystwa w moim smutku.

– Viv – mówi mama z nieco bledszym uśmiechem. – Sylvia jest teraz twoim psem, więc na tobie spoczywa odpowiedzialność za nią. Ma tylko ciebie. Jeżeli z jakiegoś powodu cię nie będzie, ja nie będę się nią zajmować. Nie będę jej karmić ani wyprowadzać. Jasne? Rozumiesz?

Mrużę oczy i patrzę na matkę – sprytna kobieta.

Czasami mam wrażenie, że mama właściwie nie wie, co ze mną zrobić. Jej córka jest wirującym derwiszem, więc najlepsze, co może zrobić, to przygotować się na gwałtowny wiatr. Wiem, co chce mi powiedzieć przez tego psa: nie uciekaj, bo znów trafisz do szpitala. Teraz ode mnie zależy życie kogoś innego. Tej małej, niewinnej suczki, która liże mnie różowym językiem za uszami.

– Dobrze – mówię. Wiem, że to trik, a przynajmniej trik pod postacią prezentu, ale wiecie co? Wezmę go. – Rozumiem.

Na górze Sylvia krąży po moim łóżku, najpierw bada moje

pluszowe zwierzaki, a potem kładzie się wśród nich. Ja kładę głowę na poduszce obok niej i miło jest mieć towarzystwo kogoś, kto nie będzie chciał ze mną rozmawiać ani mówić mi, co mam robić. W końcu zasypia, a jej oddech jest tak ciepły, że czuję się tak, jakbym miała puchatą miniaturkę smoka w łóżku. Kiedy słyszy pukanie do drzwi, budzi się gwałtownie, szczerząc lekko. Nie będę znów rozmawiać z Hayashim.

Słyszę kroki mamy, a potem moje drzwi się lekko uchylają.

– Viv – mówi mama. – Jonah przyszedł.

Posyłam jej spojrzenie mówiące: i co z tego?, bo czuję się strasznie i nawet nie przejmuję się tym, że czuję się strasznie. Chcę zanurzyć się w sobie i nie chcę widzieć nikogo poza Sylvią.

– Viv – powtarza mama. – Daj spokój.

Chcę powiedzieć: daj spokój, nie bądź niegrzeczna, Jonah pojechał po ciebie do Coverdale, kocha cię, nie jest wrogiem tylko dlatego, że każdy na świecie wydaje ci się wrogiem. Nie mam ochoty nakładać makijażu, jest mi obojętne, że Jonah zobaczy mnie w zupełnie naturalnym wydaniu. Zwykle wcale nie jest mi to obojętne, ale dzisiaj nie mam energii, żeby być tą Vivi, bardzo mi do niej daleko. Więc pozwalam mu zobaczyć, że moje rzęsy są złotobrzowe, a nie gęste i czarne, że moje policzki tak naprawdę są blade, a nie oblane różem. Podnoszę mojego puchatego psiaka, żeby leżał mi na rękach. Chyba mu to odpowiada.

Kiedy staję w progu, widzę, że Jonah jest oszołomiony moją naturalną twarzą, bo nigdy wcześniej jej takiej nie widział. Nie czuje odrazy, tak myślę, jest tylko zaskoczony.

Otwieram drzwi trochę bardziej, żeby zobaczył Sylvię.

– To jest Sylvia. Sylvia, poznaj Jonaha.

– Hej – mówi. Uśmiech sprawia, że wygląda młodziej, jak Isaac.

Wyciąga palec, żeby Sylvia mogła go powąchać, a ona go obwąchuje. – Jest taka fajna.

– To prezent urodzinowy od mamy.

Uśmiech znika z jego twarzy.

– Jak się czujesz?

To dziwnie oficjalne, do tego role się odwróciły – Jonah zjawia się

bez zapowiedzi w moim domu, a nie ja u niego. Tyle że wydaje mi się, że Jonah się waha, jakby mój smutek był zbyt wielkim ciężarem. Nie mogę być jego skrzydłami, osobą, która podrywa go w górę w jego smutnych dniach. Jestem beznadziejnie przybita do ziemi i nie mam siły ratować kogokolwiek innego.

– Chodź – mówi.

Wyciąga do mnie rękę, wnętrzem dłoni do góry. Wiele rzeczy lubię w Jonahu Danielsie, a niektóre z nich są bardzo powierzchowne – jego włosy, jego silne ręce, te brązowe oczy. Ale kocham jego dłonie, których łatwo nie docenić. Wielu ludzi ma pulchne palce albo wystające kostki palców albo zaniedbane skórki. Właściwie nie zwraca się uwagi na dłonie, dopóki dwie naprawdę ładne nie trzymają twoich. Dłonie Jonaha są prostokątne, opalone i gładkie – naprawdę cudowne dłonie chłopaka.

Nie chcę wychodzić z domu, ale tak działa urok Jonaha – jest tak przystojny i tak dobry, tak dobry, że zjawia się nawet wtedy, kiedy wie, że z moim nieobliczalnym charakterem mogę go posłać do diabła. I nie mogę się powstrzymać: wkładam dłoń w jego dłoń.

Pozwalamy Sylvii biegać po wilgotnej trawie na klifie wiszącym nad oceanem. Za nami kwitnące drzewa sypią płatkami jak łzami. To moje ulubione miejsce w całym Verona Cove – które codziennie jest świadkiem, jak pozbywam się tabletek – i pewnie najspokojniejsze miejsce w tym cichym mieście. Ale na klifie jest głośno, kiedy się przysłuchać, bo pełen jest naturalnych odgłosów ziemi. Niebo jest błękitne, zimny wiatr porusza trawą.

– Jesteś pewna, że nic jej się nie stanie bez smyczy? – pyta Jonah, zawsze rozsądny dorosły.

– Tak.

Siadamy na krawędzi, ale nie za blisko, jakieś pół metra od siebie, bo nie mam ochoty na dotyk kogoś albo czegoś poza chmurami. Jonah opowiada mi, co wymyśliły maluchy, opowiada o zmianach wprowadzanych w restauracji, malowaniu ścian i nowych przepisach.

– W tym tygodniu padało przez kilka godzin – mówi, kiedy nie reaguję na żaden z jego wcześniejszych monologów. – Tego dnia, gdy byłaś w Berkeley.

Wiem, bo czułam zapach ziemi. Jonah bardzo się dzisiaj wysila,

jakby próbował do mnie podejść z każdej możliwej strony, szukając wejścia. Kiedy ja tylko myślę o tym, co powiedział, nie mówiąc nic w odpowiedzi, próbuje innej ścieżki, innego tematu. Moja dusza jest jak labirynt, a Jonah odnajdzie drogę. Muszę podziwiać ten rodzaj wysiłku, więc lituję się nad biedakiem.

– Wiesz – mówię. – W Botswanie słowem określającym deszcz jest to samo, które oznacza walutę: pula. Pada tak rzadko, że deszcz ma ogromną wartość.

– Tak?

– Tak. I wszyscy wiedzą o tańcach deszczu, ale niektóre kultury stosowały też inne rzeczy, żeby ściągnąć deszcz na swoje uprawy. Wiedzieli, który wódz plemienia urodził się w czasie burzy, i w okresie suszy wysyłali tych mężczyzn na włóczęgę po bezdrożach. Jak żywy talizman, który miał przyciągnąć deszcz.

– Wiele wiesz o deszczu.

– O deszczu wiem wszystko.

– Bo wychowałaś się w Seattle? – zgaduje Jonah, ale ja marszczę czoło. – Nie mogę sobie wyobrazić, że pada cały czas.

– Seattle nie znajduje się nawet na szczycie listy najbardziej deszczowych miast. I, mówię ci, słoneczne dni są jedyne w swoim rodzaju. A nawet, kiedy jest szaro, jest nadal pięknie i nadal to mój dom, i kocham go. – Spoglądam na niego. – Myślę, że to rozumiesz.

Spogląda mi w oczy, a ja mam nadzieję, że wie, o czym mówię.

– Tak, Viv, rozumiem.

Wiem, że jestem straszna – arogancka i nieustępliwa. Czasami potrafię określić fakty umysłem, ale nie potrafię ich poczuć. Chodzi mi o to, że wiem, że nie jestem zagłodzona i nie mam złośliwego raka. W nocy śpię w bezpiecznym, ciepłym łóżku i mogę jeść lody, kiedy tylko mam ochotę. Choćby w tej chwili – czuję słony ocean i wilgotny piasek w wietrze, który mierzwi moje włosy. Obiektywnie rzecz biorąc, wiem, że mam szczęście. Ale nie czuję, że jestem szczęściarą. Chcę zacząć całe moje życie od nowa – to znaczy, chcę, żeby moja dusza poleciała z powrotem w kosmos i wróciła w ciele innej dziewczyny, w innym życiu. I na pewno z innym ojcem.

– Ludzie o ciebie pytają – mówi. – Dwa miesiące, a ty owinęłaś

sobie wokół palca całe miasteczko.

Prycham, myśląc o moim porannym gościu. I ciekawość zwycięża z moją zasadą poznawania ludzkich duchów osobiście. Bo policjant Hayashi nosi obrączkę, ale od jego skóry promieniuje ból serca jak żar.

– O co chodzi z Hayashim? Jest żonaty, prawda?

– Hm. Był. Jego żona i córka zginęły w wypadku samochodowym, kiedy miałem... siedem? Osiem lat. Jego córka była wtedy na studiach.

Moja dłoń przesuwana się i zakrywa twarz, a ja ledwie jestem w stanie wyszeptać słowa.

– O dobry Boże. Stracił rodzinę?

– Ma syna. Dorosłego. Chyba ma dzieci. Mieszka w Portland.

Może powinnam pomyśleć, że Hayashi ma pełne prawo powiedzieć mi, że powinnam sobie jakoś radzić. Ale ja jestem w stanie myśleć tylko o tym, że świat czasami wydaje mi się tak bezsensownie smutny, tak przygnębiająco, niemożliwie, bezsensownie smutny.

Wpatruję się w dół w ocean, który odpływa dalej od brzegu, ale zakrada się falami bliżej, pomiędzy postrzępione klify. Żeby wylądować w wodzie, trzeba by dużego rozbiegu i korzystnego wiatru. Skacząc z pozycji stojącej, wylądowałyby się na skałach, ale przychodzą mi do głowy gorsze sposoby odejścia z tego świata. To byłoby jak latanie, jak szybowanie na wietrze, który właściwie nie stanowi oporu, a śmierć nastąpiłaby w jednej chwili, tak przynajmniej mówią. Mimo wszystko, Boże, to lądowanie. Wzdrygam się na samą myśl.

– Gdybyś chciał się zabić, jak byś to zrobił?

Jonah milczy przez kilka chwil, a ja się nie odwracam, żeby zobaczyć jego minę, bo nie interesuje mnie, czy jest przerażony, czy mnie osądza, czy jest urażony, nie obchodzi mnie.

– Jezu, Viv. Nie mam pojęcia. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

No tak, pewnie, że się nie zastanawiał, szlachetny Jonah i jego obowiązki wobec rodziny.

– Pytam hipotetycznie, Jonah. – Słowo daję, wrażliwość. Darujcie ją sobie, co? Nie rozumiem, jak często ludzie ukrywają swoje blizny i wątpliwości. Naprawdę, to nie w porządku wobec ludzi, którzy walczą, wierzyć, że wszyscy inni mają się zupełnie dobrze i nigdy nie

przemknęła im przez głowę żadna zła myśl. Na przykład wiem, że wy, ludzie, czasem nie możecie w nocy zasnąć, leżycie i zadręczacie się myślami o okropieństwach tego świata, śmiertelnością i złem. Wiem, że nie zawsze marzycie na jawie o tym, że jeździcie do pracy na różowym kucyku, a zawodowo zajmujecie się próbowaniem babeczek.

– Wierzysz w niebo? – Zawsze wydaje mi się, że nie wierzę w Boga, bo nie chodzę do kościoła i nie obchodzi mnie, co robią inni, o ile nikogo nie krzywdzą. Ale skoro to prawda, dlaczego czasem zwracam się pod nosem do wyższej istoty? „Proszę, pomóż mi”, mamrocę czasami. Albo złoszczę się na nieznaną postać w niebie za mój los. „To nie w porządku”, narzekam. „W ogóle nie jesteś wobec mnie w porządku”. Czasami wierzę w reinkarnację, a czasami wierzę w niebo, o jakim opowiada się małym dzieciom, ze złotymi ulicami, chórami na obłokach i wieczną szczęśliwością. Czasami nie wierzę w zupełnie nic, bo życie bywa takim tunelem czasoprzestrzennym rozpaczy, że nie pozostaje mi nic innego niż przekonanie, że jesteśmy zdani na siebie samych.

– Chcę – odpowiada Jonah po chwili.

– To nie to samo.

– Tak. – Wzdycha, jakby ta myśl pojawiała się w jego głowie z uporczywą częstotliwością. – Wiem.

I to tyle, jeżeli chodzi o Jonaha. Wyssałam z niego całą energię, pozbawiłam go ostatnich sił na to, żeby mógł przybrać radosną minę. Jeżeli chcecie kogoś odepchnąć, gorąco polecam rozważania na temat śmierci i teologii. Na pewno zadziała.

Przyglądam się, jak fale wzbierają i załamują się przy brzegu, wzbierają i załamują się. Czuję, że za chwilę rozsadzi mi klatkę piersiową z lewej strony. Serce jest taką dziwną małą bestią, kulką zwartych mięśni z wystającymi rurkami. Czasami myślę, że moje serce jest z gumy i że świat naciąga ją, skręca tak, że ona wije się w mojej piersi i boli. To dlatego przez większość czasu spędzonego na tej planecie nie czuję nic prócz bólu. Czasami wydaje mi się, że z porcelanowym sercem byłoby łatwiej. Gdybym pozwoliła mu wydostać się z mojego mostka, rozbiłoby się na podłodze i koniec. Ale ja mam bijące serce, które krwawi, kiedy świat wbija w nie pazury, ale bije

nadal, mimo bólu.

Sylvia obok nas węża polne kwiaty. Przysuwam się do Jonaha i siadam mu na kolanach. Siadam na nich jak dziecko, on mnie obejmuje, a ja wtulam twarz w jego ciepłą szyję.

Bez względu na to, w jakie niebo wierzysz, twój czas na ziemi dobiegnie końca. Chcę powiedzieć, że powinniście słuchać – naprawdę słuchać – szumu fal i dobiegającego z oddali śpiewu ptaków nad Pacyfikiem. Że powinnaś czuć puls chłopaka przy swoim policzku; powinnaś napełnić płuca oceanicznym powietrzem. Dopóki możesz. Powinno się robić te rzeczy, dopóki można.

– Słuchaj, Jonah – szepczę. – Możesz się do mnie zakraść i spać ze mną dzisiaj?

Zastanawia się przez chwilę.

– Tak. Tylko powiedz Sylvii, żeby nie narobiła rabanu.

Tej nocy wpuszczam go, kiedy mama zamyka drzwi do swojej sypialni i leżymy w zmiętej pościeli. Puchate ciało Sylvii unosi się i opada w nogach łóżka, gdzie leży zwinięta w kłębek jak obsypany cukrem pudrem pączek. Jonah i ja jesteśmy niespokojni, kiedy zasypiamy, jakbyśmy byli na wyboistej drodze do spokojnego celu. Splatamy się ze sobą jak para unosząca się znad kubka z herbatą – kręcimy się i wyginamy, poruszając się jedno nad drugim, jedno pod drugim, płynnie i bez ustanku.

Moja głowa spoczywa na jego ramieniu, więc czuję, kiedy jego oddech staje się wolniejszy, a wargi lekko mu się rozchylają, jak u śpiącego dziecka.

– Jonah – szepczę mu w policzek.

– Już dobrze – mówi z zamkniętymi oczami. Nawet się nie obudził.
– Już dobrze.

Wypowiada te słowa nawet we śnie, jakby powtarzał je tak często, że stały się w jego ustach stwierdzeniem automatycznym. Cały ten ból w jego życiu, cała ta troska, jaką okazuje wszystkim dookoła. A jednak otwiera swoje złamane serce jeszcze bardziej, na tyle mocno, żeby zmieścić w nim i mnie. Zastanawiam się, jak bardzo musi go to boleć, ile go kosztuje dawanie siebie mnie, kiedy tak niewiele zostało mu tego, co może dać.

We śnie obejmuje mnie i trzyma w bezpiecznym uścisku. Chce mnie chronić nawet w stanie nieświadomości, gdy leżymy pod niebem namalowanym na moim suficie.

Ta myśl sprawia, że serce mi rośnie – rośnie i pęka.

Jonah:

Wracam do domu po obiadowej zmianie i zastaję Feliksa, siedzącego z mamą przy kuchennym stole. Rozmawiają swobodnie przy kawie jak starzy przyjaciele. Mama ma na sobie džinsy i koszulę.

Wygląda na to, że przeszedłem przez jakieś wrota do przeszłości. Że cofnąłem się o jakieś osiem miesięcy, kiedy miałem mamę, która brała prysznic i funkcjonowała wśród żywych.

Dwa miesiące temu pomyślałbym: to dobry znak. Ale wykiwała mnie tyle razy, że wiem, że odgrywa przedstawienie dla Feliksa. Przedstawienie, którego nie jest w stanie odgrywać dla nas, choćby przez jeden dzień.

– Cześć, synu – mówi, wyczuwając moją obecność w drzwiach.

– Cześć. – Ta jedna sylaba z moich ust jest w stanie zburzyć równowagę. W każdym razie tak czuję. Jest taki film, który uwielbia Leah. Czarownica zamienia się w nim w księżniczkę. Jedynie kiedy spogląda w lustro, widzi w nim odbicie prawdziwej siebie. Gdybym zbliżył do mamy któryś z garnków ze stali nierdzewnej, ukazałoby się w nim jej odbicie w piżamie, z podkrążonymi oczami.

– Posłuchałem dobrej rady mojej córki, Maní – mówi Felix, wskazując papiery leżące na stole. – Zadzwoiłem rano do twojej mamy i poprosiłem o pomoc w księgowości.

– Wszystko jest w porządku? – pytam, chociaż wiem, że Felix i tak mi nie powie.

– Będzie – mówi mama. – Pójdziemy do restauracji i przejrzymy dokumenty, które są na miejscu. Możesz popilnować maluchów? Silas i Naomi powinni wrócić z pracy za godzinę albo dwie i cię zmienią.

Mrużę oczy. Denerwuję się, że mówi mi o tym tak, jakbym nie wiedział. Ona nie jest tu kapitanem, ale chwyta za stery, udając przed Feliksem.

– Jasne.

Felix zbiera papiery, a mama głaszcze mnie po policzku, kiedy mnie mijają. Sztywnieję, żeby nie odskoczyć. Nie chcę, żeby udawała, że czuje się lepiej. Chcę, żeby naprawdę poczuła się lepiej.

Czasami marzę, żeby zasnąć i obudzić się za dwa albo trzy lata.

Może będę w szkole kucharskiej. Może nie będę musiał pchać do przodu naszej załamanej rodziny. Może za kilka lat poukłada nam się na tyle, że będziemy mogli iść naprzód.

Drzemię na sofie, aż Bekah zaczyna marudzić, że jest głodna. Robię kanapki z kurczakiem i zmuszam wszystkich, żeby zjedli też sałatkę. Później idę z Leah do jej pokoju bawić się końmi. Plastikowe konie mają mnóstwo osobistych akcesoriów – szczotki, kwiaty do grzyw i wstążki na ogony. Ledwie wszystko rozpakujemy, kiedy słyszę, że Bekah i Isaac się kłócą. Potem słyszę huk. Cholera.

– Zostań tu – mówię Leah.

Na dole Isaac i Bekah nadal się kłócą. Wyrrywają sobie pilota do telewizora, oboje czerwoni ze złości i z wysiłku. Z ulgą widzę, że nie rozbili telewizora. To tylko oprawione zdjęcie, które leży na stoliku bocznym niedaleko pola ich bitwy.

– To on!

– To ona!

Mówią jednocześnie, a ja patrzę to na jedno, to na drugie.

– Ja tu byłam pierwsza – mówi Bekah. – I on wie, że chcę oglądać ten program!

– Ten program jest głupi, a teraz leci inny, o dinozaurach, mówiłem jej o tym w zeszłym tygodniu! – Isaac znów próbuje chwycić pilota.

– Przestańcie. – Wyciągam rękę. – Oddaj mi pilota. Nikt nie będzie niczego oglądał, bo zachowujecie się jak pięciolatki.

– Ale! – mówią oboje.

– W tej chwili. – Wyrrywam pilota z dłoni Bekah i wsuwam go do tylnej kieszeni spodni. – Zepsuliście coś, i to nie wystarczyło, żebyście przestali? Nie widzicie, że jesteście śmieszni?

Ostrożnie podnoszę zdjęcie, ale nie wypada ani jeden kawałek szkła. Jest tylko pęknięte przez środek od uderzenia o krawędź stolika, a pęknięcie rozgałęzia się kilkoma łukami na szybie. To ślubna fotografia moich rodziców. Szkło jest rozbite na ich uśmiechniętych twarzach. A ja już nigdy nie zobaczę, jak tata uśmiecha się do mamy w ten sposób. I pewnie nigdy nie zobaczę, jak mama uśmiecha się w ten sposób do nikogo, nigdy. Najlepsze lata ich życia przeminęły i czasami mam

wrażenie, że moje również. Że życie już nigdy nie będzie takie dobre. Kiedyś tego nie doceniałem.

– Program o dinozaurach jest edukacyjny – zaczyna Isaac, obstając przy swoim, jakby była szansa, że zmienię zdanie.

– Przestań, Jonah! Wystarczy już, że pozbawiliście nas kablówki! – krzyczy Bekah, napadając na mnie.

Rozbite zdjęcie mnie rozwaliło. Uderzyło mnie tam, gdzie boli – w moje rozbite miejsca. Chce mi się szlochać. Ale zamiast tego krzyczę, dając upust złości.

– Do jasnej cholery! Czy wy sobie jaja ze mnie robicie? – Mój głos odbija się echem od wszystkiego. Wypieram powietrze z brzucha. – Utrudniacie jeszcze bardziej wszystko, co i tak jest trudne! Rozumiecie, że ja mam siedemnaście lat? Nie jestem dorosły! A wy... kłóćcie się jak idioci i rozbiliście ślubne zdjęcie mamy i taty. Patrzcie, co zrobiliście!

Wyciągam zdjęcie do góry, a w oczach Bekah pojawiają się łzy. To powinno mnie powstrzymać, ale nie powstrzymuje.

– Macie przestać być takimi dupkami. Po prostu przestańcie. Nie jesteście jedynymi osobami w tej rodzinie, reszta nas myśli o sobie nawzajem bez przerwy. Wy myślicie tylko o sobie.

Stoją obok siebie, wargi im drżą i mają oczy szeroko otwarte. Łzy płyną im ciurkiem.

– Jonah – odzywa się Silas, który pojawia się w drzwiach. W jednej dłoni trzyma fartuch roboczy. – Wystarczy.

– Przepraszam – mówię do niego automatycznie i odwracam się z powrotem. Isaac wyciera policzek. Jestem najgorszym bratem wszech czasów. – Przepraszam. Nie powinienem był krzyczeć. Nie powinienem był... Przepraszam.

Wybiegam. Pędzę jak strzała. Kątem oka widzę rozmazane domy sąsiadów. Ciężar, który nosiłem na barkach miesiącami, w końcu mnie przygniótł. Moi bracia i siostry – jak długo jeszcze będziemy w stanie się trzymać? Mama – co robić, pozwolić jej smutkowi płynąć własną drogą czy zwrócić się do Feliksa? Mój tata – czasami nadal wydaje mi się takie nierealne to, że go nie ma. Pobudza mnie to do pytań o wszystko. Na dodatek restauracja – jego jedyne dziedzictwo, dorobek jego życia – ma kłopoty czy nie.

I ja. Co, do cholery, mam począć z moim życiem? Jeżeli czeka mnie taki sam los jak mojego ojca, zejdę z tego świata, nim skończę czterdzieści dwa lata. Kiedyś wydawało mi się, że to zaawansowany wiek. Teraz to niewiele więcej niż dwa razy tyle, ile lat mam w tej chwili. A przez osiem ostatnich miesięcy walczyłem o to, żeby przeżyć każdy dzień. Został mi jeszcze jeden rok średniej szkoły, i co dalej? Stopnie mam przyzwoite, ale nie rewelacyjne. Nie mam szczególnych zdolności, żebym dostał stypendium. Powinienem spędzać ten rok jak wszyscy – próbując coś wymyślić.

Mam właściwie dwa sukcesy życiowe: mój doskonały sos holenderski i fakt, że od stycznia pomagam zajmować się moją rodziną.

A ja na nich nakrzyczałem. Nazwałem ich dupkami.

Może nie powinno mnie być tutaj, przed drzwiami Vivi. Jest taka przybita. Ale potrzebuję jej w tej chwili.

Pukam do drzwi. Z zewnątrz dom przypomina budynek biurowy. Wielki sześcian z ostrymi krawędziami. Pukam znowu. Nikt nie otwiera. Ruszam, żeby przejść z boku domu, pod okno jej sypialni. Zwykle puszcza strasznie głośno muzykę w pokoju i nie słyszy pukania. Światło się świeci, okno jest otwarte.

– Vivi! – Nic. – Viv!

Próbuję kilka razy, aż w końcu udaje mi się wrzucić gałąź przez okno. Jeżeli nie ma jej w domu, będzie zaskoczona po powrocie, widząc gałęzie na środku pokoju. Ale wychyla głowę.

– Hejka, skarbie! – krzyczy z góry. Ma w uszach wielkie kolczyki, a na głowie czerwoną perukę zakończoną równiutko. – Wejdz, otwarte!

Pokój jest oknem cyklonu. Cyklonu z przyborami artystycznymi, kolorami i fakturami roztaczającymi się wokół niej. W maszynie do szycia leży długi pas tkaniny. Podparte płótno z kilkoma pociągnięciami morskiego błękitu i musztardowej żółci. Skrawki czasopism rozrzucone na podłodze. Teraz w telewizji leci stary czarno-biały film, ale głos jest wyłączony.

Czuję ulgę, widząc, że jej lepiej. Wygląda to tak, jakby cała jej kreatywność była stłamszona, a teraz wybuchła ze zdwojoną siłą.

– Hej – mówię, stojąc przez chwilę w progu. Macha jedną ręką, ale nie unosi wzroku z miejsca, w którym stoi na środku pokoju. Ma na

sobie jakiś szlafrok z luźnymi rękawami, jak kostium czarownika, i przenosi parę skrawków na otwartą gazetę. – Pukałem jak cholera.

– Sorki, misiu, chyba nie słyszałam. Moje myśli są takie głośne i zagmatwane, że niewiele poza nimi słyszę. Są jak wierzące się szczeniaki, zagłuszają się, żeby zwrócić moją uwagę. Ha.

Sama Sylvia nikogo nie zagłusza, śpi na łóżku. Vivi się podnosi. Spodziewam się, że podejdzie i zarzuci mi ręce na szyję, ale ona idzie do płótna. Siadam na brzegu jej łóżka, przykrytego pociętymi kocami, kawałkami tkanin, różnymi guzikami i biżuterią. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, czekałbym na pytanie, co tu robię. Ale to Vivi. Nie muszę się tłumaczyć. Nikt nie musi się tłumaczyć w świecie Vivi, a już na pewno nie ona.

Przechyla głowę na bok, przyciska pędzel u góry płótna i patrzy, jak kula w kolorze neonowego pomarańcza ląduje obok błękitu i żółci. Później maże linię, paćkając pędzlem po płótnie. Nie wiem, jak poruszyć to, dlaczego tu przyszedłem – rzeczy, które powiedziałem mojej rodzinie. Przychodzi mi do głowy inne pytanie.

– Mogę cię o coś spytać?

– Zawsze, skarbie, wiesz o tym. Jestem fontanną prawdy, przelewam się kolejno przez betonowe poziomy na sam dół po to, żeby znów trysnąć od góry. – Śmieje się do siebie.

– Myślałaś kiedyś o nas w kategoriach długoterminowych?

– No, jasne – mówi. Pac. Pac. Pac. Nie patrzy na mnie. –

Wyobrażałam sobie, że mieszkamy w małym mieszkanku w wielkim mieście, pijemy kawę w łóżku, ty mnie całujesz, wychodząc do pracy jako zastępca szefa kuchni w jakiejś ekskluzywnej restauracji, a ja jestem właścicielką sklepu vintage, w którym przerabiam ubrania, żeby były bardziej stylowe, i je sprzedaję. A niektóre zatrzymuję, bądźmy szczerzy. I, może, dowiaduję się, że jestem w ciąży. W pierwszej chwili reagujemy... o cholera, bo jesteśmy tacy młodzi, wiesz? Ale decydujemy się postawić wszystko na jedną kartę, rodzi nam się chłopiec, który jeździ z nami wszędzie, i jakoś funkcjonujemy, wiesz, jak mała miejska rodzina.

Więc widzi nas razem na dłuższy czas. Wygląda to na miłe życie. Jak najbardziej możliwe. Powiedziała to ot, tak, coś, co mogłoby być

moim dwu-, trzyletnim planem. Wielkie miasto, w którym nie brakuje rozrywki, praca, która będzie mnie interesować, i Viv, do której będę wracał do domu.

Nie skończyła.

– Ale musisz zrozumieć, skarbie, wyobrażam sobie wszystko.

Wyobraziłam sobie, że przeprowadzamy się do Indii, ja zakochuję się w tym kraju, ale tobie wydaje się za gorący i zbyt tłoczny, więc wracasz do Stanów. Ja zostaję i wychodzę za męża, całe dni noszę piękne sari i chodzę po targowisku w poszukiwaniu najbardziej kolorowych owoców i najlepszych tkanin. Wyobraziłam sobie, że poszedłeś na naprawdę piękny uniwersytet na Wschodnim Wybrzeżu, z mnóstwem dębów i zielonych trawników, odwiedzam cię w kampusie, ale kończy się tym, że mam romans z jednym z twoich wykładowców, głównie na biurku w jego gabinecie. Wyobraziłam sobie, że porzucasz życie tam i przeprowadzasz się do Jackson Hole, do chaty na odludziu, żyjesz z płodów ziemi, a ja przewracam dla ciebie moje życie do góry nogami, ale ty jesteś człowiekiem gór, a to nie jest życie dla mnie. Jednak w śnieżną zimę, przy trzeszczącym ogniu w kominku, wyobrażam sobie ciebie, jak przygotowujesz leśne specjały w rustykalnej kuchni, a ja marzę, żeby przenieść się do ciebie choć na jedną noc.

No i co ja mam na to powiedzieć? Ledwie za nią nadążam.

Wyjeżdżam z Indii albo idę na tradycyjny uniwersytet, na którym Vivi zdradza mnie ze starszym facetem, albo uciekam, żeby żyć w chacie na odludziu?

– Więc nie czeka nas wspólna Japonia?

– Oj, skarbie, kiedy marzę o Japonii, jestem zawsze sama. Ale nie bój się, może będę mogła cię odwiedzić w Jackson Hole! Na Boże Narodzenie byłoby najfajniej! Tej jednej nocy w Verona Cove nie jestem sobie w stanie wyobrazić: Bożego Narodzenia bez warstwy śniegu. Oj! Powinniśmy obchodzić święta w lipcu! To byłaby uciecha! Zróbmy to teraz! Na pewno jest tu gdzieś jakiś sklep, co?

Odwraca się do mnie, zapominając o malowaniu. Jej strój, skarbie, uciecha. Zachowuje się tak, jakby oglądanie starych filmów wyzwoliło w niej nową osobowość.

– Po pierwsze jest sierpień – mówię.

– Tak? – Odwraca się do mnie. – Niech mnie. Lato przecieka nam przez palce, *quelle tragique*... niestety. Nim się zorientujemy, trzeba będzie wracać do szkoły i... – Bierze głęboki oddech. Ja wykorzystuję tę chwilę, żeby wtrącić parę słów.

– Nakrzyczałem na Bekah i Isaaca.

– Nadal myślę, że może uda mi się przekonać mamę, żeby pozwoliła mi skończyć ostatnią klasę tutaj, byłoby fantastycznie, naprawdę... – Trajkocze dalej. Przesuwam dłoń po jej ręce. Dotyk sprawia, że spogląda mi w oczy.

– Viv, słyszałaś, co powiedziałem? Nakrzyczałem na młodszą siostrę i brata.

Prawie nie widzę jej niebieskich oczu pod mocnym makijażem.

– Nooo... a zasłużyli? Bo czasami trzeba krzyczeć, żeby zostać usłyszanym, a czasami trzeba otworzyć płuca i wypuścić z siebie słowa, bo cisną się w tobie i muszą się wydostać, rozumiesz, co mam na myśli? I...

– Nie – mówię, pokonany. Wypuszczam jej rękę z uścisku. – Nie, nie zasłużyli na to. To dzieci! Ale jestem wykończony ich kłótniami. Nazwałem ich dupkami.

– Ej! – mówi Vivi. – Myślisz, że sklep z narzędziami jest jeszcze otwarty?

– Co?

– Sklep z narzędziami. Potrzebuję parę rzeczy do projektów, i to natychmiast, żebyśmy mogła dalej pracować, i...

Miała ciężki tydzień. Rozumiem to. Czuję ulgę, widząc, że się pozbierała, ale dlaczego, do cholery, nie może mnie wysłuchać? Może potrzebuje, żeby jej to przeliterować.

– Viv. Nawaliłem. I to mocno. Nie wiem, co robić.

Odchyła głowę do tyłu i wpatruje się w sufit.

– Mój sufit doprowadza mnie do szału, jest pomalowany w połowie, więc powinnam to dokończyć dziś wieczorem, ale nienawidzę, nienawidzę, potężnie nie znoszę malowania narożników.

W porządku, dość tego, jestem wściekły. Tym razem to ja chcę się wyzalić, a ona nie może nawet udawać, że mnie słucha?

– Wiesz co, Viv? Pieprzę to. Właściwie nie wiem, po co tu

przyszedłem.

– Co za język, Jonahu Daniels – mówi, chociaż nie wygląda na oburzoną. – Nie jesteś jedynym człowiekiem z problemami, kochane dziecko.

– Zachowujesz się jak idiotka, rozumiesz? Jesteś pijana?

– Hej. – Odwraca się do mnie z płonącym wzrokiem. Pstryka bez przerwy palcami. Naćpała się? Nie. Jest zbyt pobudzona. – Jestem pod wpływem działania fali kreatywnego geniuszu i nie możesz rzucać we mnie obraźliwymi słowami. Nie jestem pijana, chyba że sztuką, muzyką i życiem.

Pokonała mnie. Szczerze mówiąc, jestem przerażony. Myślałem, że to ja jestem bliski wariactwa, ale najwyraźniej Vivi też. Skoro nie jest w stanie wyłączyć na parę minut swojej vivinowatości, żeby pomóc mi, kiedy tego naprawdę potrzebuję, poddaję się.

– Zapomnij o tym, Viv. Cieszę się, że masz wspaiały wieczór. Ja mam beznadziejny, ale kto by się mną przejmował, prawda?

– Ech, Jonah, przestań mnie traktować tak, jakbym była przeciwnikiem w sztuce o uzalaniu się nad sobą, którą piszesz. Nie jestem twoim czarnym charakterem, nie jestem twoją księżniczką. Jestem sobą i jestem niezależna. Nie możesz mnie ograniczać! Więc przestań. Zabijać. Moją. Twórczą. Energię. – Pstryknięcie palcami, teraz szaleńcze. – Nie możesz jej zabić! Przeżywam przełom!

Oto, czego się dowiedziałem w ciągu pięciu ostatnich minut: nie można być bardziej stukniętym niż Vivi Alexander. W skali od beznadziei do błogostanu nie spędza pośrodku ani minuty. Rozwala mnie swoimi zmianami nastrojów jak prawym sierpowym. Rozanielona! Wściekła! W tej chwili, z wściekłym spojrzeniem wypalającym moją skórę, nienawidzi mnie. Uczucie jest odwzajemnione, zatraskuję za sobą drzwi.

Parę minut później jestem u Feliksa, adrenalina we mnie buzuje. Przyszedłem tu pod wpływem instynktu, i nie mam żadnego planu. Przeżywam jedynie fale towarzyszące załamaniu. Kiedy chcę się odwrócić i odejść, słyszę głos Ellie.

– Jonah?

Stoi z boku domu z węzem ogrodowym w dłoni, częściowo

oświetlona przez zachodzące słońce. Chcę uciekać biegiem.

– Prawie skończyłam! – krzyczy. – Poczekaj sekundę!

Więc stoję na chodniku jak dupek, którym jestem. Przyglądam się, jak Ellie podlewa czerwone dalie i rudbekie. Mama kiedyś zajmowała się ogrodem. Podlewanie roślin należało też do moich obowiązków. W tym roku nasz ogród jest łysy.

Ellie zakręca wodę i zwija wąż. Jest wiele powodów, dla których lubię Ellie, dla których zawsze lubiłem Ellie, nawet wtedy, kiedy przyjaźń z dziewczynami była obciachem. Jest taka miła, że pewnie mogłaby nakarmić jelenia z ręki, jak jedna z księżniczek z filmów Leah. Ale w pierwszej klasie widziałem, jak ugodziła Patricka Lowensteina w brzuch, kiedy nazwał jej starszego brata cipą. Nie dlatego, że stanęła po stronie Diega. Wiem, bo krzyknęła: „Części ciała dziewczyn nie są synonimem tchórza!” – tuż przed tym, jak jej pięść zderzyła Patricka. Wydało mi się to cholernie fajne.

– Hej – mówi, podchodząc do mnie. – Tak mi się wydawało, że to ty. Chcesz wejść? Mama pewnie podgrzeje ci kolację...

– Nie – mówię. – Nie, dzięki.

Staje przede mną. Jej wzrok wędruje po mojej twarzy, z lewej strony na prawą, i odczytuje jej wyraz jak kartkę z książki. Coś jest nie tak – wiele rzeczy właściwie – i ona to wszystko dostrzega.

– Chodź – mówi.

Idę za nią na ganek. Czuję, że zachowuję się niegrzecznie, nie witając się ze wszystkimi, skoro tu jestem, ale uprzejmość dzisiaj nie jest moją mocną stroną. Zdecydowanie. Ellie klepie miejsce obok siebie na huśtawce na ganku, a ja siadam. Podciąga nogi do góry, opierając bosc stopy na siedzisku.

Ja stawiam stopy na betonie i opieram łokcie na kolanach. Nie jestem w stanie nawet patrzeć na nią w tej chwili, więc wciskam twarz w dłoń.

– Nakrzyczałem na Isaaca i Bekah. Nazwałem ich dupkami.

Popłakali się przeze mnie, a potem... Vivi... nawet mnie nie słuchała... Boże, chyba...

Chcę, żeby na mnie nakrzyczała. Albo, ej, ona chodzi do kościoła. Może wyznaczy mi liczbę zdrowasiek do odmówienia. To jest moja

spowiedź i chcę rozgrzeszenia. Ale Ellie głaszcze mnie po plecach. Przez pięć pierwszych sekund jej dotyk sprawia, że moje mięśnie robią się bardziej spięte, niż były. Pierś mi ciąży, jakbym miał się rozplakać, chociaż nie płaczę, i rozluźniam się.

– Jonah, jesteś bardzo dobrym bratem. Wszyscy czasami pękamy. Nie ma się czego wstydzić.

– Chyba jest. Czuję...

– Się winny. Wiem. Ale oni wiedzą, jak bardzo ich kochasz. Wiem, że starasz się nie okazywać maluchom, jak bardzo jesteś zestresowany, ale może musieli to zobaczyć?

Mama głaskała mnie po plecach, kiedy byłem mały. I właśnie w tym rzecz. Najwyraźniej jestem zmęczony rolą zastępczego rodzica. Ale tęsknię też za tym, żeby mieć rodzica. Czasami chcę być dzieckiem, chociaż to zawstydzające. Wiem, że mam siedemnaście lat. Nie powinienem potrzebować kogoś, kto będzie mnie głaskał po plecach i mówił, że wszystko będzie dobrze. Że nie zawałam wszystkiego tak, jak mi się wydaje.

Ale nadal nie jestem w stanie wydusić z siebie słów, więc Ellie mówi dalej, przesuwając dłonią pomiędzy moimi łopatkami.

– Wiesz, w zeszłym roku uczyłam się do ważnego testu z matematyki, a Lina zadrezczała mnie, żebym pobawiła się z nią klockami Lego. Przerywała mi: minęła już godzina? Już możemy? Byłam wykończona i zestresowana. W końcu jej powiedziałam, żeby się zamknęła i wynosiła.

W tej chwili zerkam na nią, nie bojąc się już tak natrafić na jej wzrok.

– Rozplakała się – mówi Ellie. – I ja też się rozplakałam, bo czułam się winna.

– Naprawdę? – Ellie, jedna z najmilszych osób, jakie znam, też doprowadziła młodszą siostrę do płaczu?

– Naprawdę.

– Hm. Nie mam pojęcia, jak im spojrzeć w twarz.

Wzrusza ramionami.

– Wrócisz do domu i przeprosisz. Postaraj się jak najlepiej wytłumaczyć, dlaczego zareagowałeś w ten sposób. Wrócą w

podskokach, zobaczysz.

Mnie po głowie chodzi tylko jedno: co będzie, jak zapamiętają to do końca życia? Co będzie, jeżeli mimo że przez tyle czasu wychodzę z siebie, żeby mieli dobre życie, oni zapamiętają tylko to, że wyzwalałem ich od dupków?

– Mam nadzieję.

– Chyba czas porozmawiać z twoją mamą. – Jej dłoń zatrzymuje się na środku moich pleców. – Powiedzieć jej, że nie jesteś w stanie dłużej tego ciągnąć. Jonah, znam ją od zawsze. Gdyby miała świadomość tego, co robi tobie, Naomi i Silasowi, byłaby zdruzgotana. Potrzebuje pomocy dorosłych. Terapeuty albo grupy.

Kiedy odwracam się, żeby na nią spojrzeć, cofa dłoń.

– Tak, wiem. Po części dlatego tak dzisiaj wybuchłem. Twój tata wpadł do nas dzisiaj, a mama udawała, że wszystko jest w porządku. Nic nie zauważył. Wkurzyłem się, że dla nas nie może udawać, ale dla kogoś obcego, owszem. Więc ja też nie mogę już dłużej udawać. Nie jestem w stanie dłużej udawać, że wszystko jest w porządku.

Nie uświadamiałem sobie, jakie to prawdziwe, dopóki tego nie wypowiedziałem.

– Powiem mamie, że musi z kimś porozmawiać. Szybko. A jeżeli nie... powiem twoim rodzicom, co się dzieje. – Z trudem przełykam ślinę i czuję, że jabłko Adama uwięzło mi w gardle. Nie podoba mi się wizja stawiania ultimatum własnej matce. – Chyba... chyba tego chciałby ode mnie mój tata.

W końcu opieram się na huśtawce i odrywam lekko nogi od ziemi. Huśtawka skrzypi, kiedy bujamy się w tył i w przód. W końcu Ellie odzywa się cichym głosem.

– Ja też tak myślę.

– Dzięki. – Nie wiem, co innego mogę powiedzieć. – Przykro mi, że tu przyszedłem się tobie wyżalać.

Teraz, kiedy się uspokoiłem, nie mogę uwierzyć, że wparowałem tu jak wściekły pies, szalejąc ze złości. Ona wykonywała swoje domowe obowiązki, a ja wtargnąłem na trawnik jak pacjent z zakładu dla psychicznie chorych, który uciekł z oddziału.

– Cieszę się, że to zrobiłeś. Naprawdę, Jonah.

Spoglądam na nią i widzę, że się waha.

– Gdyby sytuacja była odwrotna, to znaczy, gdybym to ja straciła tatę, chyba mogłabym na was polegać. Bo nasze rodziny się znają. Nie tak, jak znają się ludzie ze szkoły. Wiemy, jak wyglądało nasze dzieciństwo, znamy swoje dziwactwa, wstydlive chwile i tak dalej.

Ja właśnie przeżywam jedną z tych wstydlivych chwil. Bez względu na to, jak miła jest dla mnie Ellie, ta sytuacja nie jest miła. Wstajemy, ona klepie mnie po ręce, bo uścisk chyba byłby dziwny. Mówię: „Na razie”, jak niedojda, jakby to było zupełnie beztroskie spotkanie, i ruszam do domu.

Wszystko dzieje się szybko po powrocie. Siedzam Bekah i Isaaca na kanapie i przepraszam ich, że straciłem panowanie nad sobą. Mówię, że się martwię o nich i o mamę i że cały czas tęsknię za tatą. Nazbierało się tego wszystkiego za dużo i wybuchłem.

– Nigdy nie mówisz, że tęsknisz za tatą – szepcze Bekah.

– Bek, oczywiście, że za nim tęsknię. Cały czas. Za każdym razem, kiedy widzisz mnie w kuchni wśród garnków i patelni, tęsknię za nim.

Przez cały ten czas wydawało mi się, że mówienie o tym, jak bardzo tęsknię za tatą, dołoży im ciężaru. Ale widzę, że oboje czują ulgę i spoglądają na siebie wymownie.

– Kiedy jesteś smutny, powinieneś o tym mówić – odzywa się Isaac. – Wszyscy powinniśmy, okej?

– Okej – mówię. – Okej.

Telefon budzi mnie w środku nocy, wibrując bez przerwy. Pięć nieodebranych połączeń i siedem wiadomości, wszystkie od Vivi.

„Obudź się!! Czeeeeść, Jonah, dalej. Zejdź na dół. Tylne drzwi. Jestem tam. Celowo mnie ignorujesz? Jonah, poważnie!!”

„Poczekaj”, odpisuję, żeby zyskać na czasie. Jeżeli zejdem, może się skończyć krzykiem. A może chce tylko przeprosić? Jeżeli nie zejdem, prawdopodobnie obudzi moją rodzinę albo i tak się tu zakradnie. Albo jedno i drugie. Powoli schodzę po schodach, wstrzymując oddech i krzywiąc się przy każdym najmniejszym skrzypnięciu. Wychodzę na zewnątrz do ciemnego ogrodu, uważając, żeby nie zatrzaskać drzwi.

– Wreszcie – mówi Vivi, zbyt głośno. Ma na sobie kostium, kapelusz fedora i prochowiec khaki, rozpięty, żeby było widać

dopasowaną nocną koszulę. – Poważnie, Jonah, byłam o krok od tego, żeby przerzucić się na kogoś innego. Nie ma co, kazać dziewczynie tyle czekać.

– Cały czas jestem na ciebie wściekły. – Brzmi to dziecinnie, ale głównie mnie to obchodzi. Właściwie zignorowała mnie akurat w chwili, kiedy ten jeden jedyny raz w ciągu ośmiu miesięcy zależało mi na tym, żeby ktoś zwrócił na mnie uwagę.

– To dobrze – mówi. – To znaczy, niedobrze, ale trudno, nieważne, nie obchodzi mnie to. Ja też jestem na ciebie wściekła.

– O co?

– O to, że ty jesteś wściekły na mnie. – Przysuwa się na tyle blisko, że jedna jej noga znajduje się pomiędzy moimi. Połowa jej ciała przywiera do mojego. Jej kapelusz muska moją brodę. Przyciska wargi do nasady mojej szyi, ciepłe i pełne. Z doświadczenia wiem, że na pewno zostawiła czerwony ślad.

– Viv, nie. To nie zadziała – kłamię. Jej perfumy mnie upajają. Wypełniają moje nozdrza i płuca. Czuję, jak przedostają się do systemu krwionośnego i płyną we mnie.

– W porządku – szepcze przy moim uchu. Przesuwa dłoń na mój kark.

Zmagam się ze sobą, żeby utrzymać ręce przy sobie.

– Nie działa.

– Jonah...

Jej dłonie odnajdują moje nadgarstki i przyciągają je do siebie. Wsuwa moje dłonie pod swoją nocną koszulę, po obu stronach jej ciała, a potem w górę, po nagich biodrach. Nie ma pod spodem nic. Chociaż mój umysł jest na nią wściekły, cała reszta mojego ciała reaguje. Umysł się nie liczy. Wie, że ze mną wygrała.

Jej wargi na moich, a ja odwzajemniam pocałunek niemal ze złością. Czuję, że na jej ustach pojawia się uśmiech. Moje myśli wirują nieskładnie, kiedy błądzi dłońmi po moim brzuchu. Jak by nie mogąc się dostać do mojej głowy, sięgnęła do spodni. Nie chcę czuć, że robi to, żebym przestał się na nią gniewać.

– Viv, nie chcę, żebyś mnie przeproszała. Nie w ten sposób. – Słowom trudno się wydostać.

– Ha – mówi. – To nie są przeprosiny. Dlaczego miałabym przeproszać, skoro jestem na ciebie wściekła? Ale w tej chwili nie mam ochoty na kłótnie, Jonah. Wolę się na tobie wyładować. W ten. Sposób.

Popycham ją na trawnik, aż znajdujemy się za szopą, ukryci. Przywiera do mnie, z dłońmi w moich włosach. Przez pół sekundy usiłuję się uwolnić. Zawsze następuje ta chwila, kiedy przerywamy i spoglądamy na siebie z przelotnym uśmiechem. Ale dzisiaj Vivi nie zwalnia. A mnie się wydaje, że chyba dlatego czuję, że coś jest nie tak.

Ale po chwili nie czuję nic poza Vivi.

Vivi:

Po drodze do Jonaha wczoraj wieczorem minęłam białą skrzynkę na listy z metalowymi cyframi: sześćdziesiąt sześć. Nie ma mowy, pomyślałam, spoglądając na cyfry, które napisałam parę godzin temu w mojej sypialni. Wycinałam rozmaite zdjęcia mody z czasopism, bo miałam zamiar coś z nimi zrobić, właściwie nie pamiętam co, ale mój wzrok padł na stronę sześćdziesiątą szóstą. Sześćdziesiąt sześć jest ładną liczbą – nie jest odbiciem lustrzanym ani nic takiego, ale jest okrągła. Zakręcona i pełna. A co najważniejsze, moje imię zapisane dużymi literami tworzy rzymską liczbę: VIVI.

Okej, formalnie nie jest to rzymska cyfra, która oznacza sześćdziesiąt sześć, ale chyba możemy się zgodzić, że jest bardzo blisko. Miałam wrażenie, że strona z czasopisma mnie woła – dlaczego, ze wszystkich stron, mój wzrok padł akurat na tę? Więc zapisałam ją sobie na dłoni i wykonałam jakieś bardzo ważne zadanie w moim pokoju. W końcu poszłam do Jonaha, bo marzyłam o czyichś wargach na moich, tak jak marzy się o lemoniadzie w upalny letni dzień, jakby była to jedyna rzecz na świecie, która wydaje się fajna, jakbym odczuwała ból, dopóki jej nie dostanę.

Coś się szykuje, czuję to w kościach. Moje zmysły wzbudzają dreszcz na rękach i na karku. To coś takiego jak słonie, które wyczuwają nadchodzące trzęsienie ziemi dzięki swojemu słuchowi albo wibracjom. Z tą różnicą, że ja wyczułam liczbę. Wpatrywałam się to w cyfry na skrzynce pocztowej, to na te wypisane niezmywalnym markerem na mojej dłoni. Wszechświat starał się ze mną porozumieć. Jakie są szanse, że po raz pierwszy w życiu napiszę na ręce przypadkową liczbę, a potem natknę się dokładnie na nią? Widocznie wcale nie była przypadkowa, ale, w takim razie, co oznacza?! Skrzynka była znakiem, więc otworzyłam ją i zajrzałam do środka – znalazłam kopertę, różową, z imieniem dziewczyny i adresem w Virginii.

Zacisnęłam powieki i odwracałam kopertę w dłoni, a kiedy otworzyłam oczy, mój wzrok padł na 1011, adres ulicy wypisany na kopercie. „Jeden-zero-jeden-jeden”, wymruczałam do siebie, szukając w torebce długopisu i zapisałam to pod liczbą sześćdziesiąt sześć na dłoni.

Więc krążę po mieście i czekam, aż na rękach pojawi się ta gęsia skórka, czekam, aż trafię na następny trop 1011, który, jestem pewna, chce, żebym na niego trafiła. Na Main Street w nocy nie ma żywego ducha. Wszystko jest takie spokojne, piękna Verona Cove, z latarniami, które świecą jak planety, a ja prawie widzę historię miasteczka – od dawnych czasów, kiedy kobietom wolno było chodzić tylko w spódnicach. Miasto mnie pochłania, a ja chcę podążać w każdym kierunku – na przedmieścia, do śpiących dzielnic i na plażę, bo nigdy nie wiadomo. Jestem wszędzie, przez sekundy, godziny, wieczność, na łowach. Widzę wszystko, co można zobaczyć.

Słońce wschodzi, kiedy znajduję się w centrum miasta. Hm. Żadnych wskazówek. Może źle zrozumiałam ostatnią. Musi gdzieś być 1011. Przechodzę szerokość restauracji Betty, czytając białe litery na szybie. Wypisane są godziny otwarcia w każdym dniu tygodnia i, o mój Boże, o mój Boże.

Czwartek: 5.00–10.00

Piątek: 5.00–11.00

W postaci kanapki jest – 1011, pionowo, na środku.

Wiedziałam, wiedziałam, że liczby poprowadzą mnie naprzód, i wpadam za drzwi restauracji ze świadomością, że wszechświat mnie widzi i że zaplanował dla mnie coś wyjątkowego.

– Dzień dobry, laleczko – mówi Betty, kiedy siadam przy stoliku. – Wyglądasz jak detektyw. Ale lepiej się zapnij.

Zerkam na moje kolana, pomiędzy rozpostartymi połamami prochowca widać moją nocną koszulę, którą, jak wiecie, nie mogłabym się przejmować mniej, ale zapinam płaszcz tylko dlatego, że Betty jest moją przyjaciółką, i za wiele mam teraz na głowie, żeby się sprzeczać. Chyba nadal mam na głowie fedorę, którą wczoraj wieczorem miałam u Jonaha, bo próbowałam się tam zakraść i liczba sześćdziesiąt sześć tłuła mi się po głowie.

– Pan Hayashi o ciebie pytał.

– Dlaczego? – Mój wzrok pada na nią, a mnie ogarnia panika. – Nic złego nie zrobiłam.

– No jasne, że nie. Chyba spodziewał się ciebie na śniadaniu, jak zwykle – mówi Betty. – Wszystko w porządku, skarbie?

– Jasne! Naprawdę czuję się pierwszorzędnie, chodzę po mieście, bo mam misję, nie jestem stuprocentowo pewna, dokąd mnie zaprowadzi, ale wszystko będzie dobrze, Betty, zobaczysz.

– A co ma być dzisiaj rano? Naleśniki? Omlet wegetariański?

Od początku lata próbowałam przerobić całe menu po kolei, ale w końcu nie mogłam, bo musiałam robić to, co dyktują mi uczucia. Teraz nie mam pojęcia, co robić. Żadne z dań nie kosztuje dziesięciu dolarów i jedenastu centów. Naleśniki kosztują cztery dziewięćdziesiąt dziewięć, realny omlet wegetariański pięć czterdzieści dziewięć, chyba że weźmie się dodatkowe warzywa, realny wtedy... więcej, mój umysł pracuje za szybko, żeby dodawać, muszę to zapisać.

– Dać ci chwilę? – przypomina o sobie Betty.

Zapomniałam, że tu stoi, Boże, to niemożliwe. Skąd mam wiedzieć? Oddycham głośno przez nos. Sześćdziesiąt sześć zaprowadziło mnie od gazety do skrzynki na listy, potem 1011 przyprowadziło mnie tutaj, i co dalej? Odrzucam wszystkie możliwości, bo nic nie pasuje. Nic się nie sumuje... Ale właściwie potrzebuję nowej liczby, tak jak 1011 ze skrzynki. Ale co dalej? Los! Zostawiam to losowi.

– Betty, możesz zdecydować za mnie? To znaczy, zaskocz mnie, co? Lubię wszystko, więc będzie super, cokolwiek wybierzesz, dobrze?

– Wypuszczam głośno powietrze. Nieźle. To właściwy plan. Następną liczbę wezmę z rachunku, kiedy go dostanę. Tak miało być!

– Dobrze, słoneczko. Koło fortuny.

Piję kawę, której nie potrzebuję, bo przynajmniej mam jakieś zajęcie, kiedy myślę, mnąc przy okazji serwetkę, przekładam saszetki z przyprawami i cukrem. Betty przynosi mi stos gofrów, a ja nie jestem właściwie głodna, ale zjadam je, żeby jak najszybciej przyniosła mi rachunek. Kiedy go mam, przyglądam się cyfrom. Całkowita suma wynosi siedem sześćdziesiąt. Siedem-sześćdziesiąt. Moja kolejna wskazówka. Nadchodzę, świecie!

Nie wiem, jak długo właściwie szukam, ale znów jest noc, a ja mam puste ręce, jeżeli chodzi o mądrość liczb. Więc wpadam do domu, żeby rozejrzeć się po nim za liczbą siedemset sześćdziesiąt. Mama jest w kuchni z przyjaciółką malarką stąd, piją wino, są elegancko ubrane.

– Cześć – mówi. – Zaczynałam się zastanawiać, gdzie jesteś.

– No, wiesz, bawię się z dziećmi u Jonaha – mówię, mijając je pośpiesznie. Jonah. Magiczne słowo, wystarczy je szybko wspomnieć, i wszystko, co robię, jest usprawiedliwione, niewinne i bezgranicznie dobre.

Śmieje się i przewraca oczami, patrząc na przyjaciółkę. Kiedy jestem w połowie schodów, słyszę, jak mówi, że prawie ciągle nie ma mnie w domu, że cały czas spędzam z moim fajnym chłopakiem, no, wiesz, nastolatki latem, trzeba się z tym pogodzić.

Na prochowcu mam trochę piachu, ale nie mam pojęcia, skąd się wziął, więc wyjmuję nowy strój z szafy – kolorową spódnicę, która trzyma mi się nisko na biodrach, ale sięga do samych kostek. Zakrywa dużo ciała, więc wybieram do niej czarny top bez ramiączek, który odsłania kawałek brzucha. Fedorę rzucam na łóżko i wciskam na rękę bransoletki. Jestem brzdąkającą, jasną wizją. Wizją! Sylvia tańczy po moim pokoju, okazując całkowitą aprobatę.

Moją uwagę przykuwa laptop i myślę, dlaczego nie? Szukam siedemset sześćdziesiąt.

O, święta matko nieskończonych gwiazd. To jeden z kodów pocztowych San Diego. Mam!

W tej samej chwili zaczynam się zastanawiać, dokąd prowadzi mnie wątek tej liczby. Może to być wszystko. Może to być coś, z czego istnienia reszta świata nie zdaje sobie nawet sprawy. Może to być tajemnica podróży w czasie.

Może wszechświat postanowił wyjawić swoją tajemnicę tylko mnie i, jeżeli będę podążała tropem liczb, będę pierwszym człowiekiem, który ją pozna? Och, gdzie wybrałabym się najpierw? Może w tej sprawie wszechświat też da mi znak liczbą! Do lat dwudziestych, do czasów mojego baletu, do sufrażystek i jazzu? Mam wielką nadzieję. Jestem zachwycona, że to ja jestem tą wybranką i sprawię, że wszechświat będzie ze mnie dumny. Całe moje życie zmierzało do tego. Dłonie mi drżą pod wpływem świadomości, że zmierzam do czegoś tak znaczącego. Może odnajdę to w San Diego, a może San Diego da mi po prostu liczby, które zaprowadzą mnie dalej, ale nieważne: będę podążać za wskazówkami w każde miejsce.

Kluczyki do mojej vespy brzęczą w mojej dłoni, a ja krzyczę do mamy, że wrócę później, ale ona nawet nie podnosi wzroku, śmieje się z przyjaciółką, Bóg wie z czego.

Wpadam na Jonaha na moim ganku.

– Hej – mówię, mijając go pędem. Jestem dziewczyną z misją.

– Hej. – Biegnie obok mnie truchtem, aż widzę go kątem oka. –

Wszystko w porządku?

– Wszystko jest cudowne, kochanie, ale muszę lecieć. Mam randkę z historią.

Idzie obok mnie dalej.

– Nie wiem, co to znaczy.

– Ja też nie, tak naprawdę, ale się dowiem, prawda?

Czuję, że chwyta mnie za rękę. Wzrokiem mierzy całe moje ciało.

– Co ty masz na sobie?

– Ubranie, a na co wygląda?

Marszczy czoło, co za nudziarz, słowo daję.

– Viv – szepcze. – Ten stanik jest zupełnie prześwitujący.

– To jest top i mam to gdzieś. I tak wszystko już widziałeś! –

Parskam śmiechem i na chwilę opuszczam mój top, bo mam taką fantazję. Jonah wygląda na przerażonego i naciąga go z powrotem, rozglądając się, czy któryś z sąsiadów nie widział moich nagich piersi przez ten ułamek sekundy, na który je uwolniłam. Świętoszek. – Wyluzuj, mój kochany, wszystko jest wspaniałe i nie ma się czym martwić.

Jonah marszczy czoło i w tej chwili naprawdę mnie wkurza.

– Między nami w porządku?

Hm.

– Jasne. Dlaczego miałoby być inaczej? To znaczy, u mnie jest świetnie, nie wiem, jak u ciebie.

Obejmuje mnie w pasie i ciepło jego rąk na mojej skórze jest takie miłe, kojące.

– Nie odzywałaś się cały dzień. Nie odpowiadałaś na moje esemesy. Nie wiem. Pokłóciliśmy się, a potem... przyszłaś wczoraj wieczorem i... Nie wiem.

Mój umysł z trudem przyswaja jego słowa, bo patrzę na jego wargi

i moje ciało jest jak dźwięk: hmmmmmmmm, od czubka głowy po koniuszki palców. Przyciągam go do siebie, bliżej, bliżej, całuję z całą żarliwością, jaką czuję. Czuję, jak ciepło rozlewa się po całym moim ciele, i nie mogę wymyślić żadnego powodu, dla którego miałabym się z nim nie rozebrać, tu i teraz, na oczach Boga i sąsiadów, bo naprawdę mam to gdzieś. Seks jest rzeczą naturalną, wiecie, wielkie mi halo.

Odsuwa się ode mnie.

– Hej. Możemy po prostu porozmawiać?

Jezu. Słowo daję. To się nazywa dać po hamulcach, a mogliśmy mieć taką cudowną nagą przejażdżkę roller-coasterem, ale nieważne.

– Nie. Jestem na misji. Muszę lecieć, bo czekają na mnie wielkie rzeczy.

– Dokąd jedziesz?

– To niespodzianka. – Wsiadam na vespę, mojego szlachetnego ogiera.

– Mogę jechać z tobą?

Nie! Zaraz. Może się przydać do pilotowania. Nie mam planu, będzie dość łatwo pojechać na południe i szukać znaków na San Diego albo kolejnych liczb, jak już tam dojadę, kto wie?! Ale chyba może jechać.

– Dobra. Jasne. Wskakuj, pilocie.

Jego twarz znika pod kaskiem, a on podaje mi nowy.

– Hm, nie. Nie mogę być uwięziona w tym czymś, nie mogę oddychać.

– To niezgodne z prawem, żebyś jechała bez niego. Dostaniesz mandat, jeżeli go nie włożysz.

Już rozwala całą przygodę, a ja zastanawiam się, czy nie wcisnąć gazu i nie zostawić go tu samemu sobie. Ale cholernie się spieszę, więc wkładam ten głupi kask na głowę i uruchamiam silnik, który mruczy jak kot – nie, jak jaguar! – gotowy prrrruć!

Pędzimy przez Verona Cove, a ja upajam się rytmem vespy pode mną, tak jak jeździec, który czuje bicie serca konia pod sobą i który jest jednym z koniem.

To moje niezrealizowane marzenie, żeby być dżokejem w welwetowej czapce, wysokich skórzanych butach, bo kocham konie,

kocham ich dumny wygląd, ich ducha, ich lojalność, a nawet nazwy maści – gniady, izabelowaty, srokaty – i zawsze wydaje mi się, że jeźdźcy wyglądają jak zespoleni z koniem, oboje sterowani przez ten sam system, jak pień i gałąź, tyle że w tym przypadku nie można stwierdzić, kto jest kim, bo poruszają się razem. Vespa i ja oddychamy równocześnie, kiedy ona galopuje pode mną, a ja ściskam lejce, mocniej i mocniej.

Droga przechodzi w autostradę numer 1, a może wcale się tak nie nazywa, tylko ja tak uważam, bo to autostrada numer 1 na świecie, moim zdaniem. Po lewej stronie mijamy drzewa, drzewa i małe domki, a prawa opada do oceanu.

– Viv, zjedź! Zjedź! – krzyczy Jonah, bla bla bla, przesadza, trzymając mnie o wiele za mocno w pasie, bla bla bla. – Przysięgam, Vivi!

Nie słyszę go właściwie, aż wbija mi paznokcie w zębra i czuję to ujadanie.

Kiedy w końcu zjeżdżam na pobocze, czuję, że zeskakuje z motoru. Odwraca się do mnie, ściąga kask.

– Co się z tobą dzieje?

Podnoszę plastikową przesłonę kasku.

– Ćśśś, przestań krzyczeć, nie słyszę własnych myśli, Jonah!

– Pędzisz jak naćpana! Nie widziałaś znaku stopu z tyłu?

– Oj, Jonah. Znaki stopu to tylko czerwone ośmiokąty, którym ludzie przypisują jakąś moc.

– Ja poprowadzę. Daj mi kluczyki. – Stoi na trawie, na zakręcie, i stał się zakrętem na mojej drodze. Nie mogę pozwolić, żeby powstrzymał mnie przed moim przeznaczeniem. – Odwiozę cię do domu, bo jesteś ewidentnie pijana, naćpana albo jedno i drugie.

– Nie jestem i nie zrobisz niczego takiego.

– Viv, w tej chwili cholernie mnie przerażasz, jasne? Bla bla bla bla bla bla. – Tylko tyle słyszę, więc kiwam głową w przód i w tył, la la la, nie słucham, nie obchodzi mnie to. Włączam się jedynie na koniec jego podniosłej paplaniny, którą wygłasza z czerwoną twarzą. – Więc wolę wrócić do domu na piechotę.

– Jak dla mnie, wracaj do domu na piechotę, cześć! – krzyczę i

żałuję, że nie siedzę na skuterze, żebym mogła uciec od niego, żebym mogła pognać, nie przejmując się nim nic a nic. Muszę lecieć! Mam do zobaczenia cały wielki świat, i cały wielki świat musi zobaczyć mnie, i nie będzie mnie powstrzymywał chłopak, który zatruwa mi podróż, bez względu na to, jaki jest piękny, bo mam zamiar pruć wzdłuż wybrzeża, unosząc się między niebem a morzem, i nie dam się powstrzymać.

Silnik warczy, ja staję na motorze, a on wyrywa się do przodu, wiatr szarpie moją spódnicą, a ja krzyczę:

– Heeeeeej!

Bo tworzy mnie pył księżycowy i migoczące światła, bo jestem niepodatna na krótkowzroczną śmiertelność moich rówieśników, na ich skończoną liczbę dni na tej planecie, które spędzają w zamknięciu, niepewni i obojętni. Nie, nie nie, jestem czymś więcej niż ten świat, szeroka jak drzewa dookoła. Jazdaaaaa!

Mój uścisk się poluznia, moje nogi napinają się na chwilę, jak zwoje ściśniętej sprężyny. Kiedy się rozluźniają, napięcie wypycha mnie w górę, i stało się. Jestem powietrzem, szybuję lekka i wolna.

Jonah:

To, co się przed chwilą stało, stało się tak szybko, co, co, co, nie!
Stało się.

Moje nogi i ręce robią się zimne, drżące, niezdarne. Próbuję biec, ale się potykam. Moje kolana uderzają o ziemię, dłonie u nasady pieką po zderzeniu z ziemią. Z trudem się podnoszę.

Ktoś krzyczy. Ktoś krzyczy.

– Pomocy. Pomocy!

To chyba ja.

Stało się. Przed chwilą. Widziałem to. Naprawdę była pijana?
Mogłem ją powstrzymać.

Vivi spadła z vespy. Motor uderzył w drzewo. Była na nim w tej chwili? Nie wiem. O Boże, huk jej ciała, odgłos metalu. Jak spadała. Widzę krew – z jej ramienia – I, o Boże, kość. Nogi znów się pode mną uginają, wymiotuję na trawę. Próbuję się do niej przysunąć, chociaż wymiotuję i wymiotuję. Kiedy mi przechodzi, próbuję się podnieść.

Ktoś chwyta mnie za rękę, potem za drugą. Dwie ręce mnie podnoszą. Kobieta w długiej nocnej koszuli przytrzymuje mnie przy sobie, starając się nie pozwolić mi podejść do Vivi. Jej ciało jest wielkie i miękkie, a ja czuję się, jakbym przytulał się do ciasta. Uspokaja mnie to. Mężczyzna biegnie z ich małego domku w stronę Vivi, ze słuchawką przy uchu. Ma na sobie szarą koszulkę i flanelowe spodnie.

Wydaje mi się, że kobieta mnie o coś pyta. Ale nie jestem w stanie wydobyć z siebie słów. Jej usta wyglądają tak, jakby mnie uspokajała, wargi ma złączone, ale odsłonięte są przednie zęby. Hałasuję? Nie słyszę nic oprócz ogłuszającego dzwonięcia w uszach.

Stało się. Niech się cofnie. Niech czas się cofnie o minutę. Nie dopuszczę do tego.

Czuję się, jakbym miał gorącą folię na oczach, prawie nic nie widzę. Sąsiedzi chyba zebrali się wokół nas. Chyba kolejna kobieta biegnie do Vivi. Świadomie. Proszę, niech to będzie lekarka. Kim Vivi chciałaby, żeby była? Cudotwórczynią.

Nie mogę oddychać. Krew, kość. Nabieranie powietrza przypomina próbę nadmuchania dwóch dziurawych balonów. Tyle

wysiłku na nic. Rzadkie powietrze.

Jak długo to trwa? Wydaje mi się, że śnię. To nie może być prawda. W oddali pulsują czerwone światła, jaskrawe w ciemności. Są tu dla niej. Zajmą się nią. Muszę ich błagać, ale nie mogę. Nogi mi się płaczą jak stare liny, a potem świat robi się czarny. Moja głowa. Słyszę głosy. A później już nie. A później znowu. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, jest odgłos trzepoczących skrzydeł.

Vivi:

...

Jonah:

Niski głos.

– Wymiotował?

– Kilka razy, ale w tej chwili to suche wymioty. – Głos kobiety.

Niewyraźny. Daleki. Chyba jestem na dworze, ale ziemia nie jest zimna. W zimnym powietrzu niesie się zapach. Dymu, oleju i cierpienia. Wiem, gdzie jestem. Vivi.

Otwieram gwałtownie oczy. Próbuję się podnieść, ale przytrzymują mnie silne ręce.

– Nie ruszaj się – mówi głos. – Postaraj się nie ruszać. Rozluźnij się.

– Nic mi nie jest – mówię. W każdym razie tak mi się wydaje. Leżę na noszach i patrzę na otwarte tylne drzwi karetki. Ale nie widzę Vivi, jedynie pulsujące światła i kręcących się ludzi. – Nic mi nie jest. Co z Vivi?

– Przewożą ją helikopterem do szpitala. – To znaczy, że żyje.

Dzięki Bogu, o dzięki Bogu. Nie zawracaliby sobie głowy helikopterem, gdyby nie było szansy, że z tego wyjdzie, prawda?

Osobą, która mówi, jest sanitariusz. Ma czarne kręcone włosy, które zakrywają mu uszy.

– Na jej prawie jazdy jest adres z Seattle i numer telefonu. Masz jej numer domowy?

– Tak. Mój telefon... jest w kieszeni. Numer jej mamy jest pod...
Carrie.

– Nie ruszaj się – mówi sanitariusz, sięgając do mojej kieszeni. Nie jestem w stanie się ruszyć, nawet gdybym chciał. Nogi i ręce mam przypięte pasami. Nic mi nie jest?

Woła kogoś, kto przybiega, i sanitariusz odczytuje numer. Później drzwi się za nami zamykają. Ruszamy.

– Nie, chcę jechać z nią! Nie potrzebuję karetki. Ja...

– To działanie zapobiegawcze. Spójrz tu. – Świeci mi latarką w oczy. – Musimy obserwować, czy nie ma wstrząśnienia mózgu, więc zatrzymamy cię na oddziale na obserwacji. Niedługo.

– Naprawdę nic mi nie jest. Ja tylko źle reaguję... na krew. – I

kości. O Boże, wspomnienie ręki i ramienia Vivi znów przyprawia mnie o mdłości.

Odwracam się na bok, kiedy znów ściska mnie w żołądku. Sanitariusz trzyma przede mną torbę, chociaż mam tylko odruchy wymiotne. Mimo wszystko wycieram usta.

– Oddychaj głęboko. Chyba będziemy musieli ci podać płyny – mówi. Wyciąga mój telefon komórkowy. – Zadzwonię do twoich rodziców i powiem, co się stało.

– Nie. Nie ma sensu. Oni... – Co, oni? Jedno nie żyje, a drugie ledwie jest w stanie zrobić grzanekę, o radzeniu sobie z kryzysem nie wspominając? – Hm... są poza miastem.

Zadaje mi pytania, czy boli mnie głowa, czy wiem, kto jest prezydentem Stanów Zjednoczonych, czy wiem, jaki jest dzień. Odpowiadam. Ja pytam go o Vivi i o to, co się dzieje. Zbywa mnie. Kiedy sfrustrowany przewracam oczami, znów wyciąga latarkę i kieruje strumień światła na moje źrenice. Nie wiem, czy to działanie medyczne, czy kara.

– Chwileczkę – mówię, kiedy karetka się zatrzymuje. – Nie mogę tam pójść.

Po tak krótkiej jeździe możemy być tylko w jednym szpitalu. W tym, w którym stwierdzono zgon mojego taty. Zastanawiam się, czy jednak nie poprosić sanitariusza, żeby zadzwonił do mamy. Niepotrzebna jest zgoda czy coś takiego?

Mogłaby nie wyrazić zgody. Ale nie zrobiłaby tego. Wpadłaby tylko w panikę.

– Hej – mówi sanitariusz. Chwyta mnie za rękę. – Nic ci nie jest. Wszystko będzie dobrze.

Kierowca karetki otwiera tylne drzwi i wchodzi, żeby pomóc wynieść nosze.

Chcę coś rozwalić. Chcę zacząć szaleć jak pacjent z *Lotu nad kukulczym gniazdem*. Nie mogą mnie zabrać wbrew mojej woli. Ale prawda jest taka, że jestem skonany. Nie mam siły. Kiedy kładę się, pokonany, przychodzi mi do głowy pewna myśl: właściwie to miłe, że chociaż raz ktoś pcha do przodu mnie.

Nawet nie poczułem, kiedy igła znalazła się w mojej ręce. Leżałem

w łóżku, ale tak naprawdę mnie tam nie było. Pielęgniarka owinęła mnie ciepłym kocem.

– Po kroplówce zrobi ci się zimno – powiedziała.

Nic nie poczułem.

– Cześć, Jonah.

Unoszę wzrok i widzę panią Fischer, mamę mojego kolegi Zacha. Ma na sobie różowy fartuch. Powinienem był się domyślić, że pracuje tu ktoś znajomy, to małe miasteczko.

– Dzień dobry, pani Fischer. – Gardło mnie boli od wzywania pomocy. Wyplątnę się spod koca i siadam prościej, żeby nie wyglądać na zupełnego inwalidę.

– Rozmawiałam z lekarzem i przejrzałam twoją kartę. Jak się czujesz? – Stoi przy łóżku.

– Dobrze. – Nie mogę się zdobyć na to, żeby spojrzeć jej w oczy. – Dzwonili do mojej mamy?

Pani Fischer wygląda na smutną, może nawet domyśla się, dlaczego nie chciałem, żeby mama się dowiedziała.

– Jesteś nieletni, takie są zasady.

Kiwam głową. Nie jestem wściekły ani nic takiego. Czuję się tylko źle z powodu mamy. Nie chciałem, żeby się tym martwiła. Naprawdę nic mi nie jest. Chciałem iść do domu, żeby na własne oczy się przekonała, że nic mi nie jest. Teraz musi znosić to, że jej dziecko jest w tym samym miejscu, w którym zmarł jej mąż. Unoszę wzrok błagalnie.

– Wie pani coś o Vivi? Tej dziewczynie, która spadła? Mojej koleżance?

W głowie słyszę głos Vivi. Mojej koleżance? Tym dla ciebie jestem, Jonah, ty słodki głupku? Nie, Viv. A w każdym razie, nie tylko tym. Proszę, wyzdrowiej. Wyzdrowiej.

– Przewieźli ją do szpitala St. Elizabeth West na operację.

– Więc jest naprawdę źle?

Milczy, zastanawiając się, albo dlatego, że informacje są naprawdę złe, albo dlatego, że to pielęgniarska tajemnica służbowa, ale mam nadzieję, że mi ją zdradzi. Cisza ciągnie się jak przestrzeń pomiędzy krawędzią klifu a ziemią poniżej.

– Cóż, nie jest dobrze, ale mogło być o wiele gorzej. Jeden z

naszych sanitariuszy pomagał na miejscu. Z głową i kręgosłupem wszystko w porządku.

Później wypowiada słowa takie jak: poważny, otarcie, przemywanie, złożenie złamania, ścięgno. Tracę wątek do momentu, kiedy słyszę słowa:

– Dzięki Bogu, że miała dość rozumu, żeby włożyć kask.

I wtedy wciskam twarz w dłonie i kręcę głową bez przerwy, zastanawiając się, co ja tu robię.

Wypuszczają mnie niedługo potem. Chyba zadzwonię do Silasa, kiedy dojdę do poczekalni. Pani Fischer powiedziała, że nie ma sensu tu siedzieć i czekać na wieści o Vivi. Przez parę godzin będzie w sali operacyjnej, a potem będzie na środkach przeciwbólowych, żeby jej ciało mogło zacząć się goić.

Nadal czuję się dziwnie po tym, jak wszyscy inni zajmowali się dziś wieczorem moim ciałem, że mogę iść korytarzem samodzielnie, wychodząc ze szpitala. Ten wieczór składał się z miliona powolnych minut, tak powolnych, że wydaje mi się dziwne, że jestem w tym samym ubraniu. Nadal nie mogę uwierzyć w to, co się stało. Mam zawroty głowy, do których nie przyznałem się pielęgniarce.

Staję jak wryty.

Na końcu korytarza stoi mama, przy dyżurce pielęgniarek. Ma na sobie spodnie od piżamy i za duży sweter. Ale rozmawia przytomnie. Stoi prosto. Wymachuje rękami. Chcę ją zawołać, ale jestem w stanie tylko patrzeć. Przypominam sobie, jak wiele lat temu Isaaca użądliła pszczoła i spuchł jak rogalik. Musiała być przerażona, ale pamiętam, jak mówiła pewnym głosem:

– Wszystko będzie dobrze.

I jej uwierzyliśmy. Była naszą mamą, nad wszystkim panowała. Tak właśnie wygląda teraz, mimo smutnego stroju. Jak moja mama. Jest rodzicem, więc jednak nadal mam rodzica. Jestem niemal na tyle blisko niej, że mógłbym jej dotknąć, kiedy mówię:

– Mamo?

– O dzięki Bogu, Jonah. – Łzy lśnią w jej oczach. Bierze mnie w mocny, pełen rozpaczycy uścisk. Czuję, jak drży. Tak dawno nie stała wyprostowana w mojej obecności. Mimo że stoi, wydaje mi się mała.

Czyżbym urósł przez tych osiem miesięcy? A może to ona się skurczyła? A może jedno i drugie. Kiedy się odsuwa, drży jej dolna warga. Kładzie dłonie na mojej twarzy. – Nigdy więcej tego nie rób. Nic ci nie jest? Powiedzieli mi, że nie, ale... Nie wiedziałam...

– Nic mi nie jest. Vivi rozbiła motor. Nie siedziałem z nią na nim, ale widziałem, jak to się stało. Przywieźli mnie tutaj, bo zemdlałem. Widziałem... To się chyba nazywa otwarte złamanie. Parę razy zwymiotowałem, więc podali mi kroplówkę. Ale nie mam wstrząśnienia mózgu.

– Dzięki Bogu. Z Vivi wszystko w porządku?

– Jest operowana. W większym szpitalu. Nie wiem, mamu. Nic nie wiem. – Zaczynam płakać, nim zdążę się zorientować, że jestem bliski płaczu. W myślach widzę Vivi, nieprzytomną na stole operacyjnym, pod jaskrawymi lampami – bladą, z czerwonymi wargami, które się nie uśmiechają. Czy lekarze ją zszywają, czy rozcinają? Burczy mi w brzuchu.

– Och, synu – mówi mama i bierze mnie w objęcia.

Ilu ludzi stało w tym miejscu? Podtrzymując kogoś, żeby nie osunął się na ziemię? Mama głaszcze mnie po plecach i powtarza w kółko, że wszystko będzie dobrze. Płaczę przez to jeszcze bardziej.

Wiem, że tylko pogarszam sprawę. Ale to ten czas, o ile w ogóle jest na to odpowiednia pora. Głos mi drży, kiedy wykrztuszam z siebie słowa.

– Tęsknię za tobą, mamu.

Czuję, że ona też zaczyna płakać, i stoimy tak, w milczeniu, pociągając jedynie nosem.

– Ja też tęsknię za samą sobą, synu – szepcze w końcu.

Ponad ramieniem mamy załzawionymi oczami dostrzegam czerwony neonowy szyld z napisem: „Wyjście”. Tego właśnie chcę. To jest miejsce, w którym umarł mój tata, a ja chcę tylko zacząć oddalać się od ciemności, jaką jego śmierć pozostawiła w naszym życiu.

– Wracajmy do domu, dobrze? – Wskazuję wyjście i wyprowadzam nas.

To właśnie próbowałem zrobić przez cały ten czas.

Vivi:

Wszystko jest ciemne i postrzępione. Mój umysł jest pustą jaskinią, wilgotną i pełną jedynie echa. Krzyczę w mojej głowie, a krzyk przechodzi od tyłu do przodu, a potem obija się z boku na bok, aż w końcu jestem wyczerpana nieustannym słuchaniem i zasypiam.

Oczy mi się kleją. Chcę je potrzeć, ale moje ciało jest zbyt ociężałe, żebym mogła się ruszyć. Hm. Kroplówka w ręce i monitor podłączony do wskazującego palca. Lewa ręka przymocowana do temblaka. Chcę się przyjrzeć reszcie mojego ciała, ale nie mogę. Powinno boleć. Ale nie boli. Czuję się bezwładna.

Mama śpi na szpitalnym fotelu, z nogami podwiniętymi tak, że chyba jej niewygodnie. Przy oknie stoją kwiaty. Chcę się wdrapać na parapet i zasnąć tam. Albo poukładać kwiaty wokół siebie. Mdłe kolory sprzętu medycznego, niepomalowane ściany, pikanie, nie mogę. Nie mogę.

Co ja zrobiłam?

Czuję, że powieki mi opadają wbrew mojej woli. Ale nie jest to wbrew mojej woli. Spać, spać, obudźcie mnie w innym życiu albo wcale.

Jestem zdołowana, a niebo jest bezwstydnie niebieskie. Gdyby pogoda weszła do mojej szpitalnej sali, dałabym jej w twarz i spytała: „Jak śmiesz?!”

Nie wiem, jaki jest dzień tygodnia. Może sobota. Może dzień czyjś ślubu i wszyscy obecni mówią: „Nie mogliśmy sobie wymarzyć lepszej pogody!” albo „Jaki piękny dzień, prawda?”

Miło mają.

Ale ja czuję się zdradzona. Wszechświat na ogół lepiej mnie rozumie. Potrzebuję monotonnego deszczu, potrzebuję huraganowego wiatru, żeby smagał szyby w oknach. Potrzebuję szarego nieba i białego śniegu, upapranego i rozjeżdżonego przez samochody.

Na dworze jest gorące, parne, bijące po oczach lato. We mnie jest wyschnięta ziemia i samotność, i nic nigdy więcej nie zakwitnie.

Teraz śpię. Znikam. Mój mózg po zwarciu i ja.

Mama patrzy mi prosto w oczy. W sali jest teraz ciemno.

– Cześć, laska – mówi, ściskając mnie za rękę.

– Cześć.

Łza spływa jej po policzku.

– Tak się cieszę, że cię widzę. Mamy wielkie szczęście, że nic ci się nie stało.

– Jak długo tu jestem? – Mój głos brzmi jak zdarta płyta.

– Trochę więcej niż czterdzieści osiem godzin. Miałaś operację, a po niej dostałaś potężną dawkę środków przeciwbólowych. Lekarze zmniejszyli ją parę godzin temu, żeby sprawdzić, jak się będziesz czuła.

Przyciskam dłoń do twarzy. Nie bardzo wiem, dlaczego taki jest mój pierwszy odruch – przecież miałam kask, prawda? Czuję rwący ból w ramieniu. Temblak rzuca cień na moją rękę.

– Co mi operowali?

– Kość ramienną. Masz też złamane dwa żebra i sporo ran na lewym boku, musiały być przemywane. Jesteś na silnych środkach przeciwbólowych, ale mimo wszystko może boleć.

– Boli – szepczę. Spoglądam w dół na moją szpitalną koszulę i zastanawiam się, jak wygląda pod nią moja skóra, cętkowana w strupy. Odsuwam szpitalną kołdrę, żeby przyjrzeć się moim nogom. Chcę wiedzieć, czy nic im nie jest. Bok lewej jest przykryty gazikami. Tylko parę mniejszych ran jest odkrytych, małe kropki, jakby ktoś strzelił do mnie z broni pełnej żwiru. – Boże. – Pochyliłam głowę i widzę więcej gazy na obojczyku. – A tu?

– Szwy, skarbie. Pewnie wylądowałaś na kamieniu na drodze. Przykro mi. – Zacieśnia uścisk na mojej dłoni. – Tak mi przykro. Pamiętasz, co się stało?

Pamiętam wszystko, co się stało, ale tak, jakbym to nie ja pojawiała się w tych wspomnieniach. Pamiętam wszystko jak film, jak coś, co oglądałam jako widz. Pamiętam, co zrobiłam i co myślałam, ale jaka logika w tym była? Nigdy nie byłabym w stanie nawet zacząć jej tłumaczyć, więc tylko kiwam głową.

– Jesteś na mnie wściekła? – szepczę do mamy.

– Nie, skarbie. Nie, oczywiście, że nie jestem na ciebie wściekła.

– Ale cię okłamałam. Kłamałam ci w żywe oczy. Przestałam brać tabletki. – Tępy ból w ramieniu i uczucie skołowania... Zasługuję na nie. Okłamałam własną matkę, która tak bardzo starała mi się ufać.

– To nic, kochanie, to nic.

– Jestem... – Zerkam na kroplówkę. – Jestem na lekach?

– Dostajesz środki przeciwbólowe i parę innych, które, miejmy nadzieję, trochę cię... ustabilizują.

To wyjaśnia, dlaczego jestem spokojna. Muszę być spokojna. Mimo bólu, mimo zamroczenia, czuję pewną ulgę.

– Mamo. – Głos mi się załamuje, ale łzy nie płyną. Leki w moich żyłach je wysuszyły. Jednak mój oddech brzmi jak płacz, kiedy wydobywam z siebie słowa rozpaczliwym szeptem. – A... jeżeli... to... zrujnuje... mi życie?

– Nie – odpowiada szeptem. Jej ton jest pewny, powieki nie mrugają. – To zniszczy jedynie parę dni. Może przez kilka tygodni będzie trudniej. Kilka trudnych tygodni we wspaniałym, wielkim życiu. Wytrzymasz. Wytrzymamy. Patrz na wujka Mitcha. Przeżywał naprawdę trudne dni, ale ma tak wspaniałe życie, że wszyscy mu zazdrościmy!

Mój cichy szloch prawie zamienia się w śmiech. Mój wujek ma poważne lęki. I mały słodki apartament w San Francisco, i moją kuzynkę Pip, i fantastycznych przyjaciół, których wspólny śmiech brzmi jak podniosła, kakofoniczna symfonia.

Mama i ja mieszkałyśmy u Mitcha przez jakiś czas, kiedy byłam mała. Walczyłam ze sobą, żeby nie zasnąć, żeby móc słuchać, jak grupa dorosłych śmieje się przy kuchennym stole. Mitch ma pracę w muzeum, ma biegi w parku Golden Gate i świetne jedzenie. Ma leki i terapię. Miał kilka trudnych tygodni w swoim wspaniałym, wielkim życiu.

– Jak długo muszę tu jeszcze być?

Zagryza wargi, więc wiem, że nie będzie to dobra wiadomość.

– Jeszcze trochę. Chcą cię mieć na obserwacji.

– O mój Boże. – Mój wzrok biega po całej sali. – Mogłam umrzeć?

– Nie, nie, nie – mówi, uspokajając mnie. – Tylko... nie było wiadomo, czy rozbiłaś się na motorze, czy... zeskoczyłaś z niego, próbując... zrobić sobie krzywdę.

Teraz z kolei moje oczy zalewają się łzami.

– Nie, mamo, przysięgam.

– Wierzę ci, kochanie. Ale masz... uwagi w wywiadzie lekarskim.

Ta blizna, zakryta teraz szyną, ta, która biegnie na moim lewym nadgarstku jak purpurowe S. Ale nie próbowałam się zabić – naprawdę aż tak daleko nie wybiegałam myślami naprzód – i nie wiem, ile cholernych razy usiłowałam to wytłumaczyć. Nie chciałam umierać. Chciałam tylko spróbować coś poczuć. Okazało się, że wrażenie zimnego ostrza rozcinającego skórę, a potem ciepłej krwi ciekącej na podłogę jest nieskończenie gorsze niż nieodczuwanie niczego.

Chrząkam.

– Nie wiem, czy coś z tego zrozumiesz, ale zeskoczyłam z vespy, myśląc, że nic mi się nie stanie. Właściwie nawet o tym nie myślałam. Myślałam... Myślałam o lataniu.

Mama kiwa głową, przyswajając informację. Wokół oczu ma zmarszczki ze zmęczenia. Wygląda na starszą, a jednocześnie młodszą.

– O ile jutro wszystko będzie dobrze, lekarze chcą cię przenieść do innego szpitala w Santa Rosa. To po części kwestia ubezpieczenia, wiesz, bo...

– To szpital psychiatryczny. Zgadza się?

– Ma oddział psychiatryczny, tak. Ale będziesz tam głównie po to, żeby dojść do siebie fizycznie. Chcą, żebyś miała dostęp do zespołu psychiatrów. To tylko parę dni. – Łzy znów zaczynają napływać jej do oczu. – Viv, zrobiłabym dla ciebie wszystko, wiesz o tym, prawda? Jesteś dla mnie całym światem i wiem, że nie jestem... konwencjonalną matką, ale...

– Konwencjonalną matką? – Wydaję z siebie cichy śmiech. – A co to znaczy?

Wygląda na zawstydzoną, co nie zdarzyło jej się nigdy w życiu, w każdym razie nie przy mnie.

– No, wiesz. Nie piekę ciasteczek czekoladowych z przepisów z gazet ani nie przejmuję się tym, o której chodzisz spać. Nie trzymam cię na smyczy ani nie sądzę, że potrzeba ci codziennych wykładów, żebyś wiedziała, jakie decyzje podejmować.

Patrzymy na siebie przez kilka chwil, aż w końcu wiem, co chcę powiedzieć.

– Pamiętasz, jak byłam mała, kiedy przyszła nasza kolej pieczenia ciastek do szkoły? Kupiłaś gotowe surowe ciasto i pozwoliłaś mi

powkładać do niego, co tylko chciałam. – Moje myśli wędrują do różowych posypek i miniaturowych pianek, i srebrnych cukrowych kulek, które wydawały się zbyt ładne na to, żeby mogły być jadalne. Zawsze byłam taka dumna z tego, że zrobiłam ciastka, które były zupełnie inne niż ciastka innych.

– Pamiętam. – Mama marszczy brwi.

– Mamo, byłam zachwycona. – Z oczu mamy znów płyną łzy, a ja jestem strasznie smutna, że tak się czuje. – Tak mi przykro. Tak mi przykro, że musisz przez to przechodzić...

– Nigdy mnie za to nie przepraszaj, kochanie. – Ścisła moje dłonie tak mocno, jakby chciała wepchnąć te słowa pod moją skórę. – Tak mi przykro. Jesteś silna i damy sobie z tym radę. Musimy tylko lepiej nad tym wspólnie pracować. Tak mówi doktor Douglas.

– Rozmawiałaś z doktor Douglas? – To moje terapeutka z Seattle, ta, do której mnie skierowali po mojej „próbie samobójczej”. Wtedy żałowałam każdej chwili spędzonej na krześle u niej. Teraz – nie jestem w stanie tego wytłumaczyć – chcę jej tutaj. Bo ona zna już najgorszą prawdę, zna każdy wstrętny chwast w moim ogrodzie.

– Tak. – Mama się nad tym nie rozwodzi.

– Może tu przyjechać? Albo my możemy jechać do niej?

– Tak, coś wymyślimy – mówi. Ale jej twarz wygląda inaczej, jest taka, jakiej nigdy wcześniej nie widziałam. Jest opanowana. Pewna siebie. – Jak widać, nie jestem w stanie pomóc ci samodzielnie. Powinnam była się domyślić, że nie bierzesz tabletek. Jestem twoją matką. Powinnam była bardziej ci pomóc. Muszę się więcej dowiedzieć, ja też muszę z nią porozmawiać.

Czuję się znów tak zmęczona, jakby powietrze wciskało mnie od góry w łóżko tak, żebym się w nie zapadła.

– Wrócimy do Seattle?

– Porozmawiamy o tym później, skarbie. Kiedy poczujesz się lepiej, dobrze?

To znaczy: tak. To dobrze. Z jakiegoś powodu powrót do Seattle wydaje mi się właściwy. Patrzymy na siebie i nie wiem, ile czasu mija, kiedy w końcu odzywam się szeptem:

– Dobrze.

Ale nie czuję się dobrze. Chce mi się spać i czuję, że cały mój świat się zmienił. Moje lato zaryło nosem w ziemię. Jestem za bardzo zmęczona, żeby przyswoić te wszystkie informacje. Jestem za bardzo zmęczona na cokolwiek.

Jonah:

Po wypadku widziałem Vivi dwa razy, ale ona mnie jeszcze nie. Za każdym razem, kiedy tam byłem, była naszpikowana lekami i nie wiedziała, co się dzieje. Dzisiaj rano przewieźli ją do innego szpitala w Santa Rosa. Do szpitala z oddziałem psychiatrycznym. Dzięki czemu lepiej to wszystko rozumiem niż od razu po wypadku.

Niedługo jadę do Santa Rosa, sprawdzam, która godzina. Mama Vivi jest zdania, że powinienem poczekać z wizytą do popołudnia. Żeby Vivi miała czas oswoić się z nowym miejscem. Wolałem się czymś zająć do tego czasu.

Wokół kołnierzyka koszulki mam mokry pierścień, bo myję betonową podłogę patio, wkładając w to całą siłę. Nie jest to łatwe zadanie. Powiedzmy, że ptaki latające nad nim stworzyły w kilku miejscach graffiti. Strumień wody jest tak silny, że boję się, że może uszkodzić podłogę. Ale on ją zmywa. Okazuje się, że to pożyteczna ucieczka od stresu. Żałuję, że nie mam więcej rzeczy do umycia pod ciśnieniem.

Mama Vivi większość czasu spędza w szpitalu. Zostawiła mi klucze do domu, żebym opiekował się Sylwią. Siedzimy na progu, bo ona najwyraźniej nie chce wejść do domu.

– Vivi ma zaburzenia afektywne dwubiegunowe – powiedziała jej mama. – Powiedziała, że mogę ci powiedzieć.

Przynajmniej przez minutę nie mogłem się ruszyć ani odezwać. Patrzyła na mnie tym smutnym, łagodnym spojrzeniem przez niezręcznie długą chwilę. To było trudne do przyswojenia. Myślałem, że „dwubiegunowy” znaczy humorzasty. Bo chyba Vivi taka jest. Tylko... nie wiedziałem, od czego zacząć.

– Wiedziałem tylko o jej ręce – powiedziałem w końcu. – To znaczy, o bliźnie. Czy to w ogóle ma jakiś związek?

– W pewnym sensie. – Carrie się odwróciła i przyglądała się mojej reakcji. – W zeszłym roku myślałam, że ma depresję, wszyscy tak myśleliśmy. Potem była na lekach. I to była depresja, ale nie tylko.

– Czyli co, leki nie podziałały?

– Podziałały na depresję. Znów była szczęśliwa, szyła i malowała.

Przylapałam ją na picciu, paleniu trawki, podkradaniu mojej karty kredytowej, uciekaniu z domu. Ale myślałam, że to takie wybryki nastolatki. Pozowanie. Znak, że jest zupełnie zdrowa. Nie miałam pojęcia, że są to objawy, dopóki jej stan nie pogorszył się drastycznie. Załatwiliśmy jej pomoc. I inne leki. O wielu rzeczach nie wiedziałam. – Wbija wzrok w ziemię. – I o wielu nie wiem nadal.

Jej mama była wyraźnie rozdarta pomiędzy tym, żeby być ze mną szczerą, a chęcią chronienia prywatności Vivi. Powiedziałem jej, żeby się nie przejmowała, że Vivi powie mi resztę, kiedy będzie gotowa. Tak naprawdę potrzebowałem trochę czasu, żeby sobie wszystko wyguglować.

Teraz dużo czytam. O skłonności do irytacji, zachowaniach seksualnych, gonitwie myśli, przymusie mówienia. Dwubiegunowość typu pierwszego, typu drugiego, mieszana, z szybką zmianą fazy, cyklotymiczna. Są dość dobrze opisane, w odrębnych rozdziałach z definicjami. Ale, mówiąc szczerze, nie jestem w stanie stwierdzić, na które cierpi Vivi.

Siedzę przed komputerem, ukrywając twarz w dłoniach. Przez ostatni tydzień była inna. Powinienem był się domyślić? Czy ja ją wykorzystałem, nie wiedząc o tym? Z całą pewnością nie chciałem. Czy teraz będzie postrzegala mnie inaczej? Wiem, że nie chodzi o mnie, ale jestem jedyną miarodajną osobą. I zwyczajnie nie wiem, co mam dalej robić. Więc daję się wciągnąć restauracji.

Nowe menu debiutuje za trzy dni i z tej okazji wyprawiamy imprezę. Nie jest to nic wyszukanego. Zwykle przyjęcie dla wszystkich, którzy pomagali nam przy zmianach. Tylu ludzi się zaangażowało. Felix i ja zdzieraliśmy stare wykładziny w sali jadalnej, a zastępca szefa kuchni odrestaurował drewniane podłogi. Silas pomalował czerwone ściany na białe. Tego nam potrzeba. Prostoty. Miejscowa kwiaciarnia sprzedała nam małe wazoniki za grosze. Bekah powkładała w nie polne kwiaty. Harvey Berman, miejscowy elektryk, zamienił przestarzałe mosiężne żyrandole na nowoczesne. Nie skasował nas nawet za robociznę, jedynie za części. Nad nowymi przepisami pracowała cała kuchenna załoga, a Ellie przygotowała karty dań. Drukarnia dała nam dużą zniżkę.

A dlaczego wszyscy nam tak pomagali? Z powodu mojego taty. Słyszałem to właściwie ciągle w ostatnim tygodniu. Kiedy dziękowałem ludziom, mówili: „Cała przyjemność po mojej stronie. Twój tata był dobrym człowiekiem”.

Gdy chciałem powiedzieć: „Nie trzeba było...”, ucinają i mówią o moim tacie. O tym, że on stanowił Verona Cove. Mówią o tym, że im go brakuje. Pan Hodgson powiedział mi, że jego żona leżała przez dwa ostatnie miesiące ciąży. Mój tata, nieproszony, dostarczał im posiłki do domu.

– Zawsze twierdził, że to resztki – powiedział pan Hodgson, chichocząc lekko. – Ale zawsze były ciepłe i zawsze były to jej ulubione dania, więc raczej w to wątpię.

Ich syn ma teraz dziesięć lat. Nigdy o tym nie słyszałem. Przyjąłem długą drewnianą donicę na rośliny, którą pan Hodgson przyniósł na patio. Zbudowała ją sama pani Hodgson, a pan Hodgson obsadził ją bazylią, kolendrą, pietruszką i miętą.

Kiedy patio jest czyste, podlewam zioła. Dopiero po chwili orientuję, się, że ktoś czeka w alejce.

Ellie wygląda na niepewną, ale nie mam jej tego za złe. Pewnie wyglądam jak ktoś, kto ledwie nad sobą panuje. Witamy w Jonahville.

– Cześć – mówi. – Chciałam ci tylko powiedzieć, że pan Thomas prawie kończy mocowanie liter na froncie. Pomyślałam, że może chcesz zobaczyć.

– Chcę, dziękuję.

Nasza renowacja sprawiła panu Thomasowi więcej radości niż komukolwiek innemu. Nie mógł usiedzieć w swoim sklepie z narzędziami obok. Przychodził tu codziennie, pożyczał nam narzędzia i rwał się do pomocy.

Litery były wyjątkowym znaleziskiem, potrzebowaliśmy eksperta, który zamocuje je na ceglanym froncie restauracji. Silas jeździł po sklepach z antykami po różnych miastach, które specjalizują się w sprzedaży przedmiotów z rozbiórek budynków i państwowych wyprzedaży. Zabrał ze sobą Isaaca i przywieźli do domu litery, tworzące napis „bistro” z kutego żelaza, niektóre lekko zardzewiałe.

Z przodu stoją Isaac i Bekah z Silasem i Feliksem. Isaac

postanowił, że poranek spędzi na sprzątanii – zajął się podłogami i łazienkami. Bekah rozdzierała sałatę i mieszała sos sałatkowy z kucharzami. Spory ruch we wszechświecie.

Pan Thomas stoi na drabinie i używając poziomnicy, próbuje sprawdzić, czy O wisi prosto.

– Dobrze wygląda?! – krzyczy z góry.

– Dobrze! – odpowiada mu Felix.

Kiedy pan Thomas zaczyna schodzić z drabiny, widzę wyraźnie nowe litery. Czcionka nie pasuje do napisu „U Tony’ego”, ale razem wyglądają znakomicie. Ellie miała rację. Dodanie „Bistro” tworzy nową atmosferę swobodnej elegancji. Stare litery są idealne, bo nie są zbyt idealne. W ten sposób widział restaurację i przepisy mój tata – twórcze, ale klasyczne. Prawdziwe, nigdy upiększone.

Silas zarzuca rękę na ramię Isaaca.

– Te litery były niezłym znaleziskiem, brachol.

Isaac puchnie z dumy.

– Dobra robota – mówi cicho Felix, ściskając mnie za rękę.

– To Silas i Isaac znaleźli litery.

– Wiem – odpowiada. – Miałem na myśli... całokształt. Nie tak łatwo przesadzić takie stare drzewo jak ja.

– Drzewo? – pytam zaskoczony. Czy Vivi i z nim rozmawiała na temat poprzednich wcieleń?

Felix się śmieje.

– Tak. Takie twarde stare drzewo jak ja łamie się w czasie burzy. Miękki pień wygina się na wietrze i przetrwa.

Stoimy przez kilka chwil, a ja marszczę brwi. Nadal nie rozumiem, a Felix klepie mnie po plecach, a potem wraca do kuchni.

– Dzięki tobie się ugięliśmy, Maní.

Dziękuję panu Thomasowi i pomagam mu odnieść drabinę do sklepu. Kiedy wracam przed restaurację, wszyscy są już w środku, i stoję sam.

Ale nie jestem tu sam. I w tym rzecz.

Niebo jest idealnie niebieskie, gdy jadę do Vivi, a długa jazda dobrze mi robi. Mam wrażenie, że mój umysł jest jak koperta tak przepełniona, że nie da się jej zamknąć. Więc pozbywam się paru spraw.

Myślę o tym, czy mojemu tacie spodobałyby się zmiany w restauracji, o tym, czy impreza się uda, o tym, co może pójść nie tak. Myślę o Vivi. O tym, jak bolesne muszą być jej obrażenia i jak trudny jest pobyt w szpitalu. Jak powinienem się zachowywać, kiedy ją zobaczę? Czy wszystko będzie inaczej, kiedy wyjdzie?

O żadnej z tych rzeczy nie myśli się łatwo. Ale zyskuję miejsce w umyśle.

Staję przed szpitalem i biorę kilka głębokich oddechów. Kobieta w recepcji daje mi przepustkę dla odwiedzających. Dłonie lekko mi drżą, kiedy kupuję kwiaty w sklepie z upominkami. Powinienem był wymyślić coś oryginalniejszego. Coś twórczego, jak zrobiłaby Vivi. Powinienem był upiec dla niej ciasto wiśniowe, jak pierwszego wieczoru, gdy przyszła do nas do domu. Powinienem był, powinienem był, powinienem był. Mam dość tych słów, które kłują mnie po kostkach, dokądkolwiek idę.

Kiedy jestem przed jej salą, słyszę własny oddech. Żadnego innego odgłosu.

Wchodzę. Siedzi podparta na łóżku i dziobie zawartość tacy z konserwantami w płynie, które szpital nazywa jedzeniem. Na lewej ręce ma niebieski temblak. Część jej obojczyka zakrywa bandaż, który zakrada się pod szpitalną koszulę. Bez makijażu wygląda młodziej. Czuję ulgę, widząc, że się porusza, tak wielką, że mógłbym paść na kolana w progu. Unosi wzrok. Z końca pokoju widzę, że drży jej dolna warga.

– Jonah? – Głos ma drżący.

– Cześć – mówię, wchodząc z uśmiechem.

A Vivi wpada w szal.

– Do cholery, co ty tu robisz?

Mrugam, stojąc jak sparaliżowany. Dobra. Nie tego się spodziewałem. Zachowaj spokój. Obwinia mnie o to, co się stało? Celofan, w który owinięty są kwiaty, skrzypi lekko, kiedy się naprężam.

– Mogłam cię zabić, Jonah. Tamtej nocy byłeś ze mną na vespie. Powinieneś być na mnie wściekły. Powinieneś nakleić moją twarz na tarczę do rzutek. Nie powinno cię tu być. Co z tobą jest nie tak?

Potrzebuję całych pięciu minut, żeby zrozumieć. Obwinia siebie?

Podchodzę do niej bliżej. Chcę dotknąć jej dłoni, poczuć, że jest prawdziwa, że wszystko jest w porządku.

– Nic nie jest ze mną nie tak. Boże, Viv, nie jestem wściekły. Jak mógłbym być wściekły? Jest mi strasznie przykro z powodu tego, co się stało, i tego, że zrobiłaś sobie krzywdę.

Jej oczy otwierają się szeroko, są niemal dzikie.

– Nie potrzebuję twojej litości! Po co tu w ogóle przyszedłeś? Po co?!

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale nie dopuszcza mnie do głosu. Łzy ciekną jej po policzkach. To wszystko jest nie tak. Bardzo nie tak.

– Wynoś się. – Rzuca we mnie pustym plastikowym kubkiem, a ja robię unik. Dobry Boże. – Nie mogę na ciebie patrzeć. Wynoś się, wynoś się!

Wciska bez opamiętania czerwony guzik przy łóżku i po paru sekundach zjawia się pielęgniarka. Oblewa mnie zimny pot.

– Niech go pani wyrzuci! – Vivi szlocha. – Niech go pani wyrzuci, proszę.

– Chodź, synu – mówi pielęgniarka, kiwając na mnie.

Wychodzę na korytarz, bo nic innego mi nie pozostaje. Jestem zszokowany, dręczy mnie poczucie winy. Pielęgniarka zamyka za nami drzwi. Nadal trzymam w ręce głupie kwiaty i nic nie rozumiem. Pielęgniarka wygląda na smutną.

– Mam nadzieję, że nie weźmiesz tego do siebie. Pierwsze dni są takie trudne.

– Nic się nie stało – mamrocę, bardziej do siebie niż do niej.

Kwiaty zostawiam w dyżurce pielęgniarek i proszę kobietę przy biurku, żeby podziękowała wszystkim za opiekę nad Vivi.

Słowa Vivi nie opuszczają mnie długo po tym, jak wychodzę na dzienne światło. Po co tu w ogóle przyszedłeś? – spytała. – Po co?

Bo przeżywałem ciężkie chwile, jeszcze zanim się poznaliśmy. Nigdy się z tego powodu ode mnie nie odwróciła. Jej uczucia do mnie nie zależały od tego, jak łatwo czy trudno było przy mnie stać. Nie musi być dla mnie promienna. Nie na tym to polega.

W domu moje rodzeństwo wie, że lepiej się do mnie nie odzywać,

gdy mieszam składniki. Wyrzucam ciasto na blat i zbyt mocno dociskam wałek. Zwijam je z powrotem w kulkę i znowu wałkuję. Wygląd jak z obrazka. Jestem cały w mące, kiedy wkładam je do pudełka z restauracji. Naciskam zbyt mocno długopisem, gdy piszę liścik.

Po co? Bo powiedziałaś mi kiedyś, że nie boisz się ciemnych miejsc. Ja też się ich nie boję, Viv. Wiesz o tym. Gdybym się bał, oboje wiemy, że wiele miesięcy temu odpuściłbym sobie sprawę mojej rodziny.

Powiedziałaś mi też, żeby pytać, czego ludzie potrzebują, i słuchać. Więc pytam. Słucham. A tymczasem mam ciasto dla Ciebie, bo może właśnie tego Ci potrzeba. To szpitalne jedzenie wyglądało odrażająco.

Jonah

Vivi:

Jonah był u nas w domu wczoraj wieczorem.

– Wiem – mówię poirytowana. Nowy szpital, ale jedzenie takie samo. Gluty bez smaku sprawiają, że wariuję w nowy, inny, żaloszny sposób. Jestem w szpitalu od pięciu dni, które odmierzam najgorszymi wydarzeniami – dwa dni, odkąd zdjęli mi cewnik, jeden dzień, odkąd przenieśli mnie tutaj i nakrzyczałam na słodkiego, skołowanego Jonaha Daniela. Ale moja mama nie wie o tej drugiej historii. – Mówiłaś mi. Opiekuje się Sylwią.

Mama marszczy brwi. Nie było jej w sali, kiedy wpadł Jonah, dzięki, Gaju.

– Tak. Ale kiedy wróciłam do domu, malował u ciebie sufit. Przykrył wszystko i zamalowywał narożniki, których ty nie pomalowałaś.

Dosłownie rzuciłam czymś w Jonaha, kiedy mnie odwiedził, a on w odpowiedzi na to poświęcił resztę dnia na dokończenie czegoś, na co nie wystarczyło mi cierpliwości? Nienawidzę go za to, dosłownie. Jakim trzeba być potworem, żeby nienawidzić chłopaka, który poświęca się, żeby dokończyć jej fanaberie? Mną.

– To miło. – Nic w moim głosie nie wskazuje na to, żeby faktycznie jest mi miło.

– Kochanie, powinnaś do niego zadzwonić. Jest taki dobry, tylko...

– Przestań, dobrze? – Mój głos robi się ostry, ale do tej pory powinna się była nauczyć.

Wiem, że Jonah jest miły, i dlatego myśl o nim sprawia, że mam wrazenie, że zacznę się pocić pod szpitalną koszulą. Bo jest dla mnie tak cholernie miły, a ja chcę, żeby reagował jak normalny człowiek i trzymał się ode mnie z daleka. Ja jestem jak prąd odpływowy, a on jest zaślepionym głupcem. Naprawdę, ten chłopak nie ma za grosz instynktu samozachowawczego.

– Możesz pomóc mi się ubrać? Nie pójde na wizytę w tej szpitalnej szmacie.

Mama przywiozła mi kilka swoich sukienek. To luźne tuniki, które z łatwością przejdą przez gips i nie dotkną bandażu na mojej nodze.

Mama pomaga mi włożyć moją ulubioną, a ja czuję ból w obojczyku, w miejscu, gdzie mam szwy. W sali nie ma lustra, ale przynajmniej dobrze się czuję w tej sukience. Wije mi się wokół ud, kiedy pielęgniarka prowadzi mnie korytarzem. Nie cierpię tego, że lekko się chwieję, ale moja lewa noga jest całkiem sztywna i pokaleczona.

Terapeuta jest starszy, niż się spodziewałam. Ma ciemną skórę, białą brodę i sweter. Wygląda na miłego, ale surowego, jak starzejący się rybak.

– Cześć, Vivi – mówi, podając mi rękę. – Nazywam się Brooks.

– Dzień dobry. – Rozglądam się dookoła, szukając informacji z jego życia. Na dyplomie na ścianie czytam, że nazywa się Malone Christopher Brooks.

Uśmiecha się, kiedy siadamy, ale ja nadal rozglądam się... nie wiem za czym. Za zdjęciami dzieci albo chociaż psa. Nie mogę znieść tego, że on ma informacje na mój temat, a ja nie wiem o nim nic.

– Więc, powiedz mi, jak się czujesz.

Uwięziona, winna, zażenowana, otumaniona środkami przeciwbólowymi.

– W porządku.

– To dobrze – mówi, ale nie daje się nabrać. – Przejdźmy do rzeczy. Twoja lekarka w Seattle zdiagnozowała u ciebie zaburzenia afektywne dwubiegunowe drugiego typu w marcu. Zgadzasz się z tym?

Do cholery, co to za pytanie? Przez chwilę zastanawiam się, czy ma zamiar oficjalnie zmienić diagnozę na zaburzenia afektywne dwubiegunowe pierwszego typu.

– Prawdę mówiąc, nie chcę.

– Zgodzić się z diagnozą czy mieć zaburzenia?

– Jednego i drugiego. Ale zanim pan to powie, wiem. Depresja, epizod hipomaniakalny w marcu, potem nowe leki i nowy epizod w ostatnim... – Chcę powiedzieć: tygodniu. A może minęły dwa tygodnie? Nawet nie wiem. – Czasie. Więc ja o tym wiem. Klasyczne objawy.

– Cóż – mówi, odkładając kartę. – To główne objawy, ale u każdej osoby są inne, więc chciałbym wiedzieć, co dla ciebie znaczą. Mogłabyś mi powiedzieć, jak wyglądał twój marcowy epizod hipomaniakalny?

Wpatruję się w jego miłą, szczerą twarz, i coś podłego we mnie

chce go zaszokować.

– Och, mogę. Zobaczymy! Poszłam na koncert, na którym poczułam się jak naćpana, chociaż wcale nie byłam, aż w końcu byłam, i poszłam do domu z dziewczyną, którą tam poznałam, artystką od tatuaży. Wymarzyłam sobie kolorowy kwiat lotosu następnego ranka, a ona wytatuowała mi go z boku. Moja mama pracowała cały czas w swojej pracowni, ale wywiązała się między nami ostra kłótnia, kiedy się zorientowała, że nie wróciłam do domu.

Cały czas kiwa poważnie głową, notując. Poczekaj, doktorku. Ja się dopiero rozkręcę.

– Jakoś udało mi się pójść na imprezę urodzinową do mojej przyjaciółki Ruby, a wcześniej, pod wpływem impulsu, kupiłam jej torebkę za trzysta dolarów. Piłam wódkę, paliłam z obcymi. A potem przespałam się z byłym chłopakiem mojej przyjaciółki Amali w jej sypialni. Był też inny chłopak tej nocy.

Już nie kiwa głową. Jego dłoń przestaje pisać.

– Wszyscy pomyśleli, że porządnie się upiłam. I, cóż... Chodził pan do liceum. – Posyłam mu uśmiech, który, mam nadzieję, wygląda na sardoniczny. – Może sobie pan wyobrazić, co o mnie później mówili. Następnego dnia powiedziałam mamie, że muszę zgłosić się na policję, bo jestem okropną osobą, która nie zasługuje na to, żeby chodzić na wolności. I niespodzianka! Zaraz potem mama zaprowadziła mnie do doktor Douglas.

Potrzebuje kilku sekund, żeby dojść do siebie.

– To musiało być dla ciebie potworne. Jak się czułaś?

Udręczona. Zgwałcona. Co niezupełnie ma sens, bo wszystkie te rzeczy robiłam wtedy dobrowolnie, bardziej niż chętnie. Potrzebowałam tego. Tak to czułam.

– Doktorze Brooks, jestem gotowa nosić worek pokutny do końca życia, gdybym dzięki temu mogła wymazać przykrości, jakie sprawiłam ludziom, kiedy... miałam fazę hipomaniakalną. – Czy to w ogóle odpowiednie słowo? Mam to coś, a nawet nie wiem, jakiego języka używać, mówiąc o tym. – Nie zna mnie pan, więc nie będzie pan rozumiał, ile cierpienia sprawiłoby mi noszenie codziennie tego samego ubrania, nie mówiąc o tym, że byłby to jutowy worek.

– A co z cierpieniem, jakiego przysporzyło to tobie, Vivi?

Po pierwszym dniu wcześniejszej terapii doktor Douglas wysłała mnie po środek antykoncepcji awaryjnej i na badanie na HIV. A ja byłam w takiej depresji, w takiej cholernej depresji, że nawet nie poczułam ulgi, kiedy testy dały wynik negatywny. Dostałam zwolnienie lekarskie ze szkoły. Jeżeli chcę skończyć liceum w terminie, będę musiała w przyszłe wakacje chodzić do szkoły. Nie odpowiadam, więc lekarz pochyła się do mnie.

– Powiedziałaś ludziom? Że miałaś epizod hipomanii? Że twoje czyny były spowodowane zaburzeniami afektywnymi dwubiegunowymi?

– Nie. Ja... – Chyba wtedy tak naprawdę nie wierzyłam, że mam zaburzenia dwubiegunowe. Że opowiadanie o tym byłoby jak wymówka, w którą ja sama nie wierzyłam. Amala była taka upokorzona, zepsułam urodzinowe przyjęcie Ruby, doskonale pamiętam obraz szlochającej Amali, która krzyczy na mnie z trawnika przed domem i którą jednym ramieniem obejmuje Ruby. Pokonuję całe kilometry, oddalając się od domu Ruby, do mojego domu.

– Nie powiedziałam.

Doktor Brooks nie naciska.

– A potem do antydepresantu dołączono stabilizator nastroju. Jak się sprawdził?

Wymachuję zamasyście obiema rękami, jakbym chciała powiedzieć: oto jestem! Jak pan myśli, jak się sprawdził?

– Przestałaś brać stabilizator?

– Tak.

– Dlaczego?

Mrużę oczy. Wie dlaczego.

– Bo czułam się... nieswojo.

Kiwa głową i coś notuje.

– Ale to był tylko jeden lek w jednej dawce. Jest wiele możliwości, dzięki którym można uregulować twoje ciało w zdrowszy...

– Uregulować?

– Tak. – Przerywa, jakby zastanawiał się jeszcze raz nad doborem słów. – Nie uważasz, że należy teraz powiedzieć, co jest w tej chwili

konieczne? Miałaś epizod depresyjny, który zakończył się samookaleczeniem. Ten epizod był podobny.

Mój temperament eksploduje jak gumka w mojej obolałej piersi.

– O Jezu, święty Boże, wielka mi afera. Nie chciałam się zabić ani wtedy, ani teraz, ile razy mam wam to, ludzie, powtarzać?

Cofa się, unosząc dłonie, żeby pokazać mi, że nie jest uzbrojony.

– Przepraszam, że zasugerowałem próbę samobójczą. Chodziło mi o to, że w obu przypadkach odniosłaś fizyczne obrażenia. Ale, Vivi, ja naprawdę jestem zdania, że leki w odpowiednich dawkach pomogą ci bardziej, niż sobie wyobrażasz. Jestem też przekonany, że terapia pomoże ci przepracować wszystko, czego doświadczyłaś, i to, jak zaburzenia dwubiegunowe wpływają na twoją tożsamość.

Po części dlatego, że lubię, kiedy to ja zadaję pytanie, pytam:

– Pan jest terapeutą, prawda? Nie może mi pan w tym pomóc teraz?

– Na tej krótkiej dzisiejszej wizycie? Nie.

– Dlaczego?

– Bo zachęcałbym cię, żebyś mówiła o tym otwarcie. Ale to wymaga ćwiczeń. Chciałbym, żebyś uświadomiła sobie, że zaburzenie dwubiegunowe jest tylko jednym z niejednego oblicza życia. Że trzeba się porządnie zastanowić nad tym, jak chcesz, żeby to życie wyglądało. I, oprócz leczenia i terapii, zalecałbym ci, żebyś zaakceptowała diagnozę. A to przychodzi z czasem i doświadczeniem.

– Oj, tak po prostu zaakceptować zaburzenie dwubiegunowe? – Mam ochotę zerwać się na równe nogi i wyjść. Mówi jak pan Hayashi. „Takie jest życie. Trzeba sobie jakoś radzić”.

Doktor Brooks wydaje się niewzruszony moim lekceważącym podejściem.

– Tak. Słyszę, jak mówisz, że nie chcesz cierpieć na zaburzenie afektywne dwubiegunowe. Jest bardzo męczące i radzenie sobie z nim może być frustrujące. Ale masz kochającą rodzinę, dom, dostęp do opieki zdrowotnej. – Jego uśmiech jest niepewny, w tej chwili cieplejszy i mniej lekarski. – I masz w sobie chęć walki. Tyle mogę powiedzieć.

Ha! Chęć walki, artystyczną duszę i całe wirujące galaktyki, doktorze.

– Powiedzmy, że spróbuję tego nowego leczenia – mówię – ale się nie sprawdzi...

– Omówimy różne warianty. Na pewno cię wysłuchamy. Znam doktor Douglas. Obiecuję, że ona cię wysłucha, i ja też.

Opieram się na krześle, nastawiając się na negocjacje. Czuję się tak, jakbym zajmowała wygodną pozycję w fotelu kierowcy, żeby móc swobodnie dosięgnąć dźwigni zmiany biegów po prawej stronie.

– Wydaje mi się, że to zadziała tylko wtedy – mówię, unosząc wzrok, żeby na niego spojrzeć – gdy będę miała w tej kwestii coś do powiedzenia.

Doktor Brooks się pochyla, zdradzając mi tajemnicę, która stanie się naszą wspólną.

– W pełni się zgadzam.

– Lit. – Nadal podoba mi się to słowo. – Inna dawka. Co pan na to? A może myśli pan, że potrzebny mi antydepresant, lit i coś jeszcze?

– Porozmawiajmy o tym. – Otwiera szufladę biurka. – Chcesz samodzielnie zapoznać się z literaturą?

Ze wszystkim chciałabym zapoznać się samodzielnie, doktorze. Z całym światem.

– Tak, jeżeli można.

Później, w sali, zadzieram sukienkę i wykręcam się, żeby zobaczyć tęczowy tatuaż lotosu na moim boku. I przychodzi mi do głowy myśl: co by było, gdybym przestała go nienawidzić? Gdybym ten tatuaż, bliznę i piegi tego lata potraktowała jak swoistą patynę? *Wabi-sabi* mówi, że piękno kryje się w rdzy i wyblakłej farbie. Więc gdybym pozwoliła, żeby te znaki stały się jak stemple w paszporcie, dokumentując, gdzie byłam, ale które w żaden sposób nie decydują o tym, dokąd pojedę następnym razem? A gdybym przeprosiła Amalę i Ruby i miała gdzieś, co myślą o mnie w szkole, bo znam prawdę? A jeżeli byłabym szczerą z Jonahem i pozwoliła mu dokonywać własnych wyborów i przestała się czuć tak cholernie zawstydzona? A gdybym brała życie takim, jakie jest?

Kiedy znów otwieram oczy, ktoś podchodzi do mojego parapetu z koszykiem w obu dłoniach. W pierwszej chwili myślę, że mama wróciła, ale ta osoba ma długie czarne włosy. Ellie. Zerka na mnie i staje jak wryta.

– O mój Boże – szepcze, kiedy mnie zauważa. – Tak mi przykro. Myślałam, że śpisz.

– Przyjechałaś tu?

– Tak.

Nic z tego nie rozumiem. Podnoszę się lekko na poduszce, chociaż boli mnie ramię i obojczyk.

– Co jest w koszyku?

– O, hm, trochę domowej pociechy. Przepraszam, wyglądał ładniej, ale musieli sprawdzić w dyżurce. Leah, Bekah i wszyscy pomagali mi poukładać.

Przyglądam się jej podejrzliwie – wiem – ale nie mogę opanować ciekawości.

– Czyli co?

Stawia koszyk w nogach łóżka.

– Na przykład, hm, suchy szampon. Wiem, że to nie to samo, co wziąć prysznic we własnym domu, ale... pomyślałam, że może ci się przydać.

– Mogę go użyć? – pytam.

– Teraz? Jasne. – Podaje mi butelkę i wcale nie sprawia wrażenia skrepowanej. – Chcesz, żebym cię nim spryskała?

Kiwam głową. Nie wiem dlaczego, ale w tej chwili dziwnie ciągnie mnie do Ellie. Nie byłam dla niej miła. A ona się u mnie zjawiła. Dlaczego? Podchodzi do mnie, osłania mi oczy, trzymając dłoń nad brwiami, i czuję, jak spryskuje mi głowę. Czuję silny zapach ananasów. Wmasowuje puder w moje włosy ciepłymi dłońmi. Patrzę na nią, ale ona skupia wzrok na mojej głowie. Są tak ciemne, jej oczy, że ledwie można odróżnić źrenice od tęczówek, a jej skóra jest miedziana i gładka jak cent.

Jestem pewna, że w poprzednim wcieleniu była kłaczą – elegancką, z lśniącą grzywą i długimi nogami. Silną, ale z wyboru łagodną. Nawet dla mnie, chociaż byłam dla niej wredna. Zaczynam nabierać podejrzeń, że w tym życiu jestem trollem. Ale czuję, że włosy mam lepsze. Mniej przylegają do głowy.

– Dlaczego to robisz? – Wpatruję się w nią nieruchomym wzrokiem. Wyciera dłonie papierowym ręcznikiem. – Zachowałam się

wobec ciebie jak skończona suka, a ty odnosisz się do mnie, jakby nic się nie stało. I w dodatku dostaję kosz z prezentami?

– Tak, dostajesz kosz – mówi Ellie. – Bo depresja daje kurewsko popalić.

Myślałam, że Ellie jest dziewczyną, które ja nazywam słodkimi. Raczej nie lubię słodkich, bo dużo w nich pozerstwa i ukrywania prawdziwych ludzkich emocji. Więc kiedy słyszę, jak Ellie wymawia słowo na „k” tak swobodnie, wydaje mi się zupełnie nie na miejscu, zupełnie jakby księżniczka Kate zatańczyła kowbojski taniec albo pokazała paparazzim środkowe palce obu dłoni.

– Nie za dużo wiem na temat zaburzeń afektywnych dwubiegunowych – ciągnie. – Ale mój brat był tu parę lat temu, gdy przechodził najgorsze stadium depresji. To znaczy, nie tutaj. Musiał leżeć na oddziale psychiatrycznym. Ale pomyślałam, że przynajmniej wpadnę i powiem ci, że najlepszy automat sprzedający znajduje się na pierwszym piętrze przy schodach wyjścia ewakuacyjnego.

– Twój brat tu był – powtarzam.

– Tak. Pewnie wpadłby sam, przekazał ci tajne informacje, ale tego lata studiuje za granicą. Pomyślałam, że zjawię się w jego zastępstwie.

– Więc... poprawiło mu się. Jest na studiach.

– Tak, naprawdę dobrze sobie radzi – mówi. – Chce być lekarzem, pomagać dzieciakom. Zajmuje się w kampusie wszystkim, co związane z edukacją na temat zdrowia psychicznego.

– Coś się stało? – pytam, siadając. – Coś ją u niego wyzwoliło?

Nie jest to grzeczne pytanie, ale nie przejmuję się tym. Ellie się zastanawia, przygryzając wargę.

– Nie sędzę. Ma świetne życie i wspaniałą rodzinę, ale zaczął się czuć... nawet nie smutny. Nie czuł nic. Lekarze twierdzili, że być może to kwestia hormonów, receptorów serotoniny, kto wie?

Zaciskam powieki, żeby się nie rozplakać.

– Ze mną było podobnie. Czulałam się tak jak po znieczuleniu u dentysty, kiedy możesz ugryźć się w wargę albo język i nie mieć o tym pojęcia. Z początku było to nawet zabawne, ha, ha, coś takiego, nic nie czuję! Ale potem, kiedy czucie nie wracało, myślałam, że może zostanie mi już tak na zawsze i rozpaczliwie chciałam coś poczuć.

Kiwa głową.

– Diego cały czas powtarzał, że czuł, że powinien umieć nad tym panować. Chciał zrozumieć, jak może się z tego wyzwolić. Bo przecież to twój własny umysł, prawda? Ale, oczywiście, to nie działa w ten sposób. Czasami trzeba leku.

Jej słowa sprawiają, że chce mi się płakać, tym razem pod wpływem ulgi, że ktoś mnie rozumie, bez użalania się nade mną. Wszystkim innym jest mnie szkoda i chyba cieszą się, że nie trafiło na nich. Nikt nie chce wejść w moje buty – moje imponujące, piękne buty – i potaćzyć, choćby przez minutę. Nikt inny nie spojrział mi prosto w oczy i nie powiedział, jak jest: depresja daje kurewsko popalić.

Ellie bierze oddech, żeby mówić dalej, aż nagle wzdycha cicho.

– O Boże, jak ja paplam. Przepraszam. Nie chciałam wkładać ci słów w usta, ja...

– Nie, nie przepraszaj. Wszyscy inni, którzy tu przychodzą, silą się na uprzejmość. Moja mama, nawet pielęgniarki, serwują mi te nedorzeczne, kwieciste frazesy, jakby czytali z kartki z wyrazami współczucia. A ja tak naprawdę chcę wrzeszczeć jak cholera, bo czuję się, jakbym znalazła się na wojnie, i nie wiem, jak to możliwe, że jednocześnie jestem tak zmęczona i wściekła...

Moje oczy napęlniają się ciepłymi łzami, które ściekają po policzkach. To płacz ze wszystkich powodów naraz. Taki, który wykręca duszę i oczyszcza.

Ellie siada na łóżku obok mnie, a ja jej nie powstrzymuję. Powinnam się czuć dziwnie. Jestem raczej pewna, że Jonah Daniels w końcu pokocha tę dziewczynę w sposób, którego na razie nie rozumiem. Ale czuję dziwną siostrzaną więź, taką, którą można poczuć dopiero wtedy, kiedy spadną maski i kiedy się zrozumie, że to, co jest pod nią, nie przeraża tej drugiej osoby. Podaje mi poduszkę.

– Zrób to. Krzycz.

Bez wahania przyciskam twarz do poduszki i drę się na całe gardło.

Wyrzucam z siebie te wszystkie chwile, gdy nie byłam w stanie podnieść się z łóżka, gdy czułam się beznadziejnie, gdy czułam, że nad niczym nie panuję, gdy czułam się winna i niesprawiedliwie doświadczona.

Kiedy kończę, dzwoni mi w uszach, twarz mam rozpaloną od poduszki, gardło zdarte i pulsujące. Siadam i staram się uspokoić oddech.

Ellie wypakowuje kolejne przedmioty z kosza z podarunkami. Nakłada tusz na moje rzęsy i koralowy błyszczący na wargi. Później maluje mi paznokcie jaskraworóżowym lakierem z brokatem.

– Kolor wybierała Bekah? – pytam, podziwiając mieniącą się prawą dłoń.

– Mówiąc prawdę, nie – odpowiada Ellie. Nie odrywa wzroku od pędzelka. – Naomi.

Tego się nie spodziewałam. Ellie zakręca buteleczkę i oznajmia, że manikiur skończony.

– Jestem najjaśniejszą, najbardziej połyskującą rzeczą na całym oddziale – mówię. Mój głos brzmi beznamiętnie. W środku czuję się lepiej, ale nie mogę zebrać w sobie dość energii, żeby było to słyhać.

– Byłaś i bez tego. – Ellie się uśmiecha. – Proszę, ostatnia rzecz. Od Jonaha.

Kładzie mi na kolanach białe pudełko, które wygląda i waży jak pudełko z ciastem. Boże, upiekł mi ciasto po tym, jak na niego nakrzyczałam. Może jest na nim napis: Gratulacje, Vivi! (Jesteś prawdziwą suką).

Szybkim ruchem otwieram karton i widzę złociste paski i idealnie czerwone wiśnie. Znam staranne dłonie, które kroili ciasto, i wiem, że woli gotować niż piec. Widzę go w kuchni, jak formuje krawędzie ciasta w idealnie równe zagięcie. W moich myślach marszczy brwi, ciągle na mnie zły, nawet kiedy pracuje.

Liścik drży w moich dłoniach. Boże, Jonah Daniels potrafi stać pewnie nawet wtedy, kiedy chwieją mu się nogi.

Ciasto wiśniowe z oddaniem i przebaczeniem.

– Co to jest? – pyta Ellie, zagładając do środka.

– Wszystko – szepczę z drzeniem dolnej wargi i ściskam liścik w dłoni.

Jonah:

W restauracji panuje wesoły gwar, którego nie widziałem od miesięcy. Otwieramy okna i chłodne powietrze unosi zapach wszystkich potraw. Ellie rysuje wyszukane litery na połykaczu w kształcie kanapki przed wejściem: „Nowe menu, zapraszamy 6–21, wpadajcie”.

Ja jestem w kuchennym uniformie i na razie udało mi się nie poplamzić białej koszuli. Wynajduję preteksty, żeby wyglądać przez kuchenne okno. Zwykle wolę trzymać się za kulisami, w kuchni. Ale dzisiaj? Dzisiaj muszę patrzeć, co się dzieje.

Niektórzy siedzą, ale wiele osób się kręci. Nasi kelnerzy wynoszą ostatnie przekąski i niedługo zaczniemy od przystawek. Tłum w większości stanowią miejscowi – ci sami, dzięki którym były możliwe zmiany w restauracji. Wszyscy sprawiają wrażenie zrelaksowanych. Martwiłem się tym. To było jak: hej, przyjdźcie do restauracji mojego nieżyjącego taty i postarajcie się świetnie bawić. A jednak oni się bawią. Ethan, kolega Naomi, inżynier ochrony środowiska, rozśmiesza czymś Leah. Silas rozmawia z Carol Finney; skończyła studia na tym samym uniwersytecie, na który on jedzie za miesiąc. Betty stoi obok swojej żony i raczy grupę osób opowieścią, od której promienieje.

– No – mówi Felix, rzucając we mnie ścierką. – Zrób sobie przerwę. My sobie poradzimy.

Trudno nie czuć oszołomienia. Idę przez restaurację i jestem bombardowany ze wszystkich stron. To dla mnie za dużo. Nie radzę sobie z kurtuazyjnymi rozmowami. Staram się uśmiechać. Kiwam grzecznie głową. Przyjmuję szczere poklepywanie po plecach. Pochwały mnie cieszą, ale nie wiem, jak reagować. Wolałbym, żeby ludzie napisali swoje miłe uwagi na skrawku papieru. Mógłbym je przeczytać, kiedy nikt nie czekałby na moją nieudaczną reakcję.

Cały czas wydaje mi się, że kątem oka widzę mamę, ale wiem, że nie przyjdzie. I nie mam jej tego za złe. Pokazałem jej wydruki nowego menu i wszystko. Była tak przejęta, jak nie widziałem jej od miesięcy. Ale przebywanie w restauracji ze wszystkimi to byłoby w tej chwili zbyt wiele. Nie jest jeszcze na to gotowa.

Nie jestem nawet rozczarowany. Bo rozmawialiśmy o tym.

Powiedziała, że nie może przyjść, i wyjaśniła dlaczego. Powiedziała, że rozmawiała o tym ze swoją grupą wsparcia, a oni zachęcili ją, żeby posłuchała intuicji. Nie musiałem się domyślać, że nie przyjdzie dlatego, że siedzi w swoim pokoju. Powiedziała mi o tym jak dorosłemu, któremu ufa. Wie, że jestem w stanie udźwignąć prawdę.

W drodze powrotnej do kuchni podkradam z tacy jedną z moich ulubionych przekąsek – kawałek grillowanego sera. Podałem go z domowym rozmarynowym chlebem Ellie, topionym gruyère i musem figowym.

– Mmmmm – mruczę do siebie beznadziejnie, jak człowiek, który próbuje czegoś wyjątkowo pysznego. Owszem, ja to zrobiłem, ale... co mam powiedzieć? Jestem dobry.

– Wykradasz produkty? – pyta Ellie z uśmiechem, trącając moją rękę. Jest w stroju kelnerki, włosy ma związane w kucyk. – Dziwię się, że wypuścili cię z kuchni.

– Zrobiłem sobie przerwę. Przystawki są gotowe, do przygotowania deseru mam parę minut.

– Cieszę się. Chciałam was porwać na sekundę. – Ciągnie mnie za rękę do reszty moich braci i sióstr. Są wszyscy – Silah przyprował Isaaca i Bekah, którzy wcześniej pomagali, a Naomi przyprowała Leah chwilę później, żeby się nie nudziła. Nie jestem przekonany, czy to dobry pomysł, żeby cała piątka była razem w restauracji. Nieobecność staje się taka wyraźna. Ścisną mnie w żołądku, tęsknię za nim.

– Co robimy? – pyta Leah.

– Wychodzimy na chwilę na zewnątrz – mówi Ellie.

Leah odwraca się do mnie.

– Jonah, uwielbiam pizzę! To moje ulubione danie!

– Moje też! – mówi Isaac.

Pizza? Isaac widzi moje zdziwienie.

– No, wiesz... tę z serem. Były na niej kawałki jabłka?

– Podpłomyki?

Isaac i Leah wzruszają ramionami.

Hm. To podpłomyki z brie, plastrami jabłka i konfiturą cebulową. A ja myślałem, że Leah nie będzie smakowało nic z nowości prócz deseru. Byłem przygotowany na chór czterech głosów: „To smakuje jak

tektura”.

Stoimy przed restauracją i Ellie daje nam znać, żebyśmy stanęli trochę bliżej siebie. Zerkam na Naomi, zastanawiając się, czy ona wie, o co w tym wszystkim chodzi. Kręci głową.

– Chcę zrobić kilka zdjęć, dobrze?! – krzyczy Ellie. – Tata kazał mi przysiąc.

Naomi, Silas i ja spoglądamy po sobie. Skoro już tu jesteśmy, co nam szkodzi.

Przysuwamy się do siebie, cała szóstka. Silas bierze Leah na rękę, a Isaac opiera się o Naomi. W pierwszej chwili myślę, że będę musiał silić się na uśmiech, jak zwykle przy zdjęciach. Ale nagle Bekah, która obejmuje mnie jedną ręką w pasie, lekko mnie ściska. Wiem, że jutro wrócimy do rzeczywistości, będziemy się przekrzykiwać i kłócić. Ale dzisiejszy wieczór jest wyjątkowy.

– Uśmiech! – mówi Ellie i wyciąga telefon. Robi parę zdjęć, a potem się rozsuwamy. Silas stawia Leah na ziemi, Bekah zabiera rękę z moich pleców. Znow zerkam na Naomi. Moja siostra, brat i ja się nie przytulamy. Tak już jest. Ale Naomi obejmuje mnie i Silasa i stoimy tak w tym trzyosobowym uścisku, który wcale nie wydaje się dziwny. Maluchy do nas dołączają, Leah obejmuje moją nogę. Wiem, że aparat Ellie nie jest w nas wycelowany. To zbyt prywatna chwila. Taka, której piękna aparat i tak nie byłby w stanie uchwycić. Odsuwamy się od siebie szybko, bo chwila zaczyna się robić zbyt podniosła.

– Płaczesz? – pytam Naomi, która ma szkliste oczy.

– Nie! – Trąca mnie w rękę z uśmiechem. – Zamknij się.

Wracamy do środka, jakby nigdy nic.

Od stycznia starałem się wierzyć, że przetrwamy. I dzisiaj wieczorem, tutaj, przychodzi mi do głowy, że na pewno przetrwamy. Że będzie dobrze. Może nawet wspaniale.

Wiem, że restauracja nie jest moim tatą. Wiem, że jego spuścizna jest czymś więcej niż cegły i zaprawa. Wiem, że przyrządzanie owsianki dla mojej rodziny nie ochroni jej przed chorobami serca. I wiem, że ciasto wiśniowe, które upiekłem dla Vivi, nie odmieni tego, przez co musi przechodzić.

Ale rzecz w tym, że czasami, próbując naprawić różne sytuacje, my

sami stajemy się lepsi. Chodzi mi o to, że staram się tworzyć dobre rzeczy wśród zła. Żałoba czy nie żałoba.

Czasem mi się udaje.

Po wyjściu ostatniego gościa wycieram stoliki na patiu. Białe świece się wypaliły i zostały z nich gasnące resztki. Przez cały wieczór czułem bliskość taty. To boli, a jednocześnie, jakimś cudem, łagodzi ból.

Ale teraz czuję, że stoi za mną ktoś rzeczywisty. Obecność spowija mnie jak fala oceanu i coś jeszcze. Wisteria. Wyczuwam Vivi, zanim usłyszę jej głos.

– Cześć.

Stoi w alejce w sukience i butach na płaskiej podeszwie. Według standardów Vivi to nudny strój, a wargi ma bardzo różowe, a nie czerwone. Szyna zasłania połowę jej tułowia. Lewą nogę ma w połowie zakrytą dużymi kwadratowymi gazikami. Jest zamarłą w miejscu pięknością, jest taka, jakiej moje oczy nie widziały przez kilka ostatnich dni. Czuję się, jakbym widział ją pierwszy raz, ale jakbym znał ją całe życie. Jak pierwszego dnia i ostatniego.

– Cześć.

Odkładam ścierkę i odwracam się do niej, ale ona do mnie nie podchodzi. Zachowuje między nami dystans, niepewna mojej reakcji.

– Przykro mi, że nie było mnie na imprezie. – Głaszcze dłonią ścianę sklepu z narzędziami, która jest zwrócona przodem do patia. Robi tak, kiedy nie chce spojrzeć mi w oczy. – Nie mogłam pojawić się wśród ludzi tak szybko i...

– Viv. Wiem. Nic się nie stało.

– Przepraszam za ten dzień w szpitalu. Nie chciałam wybuchnąć... Tylko... – Wzdycha. – Zawsze kochałam *Czarnoksiężnika z krainy Oz*. Każda dziewczyna chce być Doroty Gale albo może Glindą. Ja nigdy nie chciałam być tornadem.

Otwieram usta, żeby powiedzieć, że nic się nie stało, że cieszę się, że ją widzę. Że jeżeli jest tornadem, to nie dlatego, że sieje terror w małym miasteczku. Tylko dlatego, że unosi nas do miejsca, gdzie wszędzie są kolory. Ale ona zaczyna znowu.

– Zrobiłeś tu piękną rzecz, Jonah. – W końcu spogląda mi w oczy.

– Dzięki. Zostało trochę jedzenia. Chcesz sernika albo coś innego?

– Nie, dziękuję. – Uśmiecha się lekko, widząc moje zaskoczenie. – Wracam ze śniadania z panem Hayashim. Śniadanie na kolację.

Robię krok w jej stronę pod wpływem impulsu – żeby być bliżej. Nie wiem, dlaczego wróciła.

– Dobrze się czujesz? Bardzo cię boli?

– Dobrze. Leki przeciwbólowe pomagają. – Wskazuje ścianę obok niej. – Powinieneś coś zrobić z tą gołą ścianą. Pan Thomas na pewno ci pozwoli.

– Prawdę mówiąc, sam to zaproponowałem. Tylko jeszcze o tym nie myślałem.

– Tak, sporo się ostatnio u ciebie dzieje. – Znów unosi głowę tak, że nasz wzrok znajduje się na jednym poziomie. – Chcesz się ze mną przejść? Możesz wyjść?

Taki drobiazg jak sprzątanie może poczekać do jutra. Wszystko może poczekać do jutra, jeżeli chodzi o Vivi.

– Jasne.

Otwieram furtkę i staję obok niej w alejce. Normalnie wziąłbym ją za rękę. Ale nie jest normalnie. Nie wiem, czy powinienem zachowywać się jak dawniej. Nie wiem, czy ona nadal lubi mnie tak jak wcześniej. Niczego nie jestem pewien. Ruszamy Main Street, a ona milczy.

– Więc... – próbuję zacząć. Brakuje mi punktu zaczepienia. Jestem skrępowany, a mój mózg boleśnie podskakuje na brukowanych uliczkach. – Co... nowego?

Zamiera. Żałuję, że nie mogę zgiąć się tak, żeby kopnąć się w twarz. Co nowego? Do cholery, co to za pytanie?

Ale Vivi parska śmiechem. Z początku jest to dźwięk delikatny jak szmer wiatru, ale po chwili zgina się wpół na chodniku, zaśmiewając się. Ja też zaczynam się śmiać. Z początku niepewnie. A potem coraz głośniej. Stoimy naprzeciwko siebie i nie możemy przestać. Vivi unosi wzrok i zakrywa usta. Nasze oczy patrzą na siebie, a my zanosimy się od śmiechu.

Kiedy udaje nam się uspokoić, Vivi obejmuje mnie w pasie, nadal chichocząc pod nosem. Jakby nigdy nic, znów jest między nami jak dawniej. Inaczej, bo wiemy więcej. Ale to dobrze.

Nie ma samochodów, więc możemy iść środkiem ulicy. Latarnie

wyznaczają nam drogę.

– Oj, Jonah, co za tydzień.

Chcę ją objąć, ale nie mogę przez gips i temblak. Powstrzymuję się, żeby się nie skrzywić, kiedy przypomina mi się jej wystająca kość po wypadku.

– Czy dzisiejsza impreza wypadła tak jak sobie wymarzyłeś?

– Tak. Czułem, że to właściwa rzecz. O ile to ma sens.

– Ma.

– Więc, hm. Jak się naprawdę czujesz? – Zerkam na nią z góry, a ona spogląda w górę.

Przy oczach z boku pojawiają się drobne zmarszczki, kiedy się uśmiecha.

– Właściwie, dość dobrze. Głównie oglądałam telewizję, spałam i pozwalałam pielęgniarce zmieniać opatrunki. Ale byłam też na paru wizytach terapeutycznych, nawet na sesji rodzinnej z mamą. Było... Nie wiem. Poczulałam ulgę.

Rozmawiamy na bardzo poważne tematy. Ale – nie wiem, jak to wyjaśnić – rozmowa przebiega spokojnie. Mam wrażenie, że jest niemal swobodna. A, przynajmniej, jak my.

– Terapia z mamą miała sens? – pytam. – Pytam z ciekawości, bo, hm, moja mama dwa razy w tygodniu chodzi na spotkania grupy wsparcia w smutku. Pan Hayashi jej o niej powiedział. On chyba też tam chodzi.

– Tak. – Uśmiecha się, jakby już o tym wiedziała. – Rodzinna terapia była naprawdę udana. Na ogół dobrze nam się rozmawia z mamą, ale chyba łatwiej rozmawia się w innym otoczeniu.

– Moja mama usiłuje namówić nas, żebyśmy poszli. Cieszę się, że ona chodzi, ale... – Zerkam przez ramię. – Nie wiem.

Następuje chwila ciszy, a ja zaczynam szukać innego tematu. Ratuje mnie Vivi.

– Żona mojego taty przysłała mi list. Dała mi go dziś mama.

Jasny gwint.

– Naprawdę? Nieźle.

– Tak. Jeszcze go nie otworzyłam. – Odgaduje moją minę i się uśmiecha. – Wiem, sama jestem zaskoczona. To znaczy, gdybym była w

pobliżu Pandory, kiedy dostała puszkę, skakałabym z niecierpliwości i kazała natychmiast ją otwierać, no, dalej, dziewczyno, szybko. Ale ten list... wiele dla mnie znaczy.

– Myślisz, że w końcu go otworzysz?

– No, pewnie. Muszę przetrwać wiele rzeczy i chcę dać sobie trochę czasu. Na wszystko. Ale nadal myślę, że jeżeli chodzi o niego, niczego nie straciłam. I nadal mam mamę, i zawsze będę ją miała. A kiedyś może nawet poznam moje przyrodnie rodzeństwo.

Wychodzimy poza miasto. Wiem, dokąd prowadził nas ten cały spacer. Na wybrzeże, które Vivi lubi najbardziej. Obejmuje mnie w pasie, gdy idziemy przez wysoką trawę. Słyszę huk wody pod nami, kiedy omijamy kępy żółtych kwiatów.

Księżyc świeci nad naszymi głowami, tak jak tamtej nocy, gdy biegliśmy do oceanu. Mam wrażenie, że było to wieki temu. Wieki temu, a jednak niedawno. Vivi zatrzymuje się jakieś pięć metrów od urwiska.

– Usiądźmy – mówi. – To idealne miejsce.

Vivi:

Siedzimy obok siebie na tym skrawku ziemi, który wcina się w ocean, a wiatr opowiada swoje tajemnice, poruszając wysoką trawą. Księżyc głaszcze swoim blaskiem piękne włosy Jonaha. Kusi mnie, sprawdza moją silną wolę, ale ja nie przestaję przeć naprzód, tak jak trzeba, kiedy jesteśmy wobec siebie prawdziwi.

Już czułam, że przyzywają mnie góry, deszcz i słońce, dom. Ale ostatnie wątpliwości runęły, gdy dostałam wiadomość od Ruby, kiedy leżałam w szpitalu. Zdjęcie ładnej dziewczyny, której nigdy wcześniej nie widziałam, ciemnoskórej, z okrągłymi policzkami, uśmiechniętej przy stoliku ulubionej kawiarni Ruby.

„Ma na imię Kara. Zakochuję się, Viv. Chciałabym, żebyś ją poznała”.

Przycisnęłam telefon do piersi i płakałam, płakałam, i wiedziałam, gdzie jest moje miejsce. Można tęsknić za miejscem, z którego się pochodzi, to tęsknota za domem. Za związkiem, to złamane serce. Ale czy jest słowo, określające taką tęsknotę za przyjaciółką?

Więc nigdy nie czułam się silniejsza niż teraz, kiedy pakowałam rzeczy z mojego pokoju w domu Richarda. Jedną ręką pakowałam terażniejszość, mierzyłam się z przeszłością i przygotowywałam na przyszłość. Nigdy nie byłam też smutniejsza. Smutna, ale silna. To możliwe. Mnie wychodzi.

Robię wdech, wydech, ale nic ze mnie nie wychodzi.

– Wracamy do Seattle.

Cisza staje się jeszcze jedną osobą między nami, wiruje, zmienia kształty. W końcu Jonah wzdycha.

– Obawiałem się, że to powiesz.

– Za dwa dni.

– Za dwa dni? – Widać, że dręczy go poczucie straty, frustracja, że jest dezorientowany, że zмага się ze wszystkim. Nie mogę znieść tego, że mu to robię, chociaż część mnie cieszy się z tego, że dzięki mnie tyle czuje. – Twoja mama nie może ci kazać wyjeżdżać tak szybko, to szaleństwo.

Przełykam z trudem ślinę, niemal zawstydzona.

– To ja poprosiłam, żebyśmy wyjechały najszybciej jak to możliwe. To ja.

– Ale... dlaczego? To znaczy, wiem dlaczego. Chyba. Po prostu... Krzywi się, jakby odczuwał fizyczny ból. I tak faktycznie jest.

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżała.

Wyciągam do niego rękę.

– Wiem... Ale to tak jak z twoim dzisiejszym przyjęciem. Po prostu wiadomo, że to właściwa rzecz.

Pociera twarz, na której pojawiła się broda, odkąd ostatnio go widziałam. Znów wzdycha, powinnam się tego spodziewać po tej rozmowie. Mnie wcale nie jest łatwiej niż jemu. Ja jestem po prostu bardziej pewna.

– To chyba oznacza zerwanie? – pyta.

Określenie „zerwanie” jest takie burżuazyjne. Takie pojęcie po prostu nie pasuje do mojego postrzegania związków i ich płynności. Ja też wzdycham, bo bardzo nie lubię marnować czasu na określanie tego, kim są, a kim nie są dla mnie ludzie. Ale może właśnie tego on ode mnie oczekuje, a chcę mu dać wszystko, czego potrzebuje... wszystko, oprócz siebie. Tego dać mu nie mogę.

– Będzie nas dzielić dwanaście godzin. Nie wiem, jak moglibyśmy być razem.

– Możemy do siebie pisać... i się odwiedzać. – Zerka przez ramię, żeby zobaczyć moją reakcję.

Zaciskam powieki i nie mogę sobie wyobrazić, że spotykam się beztrąsko z Jonahem Danielssem. Umówimy się na kawę, kiedy wpadnie mnie odwiedzić na studiach, i będzie tak zwyczajnie, po prostu dwoje dawnych kochanków, którzy siedzą naprzeciwko siebie. A tymczasem ja będę chciała przeczołgać się przez stół w jego ramiona, rozpaczliwie usiłując przenieść nas do tego lata. To chyba będzie za bardzo bolesne.

Poza tym w jego przyszłości pojawią się inne dziewczyny i każda zmieni trochę Jonaha Danielsa na swoją modłę. Kolejne kłody pod nogi. Chcę go dla siebie, ale chcę, żeby on też przeżył przygodę. I ja również.

Bóg wie, że esemesy nie wystarczą.

– Oj, Jonah. Ty jesteś korzeniem. Ja chmurą. Zawsze będziemy się kochać z daleka.

Mam nadzieję, że się uśmiechnie, ale on jest wyraźnie wstrząśnięty tym, że jestem tak bezpośrednia.

– Muszę zrobić ze sobą porządek.

– Wiem i chcę tego. I będę cię wspierał...

– Wiem. Ale muszę to robić w moim tempie, dla siebie. Wiem, że nigdy byś mnie nie poganiał, ale ja chyba poganiałabym samą siebie. Gdybyśmy planowali odwiedziny, chciałabym wypaść przed tobą lepiej.

Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale siadam mu na kolanach, nim zdąży się odezwać. Siedzi ze zgiętymi kolanami i ja siadam dokładnie tak samo, tylko w drugą stronę. Potrzebuję chwili, żeby się umościć, z powodu szyny na ręce i złamanych żeber, które sprawiają mi ból. Kiedy już siedzę, patrzę prosto w jego brązowe oczy, a one niemal topią moje postanowienie. Wiejący od morza wiatr mierzwi nam włosy, przebiega mnie dreszcz. Wyobrażam sobie, jak musimy wyglądać z daleka – dwie małe splecione plamki, siedzące na klifie nad oceanem i pod gwiazdami. Chcę powiedzieć, że są gorsze miejsca na to, żeby złamać komuś serce. I swoje przy okazji.

Ale to, że trafiliśmy na siebie, było sprawką niebios, i tak musi być.

– Może byliśmy umierającymi planetami, Jonah, które wciągała ciemność. – Prawą dłonią dotykam jego policzka i marzę, żeby móc go dotknąć obiema dłońmi. – Kiedy się zderzyliśmy, wepchnęliśmy siebie nawzajem z powrotem na orbitę. A teraz musimy to zrobić, musimy wrócić na swoje ścieżki, bo to właśnie sobie daliśmy.

– Brzmi samotnie. – Posyła mi ten niepewny uśmiech.

Serce łomocze mi w mostku, krzyczy do mnie: zdrajca! Zdrajca!

– Owszem, trochę samotnie.

Jonah wkłada mi za ucho kosmyk niesfornych włosów. Jego uśmiech nie jest w stanie ukryć bólu, który on czuje w piersi.

Wyczuwam go.

– Możemy powiedzieć: może kiedyś?

Pochyliam się, dotykam wargami jego warg. Pachnie sobą, szamponem, oregano i wszystkim, co chciałabym zatrzymać, chociaż wiem, że nie mogę.

– Kiedyś, Jonah. Kiedyś.

Kiedy się prostuję, siedzimy, dotykając się czołami. Jonah Daniels, mój słodki chłopak ze zmierzwionymi włosami, spodenkami khaki i sercem, dał mi tyle rzeczy, których potrzebowałam. A jego piękna, hałaśliwa rodzina dała mi coś, czego nigdy wcześniej w życiu nie zaznałam: pragnienie takiej miłości. Może kiedy dorosnę, zakocham się i będę miała sześcioro dzieci. A może kupię mały domek z wielkim stołem w jadalni i gankiem i będę miała grupę przyjaciół, którzy będą do mnie wpadali na wino, żeby się pośmiać, nawet w trudnych chwilach. Zawsze skupiałam się na rzeczach, których chcę w życiu – paletach farb, fikuśnych tkaninach, niebie pełnym gwiazd, tańczeniu na palcach i zapachu jaśminu. Ale zwykle wyobrażam sobie siebie samą albo jak się zakochuję w wielu różnych ludziach. Ostatnio zaczęłam marzyć o stałym związku. O przyjaciołach, którzy zostaną w moim życiu na zawsze. O ludziach, co do których będę pewna, że będą mnie kochali, nawet kiedy będę leżeć – taką pewność, jaką mam wobec Jonaha. A jeżeli tego chcę, muszę poruszyć niebo i ziemię. Kocham Ruby i Amalę za bardzo, żeby nie spróbować. Mam sadzonkę klonu palmowego i widziałam, jakie piękne może być życie, które ma korzenie. Ale mam przed sobą wiele kilometrów, zanim postanowię, gdzie je zapuścić.

– Chcę ci coś powiedzieć – mówię. Chciałabym móc wszystko wytłumaczyć Jonahowi. Ale zaburzeń afektywnych dwubiegunowych nie da się wytłumaczyć. Mogłabym mu powiedzieć, że czasami jest tak, jakby jeździło się na karuzeli, szybko, oszałamiająco, z początku zabawnie. Potem zaczyna ci się dłużyć, ale nie możesz tego przerwać. Chciałabym mu powiedzieć, jak niechcący zraniłam przyjaciółki. Mogłabym mu powiedzieć, że pod wpływem depresji stałam się pusta, oschła i pozbawiona życia. Te porównania mogłyby pomóc, ale zaburzenia afektywne dwubiegunowe są schorzeniem złożonym, i moim. Moje uczucia mają sekretne kryjówki i tajemnicze przejścia, a ja nadal się ich uczę. Nie jestem w stanie określić, czym jest dla mnie moja choroba, ale mogę wypowiedzieć, kim jest dla mnie on, więc biorę głęboki oddech.

– Chcę ci powiedzieć, że nie zmieniałabym niczego w tym lecie. No, to oczywiście nieprawda.

Śmieję się serdecznie i zaczynam od nowa.

– Tej pierwszej nocy, kiedy poszliśmy na plażę, miałam na sobie nocną koszulę, bo, czemu nie? To cała ja. Ale dzień przed tym, jak rozbiłam vespę, chodziłam w tej koszuli po całym mieście, zupełnie nie przejmując się tym, czy ktoś mnie zobaczy... I, cóż, tego bym już nie zrobiła. Ale byłyby pikniki, pisanie sztuk, zabawa w podchody. Kochałabym cię tak samo.

– Wiem – mówi. Ale zamyka oczy na ułamek sekundy, pod wpływem ulgi, której nie może przede mną ukryć. Jego dłoń spoczywa na moim policzku, a on patrzy na mnie z takim podziwem, że prawie nie mogę uwierzyć, że to wszystko zostawiam.

– To dla mnie nic nie zmieni, Viv. Wiesz o tym prawda?

Ja też zamykam oczy. Tak. Wiedziałam o tym, ale te słowa są skarbem.

– I dziękuję za ciasto, Jonah – szepczę, kiedy pierwsza łza spływa po mojej twarzy. – Nigdy tego nie zapomnę.

– Ja też nie, Viv. – Bóg wie, i Jonah Daniels też, że nie mam na myśli jedynie ciasta.

Wiemy, że w moim sercu wyryte są trzy krótkie słowa: „Jonah tu był”.

Wracam do mojej rzeczywistości: wydane pieniądze, skrzywdzone przyjaciółki, leki, których nie brałam i te, które mam i które będę zażywać, droga przede mną, po której ciężko będzie się poruszać. Czuję lekką pustkę, ale nie dziurę. Czasami czuję się pusta jak nowe płótno.

Niemal próbuję wytłumaczyć Jonahowi kolejne nieprzetłumaczalne słowo: *śūnyatā*. Idea ma buddyjskie korzenie i kilka znaczeń, w zależności od kontekstu. Najbliższym jest chyba pustka, ale w naszym języku pustka kojarzy się z brakiem, niedostatkiem. *Śūnyatā* jest przestrzenią otwartą na nowe możliwości.

Ale ciepłe wargi Jonaha dotykają moich, a ja upajam się pocałunkiem jak ostatnim kawałkiem ciasta. Tego nie mówią w historiach miłosnych: to, że jakaś się kończy, nie znaczy wcale, że była nieudana. Ciasto wiśniowe nie jest nieudane dlatego, że całe znika. Jest doskonałe, a potem znika. A wymiana najprawdziwszych części swojej osobowości – wszystkiego, kim się jest, z inną osobą? Kawałek życia. Taki, który zabiorę ze sobą w przyszłość, jakakolwiek mnie czeka.

Kładę się na chłodnej trawie obok niego, planety zderzają się ponad naszymi głowami, a my trwamy tak przez długi czas, upajając się ostatnimi chwilami. Policzki mam mokre, ale moje serce, och, jest takie pełne.

Jonah:

Cześć – mówi cichy głos. – Cześć, cześć, cześć. Nie zgadniesz!
Gofry!

Otwieram jedno oko. Leah uśmiecha się do mnie, wskakując na łóżko. Dwa dni temu przesiedziałem z Vivi całą noc do świtu i od tamtej pory potwornie boli mnie głowa.

– Jonah, chodź – mówi Leah. Napiera na łóżko całym ciężarem, usiłując mnie zepchnąć. – Tylko ty jeszcze nie wstałeś.

– Dobra, dobra. – Siadam, podpierając się łokciami. – Ładne masz włosy.

– Dziękuję. – Dłonie Leah wędrują do końcówek jej warkoczy. Są eleganckie. Nie jestem sobie w stanie wyobrazić, jak zapleść tak włosy.
– Mama mnie uczesała.

Człapię po schodach, a Leah depcze mi po piętach. Coś mnie zatrzymuje w progu kuchni. I nie jest to zapach pieczonych gofrów.

Naomi obsługuje gofrownicę. Isaac próbuje, bez powodzenia, zonglować trzema pomarańczami. Przejęta Bekah wystawia język, krojąc truskawki. Silas ma buzię pełną gofrów z pierwszej partii, polanych obficie bitą śmietaną i posypanych cukrem pudrem.

Mama wlewa wodę do ekspresu. Jest w piżamie, jak wszyscy oprócz Silasa, który ma na sobie roboczą koszulkę polo.

Moja rodzina jest wszędzie, każdy czymś zajęty, ale jakimś cudem wszyscy są razem. To taka rodzinna scena, że spodziewam się, że zza rogu za chwilę wyjrzy tata. Wiem, że tak się nie stanie. Ale czuję się tak, jakby był w kuchni – w zacięciu Naomi, poczuciu humoru Silasa, wrażliwości Bekah, dociekliwości Isaaca i codziennym podnieceniu Leah. I w moim... no, nie wiem czym. Ale mam nadzieję, że w czymś. W czymś dobrym.

Talerz Silasa trafia do zlewu, a on dostrzega mnie, kiedy się odwraca.

– Cześć, śpiąca królewno.

Prycham. Podaje mi swój fartuch i wychodzi.

– Silas! – krzyczy mama przez ramię. – Zanim wyjdiesz, zostaw listę rzeczy do akademika. Tę z Internetu! Zobaczę, czego nam brakuje.

– Dobrze! – odkrzykuje, biegnąc na górę po schodach.

– Jonah – mówi Bekah. – Co chcesz na gofry?

– Hm. Truskawki i sos czekoladowy. – Siadam do stołu. Leah chwyta pojemnik z bitą śmietaną i wyciska ją sobie do ust. Tata tak z nami robił. Wszyscy piszczeliśmy z radości. To było zbyt piękne, żeby było prawdziwe, jedzenie bitej śmietany prosto z pojemnika.

– Hej – mówi mama do Leah. – Nie psuj śniadania samym cukrem, panienko.

– Przepraszam – mówi Leah z pełną buzią. Widać, że wcale nie jest jej przykro.

Mama kręci głową, jakby mówiła: co ja z wami mam, dzieciaki.

– Dzień dobry, synu. Chcesz kawy?

– Tak, dziękuję.

Wyciąga kubek z szafki. Naomi podsuwa Bekah gofry, a ona przybiera je bitą śmietaną, truskawkami i podaje Leah. Działają jak wydajna linia produkcyjna, jak załoga kuchenna w restauracji. Tata byłby dumny.

– Isaac – mówi mama. – Odłóż owoce i jedz śniadanie.

Jedna z pomarańczy, która akurat znajdowała się w powietrzu, spada z hukiem na blat. Kiedy kawa jest gotowa, mama nalewa ją do kubków i jeden podaje mnie. Siada przy kuchennym stole z talerzem gofrów. Bekah i Isaac siadają po obu jej stronach. Ja siedzę przy wyspie pomiędzy Naomi a Leah. Muszę znaleźć sposób, jak powiedzieć Leah, że Vivi dziś wyjeżdża i pewnie nie wpadnie się pożegnać. Czekam, aż ugryzie kawałek, żeby miała chwilę na oswojenie się z sytuacją. Mówię spokojnym, cichym głosem.

– Wybieram się dziś do Vivi, zanim wyjedzie. Chcesz narysować dla niej laurkę?

Napisałem wczoraj do Vivi, żeby spytać, czy potrzebuje pomocy przy pakowaniu. Powiedziała, że nie. Byłem tak rozczarowany, że niewiele brakowało, żebym poszedł do niej mimo wszystko. Ale potem napisała mi, żebym spotkał się z nią dzisiaj w parku. Oczywiście, to będzie dramatyczne pożegnanie, z godziną spotkania i wyczekiwaniem. Trochę się go boję. Trochę pragnę. Leah kręci głową.

– Już jej dałam. Wpadła wczoraj rano, bawiłyśmy się.

– Vivi przyszła, jak byłem w restauracji?

– Tak! Bawiłyśmy się kucykami i różnymi rzeczami.

Zerkam zdumiony na Naomi, czekając na więcej informacji.

– Byłaś w domu, jak przyszła?

Naomi kiwa głową, nie unosząc wzroku znad gofrów.

– Wszyscy byliśmy.

– Po co przyszła? – pytam cichszym głosem. – Pożegnać się?

Gryzie kawałek i przełyka.

– Powiedziała, że przyszła po jakąś rzecz Sylvii. Chyba powiedziała „na razie”, kiedy wychodziła. Była... Nie wiem. Jak to Vivi.

Zastanawiam się nad tym wszystkim. Zrozumiałbym, gdyby chciała się wymknąć niepostrzeżenie, po tym wszystkim, przez co przeszła. A tymczasem przyszła tu, kiedy wiedziała, że nie będzie mnie w domu. Żeby spędzić jeszcze jeden szczęśliwy dzień z moimi braćmi i siostrami. Ścisła mnie w gardle. Chyba nie z powodu zbyt dużego kęsa gofra, który usiłuję przełknąć.

Leah wymachuje nogami pod półką wyspy.

– Szkoda, że Vivi musi wyjechać. Smutno mi się robi, jak o tym pomyślę.

– Tak – mówię. – Mnie też.

Naomi kręci głową. Jej uśmiech jest lekko ironiczny.

– Wiecie co? Mnie też.

Biorę prysznic, golę się i staram okiełznać włosy. W gardle mam węzeł żeglarski. Mam iść do parku, do Vivi, i ta część jest w porządku. Ale nie mogę sobie wyobrazić oddalania się od niej.

Po drodze myślę o obsesji Isaaca na punkcie archeologii.

Rozumiem go. Kości dinozaurów, starożytne przedmioty, grobowce – w porządku. Przychodzi mi to na myśl, bo Vivi weszła do mojego życia ze swoją miotłą i zmiotła kurz. Odkryła mnie pod tymi wszystkimi gruzami, a to znaczy, że w pewnym sensie zawsze będę trochę jej. Jak mam się pożegnać z kimś takim? Kiedy od parku dzieli mnie parę metrów, dociera do mnie, że jej nie ma. Dziewczynę taką jak Vivi się wyczuwa. Ona porusza ziemię pod twoimi stopami. A ja ich nie czuję, wstrząsów pode mną.

Jest liścik, przyczepiony do najstarszego drzewa w parku – do tego,

na którym wydrapała swoje imię. Więc tak to będzie wyglądało. Ona miała okazję powiedzieć: do widzenia. Ja nie. Powinienem był się domyślić.

Drogi Jonahu,

Skłamałam. „Do widzenia” jest zwrotem, którego najbardziej nie lubię w całym słowniku, o wiele gorszym nawet niż „marmolada” czy „wydętość”, i nie mogę Ci tego powiedzieć prosto w Twoją przystojną twarz. Przekaż ode mnie buziaki Twojej rodzinie, dobrze? Chyba z każdym dniem coraz bardziej zakochiwałam się w całej Waszej siódemce. Ale najmocniej w Tobie, Jonahu. Najmocniej, najbardziej szaleńczo, najpiękniej, w Tobie. Nie mów nikomu, dobrze?

Może w kolejnym życiu, jak będę falą w oceanie, a Ty górą, przez całe lata będziemy się muskać nawzajem. Ty będziesz się zmieniał tak boleśnie powolnie, czasami będę wpadać na Ciebie, czasami będę się do Ciebie łagodnie zbliżać, liżąc Twoje zbrocza. To do nas podobne, prawda?

A może spotkamy się w tym samym życiu? Może ja będę pracować jako projektantka strojów do filmu, który będzie kręcony w mieście, a Ty będziesz tam szefem kuchni we własnej restauracji i nasz wzrok spotka się na środku zatłoczonej ulicy, i ja wyszepeczę: „To Ty”. Może zakradnę się do Twojego małego parterowego domku, kiedy Twoja narzeczona będzie poza miastem w podróży służbowej, i będziemy się kochać jak w dawnym życiu i w tym obecnym. Nie jest to coś, do czego byłbyś skłonny, ale dziewczynie wolno marzyć.

Tak czy owak, Jonah, nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, kim zostaniesz.

Do kiedyś

Vivi

PS Zostawiłam coś dla Ciebie na patiu w restauracji. Zajęło mi to całą noc. Ma tytuł: Nasze pożegnanie.

Mrugam, patrząc na ostre linie jej imienia i odcisk czerwonych warg obok niego, który jest pożegnalnym pocałunkiem. Odeszła teatralnie, a jakże!, chociaż jej tu nie było. Nie możemy być razem, wiem o tym. Ale chciałem ją zobaczyć ten jeden ostatni raz. Chciałem jej podziękować, chciałem spróbować po raz ostatni ją zapamiętać.

Idę szybko do restauracji, ściskając pożegnalny list. Co mogła dla mnie zostawić? Co zajęło jej całą noc? Nawet nie wchodzę do restauracji. Boczna alejka wchodzi wprost na patio i stoję jak wryty. Spodziewałem się, że zostawiła coś dla mnie na stole. Ale nie.

Na ścianie naprzeciw patia namalowała dla mnie mural. Serce łomocze mi jak tupoczące stopy. Usiłuję ją sobie wyobrazić, balansującą na drabinie przez całą noc, z ręką w gipsie. Światła na patiu są włączone – ja nigdy nie zostawiam ich zapalonych – więc musiała malować przy nich. Zrobiła to dla mnie. Nasze pożegnanie.

Na pierwszym planie, po prawej stronie, widać latarnię morską Verona Cove. Za nią statki w porcie – siedem – wszystkie z białymi żaglami. Nie mam pojęcia, jak uzyskała efekt ruchu na płaskiej ścianie, jakby każdy żagiel łopotał. Prawie słyszę, jak trzepoczą na wietrze. W oddali znajduje się większa łódź, która zmierza w stronę górnego lewego rogu. Horyzont, złoty i niebieski, jest bezkresny i zapraszający. Samotna łódź dumnie odpływa w nieznane. Siedem łodzi w porcie wygląda tak, jakby machały jej na pożegnanie, krzycząc: *Bon voyage!*

Vivi przedstawiła na tym obrazie całą swoją osobowość, włącznie z morskimi flagami na największym statku.

Kiedy byłem mały, nauczyłem się liter powiązanych z flagami morskimi. Pierwsza jest: D. Druga, biało-niebieska: A. Chwileczkę. Mój wzrok wędruje na maszt. Układają się w D-A-N-I-E-L-S. Doznaję olśnienia – w porcie jest siedem małych statków. Jeden dla każdego żyjącego członka mojej rodziny.

To nie jest obraz, przedstawiający moje pożegnanie z Vivi. Duża łódź, odpływająca w stronę nowych przygód... to mój tata. O mój Boże. Namalowała nasz portret rodzinny. Przedstawiła nas jako żaglowce. Teraz rozumiem – jak mogłem nie zobaczyć tego od razu?

Moje oczy są pełne gorących łez. Jak widać, ostatnio płaczę na zawołanie. Boli mnie w piersiach z tęsknoty za tatą.

Dotykam linii horyzontu, przesuwam dłoń po jeszcze lepkiej farbie. Złoto stapia się z każdym odcieniem błękitu w miejscu, gdzie ocean zamienia się w nicość.

„Wierzysz w niebo?”, spytała mnie kiedyś Vivi, a ja powiedziałem jej prawdę: że chciałbym.

Wraz z tym jednym obrazem dała mi coś, czego potrzebowałem od miesięcy: szczęście mimo niepewności. Co jest za linią horyzontu? I ile z nas dotrze kiedyś do swojego? Nie wiem.

Ale to, że nie wiem, nie znaczy, że nie może być wspaniale. Dopiero po chwili dostrzegam drobne litery w dolnym rogu. Ale wiedziałem, że tam będą, tak jak wiem, że kiedyś będą na całym świecie.
„Vivi tu była”.

Od Autorki

Prawda wygląda tak: nie byłam pewna, czy powinnam pisać tę notę, ponieważ *Miłość nas zderzyła* jest po prostu historią miłosną w świecie bardzo podobnym do mojego. Niektórzy z nas chodzą na terapię, inni biorą leki, niektórzy starannie dawkują sobie ćwiczenia i sen, żeby być w dobrym stanie psychicznym. Są złe dni. Są też lepsze: przyjęcia, galerie sztuki, wakacje, słońce, śmiech do rozpuku. Mogą istnieć obok siebie. I istnieją. To moje normalne życie.

Ale w tym rzecz, prawda? Nie zawsze uważałam to za normalne i martwiłam się, że nie rozmawiamy wystarczająco dużo o zdrowiu psychicznym. A skoro nie rozmawiamy o nim wystarczająco dużo, jak możemy wnieść dość światła do miejsc, które wydają się bardzo ciemne i bardzo samotne? Właśnie o tym chcę opowiedzieć.

A powiedzieć chciałabym to: doświadczenia opisane w tej książce są, oczywiście, fikcyjne, ale depresja – zarówno ta kliniczna, wywołana traumą czy smutkiem, jak i ta, która jest składową zaburzeń afektywnych dwubiegunowych – jest bardzo realna. Jeżeli, tak jak Vivi, macie problemy ze zdrowiem psychicznym, albo jak Jonah jesteście w żałobie, albo wspieracie bliską osobę, szczerze was zachęcam, żebyście porozmawiali z kimś, komu ufacie. Zwróćcie się do rodziców, nauczyciela, psychologa albo terapeuty. Odwiedźcie odpowiednie miejsca. Pracujący tam ludzie czekają, żeby stanąć po waszej stronie. Ale najpierw musicie im powiedzieć, gdzie jesteście, żeby mogli stanąć przy was. Wiem, że możecie czuć się skrępowani, opisując to, co czujecie, czego potrzebujecie, jeżeli nigdy wcześniej tego nie robiliście. Ale posłuzenie się głosem wyzwala siłę. I chociaż nie mogę wam powiedzieć, co w waszym przypadku się sprawdzi ani czy na tej drodze nie będzie przeciwności, mogę wam powiedzieć, że postawienie na pierwszym miejscu waszego zdrowia jest czymś ważnym, niedocenianym i czymś, na co zasługujecie. Mogę was też zapewnić, że wcale, ale to wcale, nie jesteście sami. Statystyki medyczne dotyczące zaburzeń afektywnych dwubiegunowych i depresji są wymowne, ale łatwo postrzegać je jedynie jako liczby. Mam w pamięci listę wszystkich ludzi, których znam osobiście, albo tych, których podziwiam, którzy żyją

z chorobą psychiczną. Ludzi, którzy toczą poważne bitwy i którym się powodzi w życiu. Owszem, wymaga to wysiłku, ale ci przyjaciele i członkowie mojej rodziny dają mi nadzieję. Są na mojej liście. Kiedy mam dzień pełen niepokoju, przypominam sobie ich historie, jak modlitwę, jak mantrę. Rozumiem, że diagnoza nie jest przeznaczeniem, w jakie wciska cię lekarz, ale drogą, którą idziesz – z organizacją lub towarzyszami podróży, jeżeli chcesz. Że ta podróż może cię zbliżyć do ludzi obok i zaprowadzić cię tak daleko, jak tylko chcesz. Wierzę w to.

Czasami wydaje się, że obrazy chorób psychicznych, jakie widzimy – w filmach, w wiadomościach – są głównie tragiczne.

Proszę, posłuchajcie mnie: są tysiące tysięcy innych historii. Jedna opowiada o tym, że czasami jest ciężko, może droga nie jest idealna, ale dojdziecie do celu. To kilka trudnych tygodni w cudownym życiu. To historia Vivi i moja.

Mówcie. Bo, nawet kiedy na to nie wygląda, najlepsze dni są jeszcze przed wami. Idźcie po nie.

Podziękowania

Przede wszystkim dziękuję Bethany Robison, przyjaciółce drogiej mnie i Vivi, w równym stopniu krytykowi i partnerce. Kocham Cię i lubię.

Taylor Martindale, mojej godnej zaufania agentce i nawigatorowi. Bez względu na to, w którą stronę chcę pójść, sterujesz z entuzjazmem i pewnością, i nigdy nie było to prawdziwsze niż przy tej książce. Dzięki za to, że wyprawiałaś się ze mną na głębsze wody.

Mojej redaktorce, Mary Kate Castellani: dziękuję, że podeszłaś do tej historii z niezwykłą wrażliwością i troską. Jestem ci szczególnie wdzięczna za twoje niesamowite ucho wyczulone na głosy postaci i za niezachwiane wsparcie, jakie okazywałaś mi przy korektach i dodatkowym czytaniu.

Zespołowi wydawnictwa Bloomsbury – Erice Barmash, Amandzie Bartlett, Hali Baumstein, Beth Eller, Lili Feinberg, Cristinie Gilbert, Courtney Griffin, Melissie Kavonic, Linette Kim, Cindy Loh, Donnie Mark, Lizzy Mason, Cat Onder, Emily Ritter, Nickowi Thomasowi, Ilanie Worrell, Brettowi Wrightowi: jestem taką szczęściarą, że mogę korzystać z Waszej ciężkiej pracy, jasnych umysłów i kreatywności. Dziękuję, że moje książki znalazły dom w Waszym wydawnictwie.

Jestem dozgonnie wdzięczna tym, którzy podzielili się ze mną swoimi osobistymi doświadczeniami przed i w czasie pisania tej książki. Szczególnie pierwszym czytelnikom, którzy dzielili się cennymi uwagami: dziękuję, że pokazaliście mi część siebie i pozwoliliście mi zrobić to samo. A poza tym dziękuję za to, że poczułam, że idę ramię w ramię z tak wspaniałymi ludźmi.

Jestem ogromnie zobowiązana doktor Martine Lamy za to, że udzielała odpowiedzi na moje pierwsze pytania, i za to, że spojrziała na ostateczną wersję rękopisu naukowym okiem, za co jestem jej niezmiernie wdzięczna. Martine, dziękuję za źródła, za rozwagę, z jaką mnie prowadziłaś, a zwłaszcza za niesamowitą pracę, jaką wykonujesz na co dzień.

Dziękuję mojej rodzinie za to, że mnie wspierała i inspirowała, okazując miłość i siłę. Nie wymienię Was wszystkich, bo jest Was bardzo

wielu, i to jest wielkim błogosławieństwem mojego życia. Nie zamieniłabym Was na małą (ani normalną) rodzinę, za żadne skarby. Specjalne podziękowania dla mojej mamy, taty i ciotek, którzy okazali mi wielką pomoc, kiedy chciałam rozmawiać o tej historii. Wyrazy nieustającej miłości dla mojego wujka Todda, którego humor, codzienny zapał i oddanie dla rodziny towarzyszyły mi podczas pisania.

Moim przyjaciółkom dziękuję za to, że dzięki nim się śmiałam, byłam zainspirowana i bezgranicznie zazdrosna o Waszą inteligencję i urodę. Dla Alyssy, Janelle i Kristen – bo czekałyście na koniec wydarzenia, a ja tylko szybko nabazgrałam w Waszych książkach, żebyśmy mogły iść na kolację, więc teraz macie to drukiem: to z Waszego powodu przyjaźnie zamieniam w prawdziwe licealne historie miłosne.

Piszę to w samolocie, wracając z festiwalu książki, i nie wiem, czy istnieje słowo na określenie wielkiej miłości, jaką darzą mnie moi fani. Zapożyczając od Viv: spektakularna, eksplozyjna.

Czytelnikom, nauczycielom, bibliotekarzom, księgarzom: dziękuję za energię i pasję, jaką wnosicie do tego świata. Moim piszącym przyjaciółom dziękuję ogromnie za rozmowy o życiu, sztuce, rękodziele; za mnóstwo śmiechu; za to, że jesteście moimi ludźmi. Szczególne podziękowania dla Kate i Jasmine, które pomogły mi dosłownie i w przenośni (twórczo), kiedy w zeszłym roku zeszło mi z opon powietrze.

Na końcu J., który maluje moje narożniki, który jest górą dla mojego morza: dziękuję za to, że dzielisz ze mną swoją pracę, życie i dobroć.

